



LINDA
HOWARD

**Niebezpieczne
zblizenie**

Tytuł oryginału
Up Close and Dangerous

Rozdział 1

Bailey Wingate obudziła się z płaczem. Znowu.

Nie cierpiała tego, bo nie miała powodu, żeby zachowywać się jak beksa. Gdyby była jakoś wyjątkowo nieszczęśliwa, samotna czy pogrążona w żałobie, płacz przez sen miałby sens, ale jej to nie dotyczyło. Jeśli już, to była wkurzona.

I tylko wtedy, kiedy miała do czynienia ze swoimi pasierbami Sethem i Tamzin, czyli, na szczęście, zazwyczaj tylko raz w miesiącu, gdy zatwierdzała wypłatę przyznaną im funduszy ze spadku po zmarłym mężu. Wtedy się z nią kontaktowali, albo nawet wcześniej, żeby zażądać więcej pieniędzy, albo potem, żeby poinformować ją, osobno, za jaką wyrachowaną sukę ją mają.

Seth był znacznie bardziej okrutny i wiele razy, więcej niż mogła zliczyć, po rozmowie z nim czuła się emocjonalnie poobijana, ale przynajmniej walił prosto z mostu. Choć nie było to przyjemne, Bailey wolała już to, niż radzić sobie z zagraniami Tamzin.

Dzisiaj był dzień, kiedy na ich konta trafiała comiesięczna wypłata, co znaczyło, że mogła spodziewać się albo telefonów, albo odwiedzin. Super. Tamzin bardzo lubiła ją nękać wizytami, na które zabierała także swoje małe dzieci. Już sama Tamzin była trudna do zniesienia, a jeśli towarzyszyło jej jeszcze dwoje rozwydrzonych, wiecznie jęczących i domagających się czegoś bachorów, Bailey miała ochotę wiać jak najdalej.

- Powinna być zażądać dodatku za szkodliwość - mruknęła głośno, odrzucając kołdrę i wstając z łóżka.

Ale zaraz prychnęła w duchu. Nie miała powodów, żeby narzekać, a już tym bardziej żeby płakać przez sen. Zgodziła się wyjść za Jamesa Wingate'a, dobrze wiedząc, jakie są jego dzieci i jak zareagują na finansowe ustalenia poczynione przez ich ojca. James przewidział właśnie takie, a nie inne reakcje, i celowo to wszystko zaplanował. Dobrowolnie się zgodziła, więc teraz nie powinna narzekać. Zwłaszcza że nawet zza grobu James sownie wynagradzał ją za pracę.

Wszedłszy do eleganckiej łazienki, zerknęła na swoje odbicie - ogromne lustro przyciągało wzrok. Czasami, kiedy na siebie patrzyła, nie mogła uwierzyć, że kobieta w lustrze to ona.

Pieniądze zmieniły ją - przede wszystkim jej wygląd. Była szczuplejsza, bardziej umięśniona, bo teraz miała zarówno czas, jak i pieniądze na osobistego trenera, który przyjeżdżał do niej i fundował jej piekło w małej siłowni. Na włosy, wcześniej zawsze popielatoblond, zostały położone pasemka w różnych odcieniach, wyglądające bardzo naturalnie. Drogi fryzjer, mistrz w swojej sztuce, ostrzygł ją tak doskonale, że nawet teraz, prosto z łóżka, jej fryzura wyglądała nienagannie.

Bailey nigdy nie była piękną i także teraz można by ją raczej nazwać interesującą czy „robiącą wrażenie”. Makijaż, starannie wykonany najlepszymi kosmetykami, podkreślał zieleń i żywy blask jej oczu. Ubrania leżały na niej idealnie, bo były szyte na miarę, tylko dla Bailey, nie dla milionów kobiet, noszących mniej więcej ten sam rozmiar. Zawsze starała się ubierać porządnie na tyle, na ile pozwalały jej zarobki, ale jako pani Wingate stała się kobietą wytworną.

Miała pełne i niekwestionowane prawo korzystać z domów po zmarłym mężu w Seattle, Palm Beach i Maine. Nie musiała latać komercyjnymi liniami, chyba że na własne życzenie; korporacja Wingate korzystała z wynajętych odrzutowców, dostępnych i dla niej. Płaciła tylko za swoje osobiste zakupy, co oznaczało, że nie musiała przejmować się rachunkami. To był niezaprzeczalnie jeden z największych plusów umowy, jaką zawarła z mężczyzną który ją poślubił i w niecały rok później uczynił wdową.

Kiedyś Bailey była biedna. Choć wielkie bogactwo nigdy nie było jej ambicją czy życiowym celem, musiała przyznać, że pieniądze znacznie ułatwiały życie. Nadal miała problemy, głównie z Sethem i Tamzin, ale to było coś zupełnie innego niż ciągle martwienie się, by opłacić rachunki na czas. Opuściło ją poczucie zagrożenia i przymusu.

Jedyne, co musiała robić, to zarządzać ich funduszami powierniczymi - ten obowiązek traktowała bardzo poważnie, nawet jeśli oni nigdy by w to nie uwierzyli. Tak jej upływały dni.

Była już znudzona.

Jim zadbał o swoje dzieci, myślała, wchodząc do okrągłej kabiny prysznicowej ze ścianami z matowego szkła. Postarał się, by ich dziedzictwo nie przepadło i by byli finansowo zabezpieczeni do końca życia. Dobrze wiedział, jacy są. Jednakże jego plany nie uwzględniały tego, jak po jego odejściu potoczy się jej los.

Bo go to nie obchodziło, zauważyła ponuro. Była dla niego środkiem prowadzącym do celu; lubił ją, a ona jego, ale nigdy nie udawał,

że czuje do niej coś więcej. Ich małżeństwo było transakcją, układem, który on zainicjował i kontrolował. Nawet gdyby wiedział to od początku, nie przejąłby się tym, że jego przyjaciele, którzy z obowiązku zapraszali ją na spotkania towarzyskie za jego życia, wykreślają z listy swoich gości natychmiast po jego śmierci. Przyjaciele Jima byli przeważnie w jego wieku i wielu z nich przyjaźniło się również z jego pierwszą żoną, Leną. Niektórzy znali Bailey z czasów, kiedy była osobistą asystentką Jima. Nieswojo czuli się w jej towarzystwie, kiedy została jego żoną. Do diabła, ona sama czuła się nieswojo w tej roli, więc jak mogłaby mieć do nich pretensje?

Nie było to życie, o jakim marzyła. Owszem, przyjemnie jest mieć pieniądze - nawet bardzo przyjemnie - ale nie chciała spędzić najbliższych kilkunastu lat na pomnażaniu majątku dwojga ludzi, którzy jej nienawidzili. Jim był przekonany, że Seth upokorzony tym, że jego spadkiem zarządza młodsza od niego o trzy lata macocha, otrząśnie się i zacznie zachowywać się jak dorosły, odpowiedzialny człowiek, a nie jak męski odpowiednik Paris Hilton. Na razie jednak nie zadziało i Bailey straciła nadzieję, że kiedykolwiek coś się zmieni. Seth miał mnóstwo okazji, by zainteresować się firmą, dzięki której mógł wieść wystawne, leniwe życie, ale nie skorzystał z żadnej. Jim pokładał w nim nadzieje, bo Tamzin zupełnie nie nadawała się do decydowania o dużych sumach pieniędzy. Jedyne, co ją interesowało, to rezultat końcowy, czyli gotówka do jej dyspozycji. Chciała dostać swój spadek w całości i natychmiast, żeby móc wydawać pieniądze zgodnie ze swoim widzimisie.

Bailey skrzywiła się na tę myśl; gdyby Tamzin od razu otrzymała swój udział, przepuściłaby wszystko w ciągu paru lat. Ktoś musiał sprawować kontrolę nad jej majątkiem.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy zakręciła wodę i sięgała po białozłoty ręcznik. Owinęła się nim, z drugiego ręcznika zrobiła turban na mokrych włosach, przeszła do garderoby i podniosła bezprzewodowy telefon. Spojrzała na identyfikację numeru i odłożyła słuchawkę. Jej numer był zastrzeżony; Bailey była zarejestrowana na liście Do Not Call*, więc mało prawdopodobne, że to oni. Najprawdopodobniej Seth już od samego rana zamierzał ją uraczyć obelgami, ale ona ani myślała

* Lista Do Not Call - spis numerów telefonów, pod które nie mogą dzwonić telemarketerzy (przyp. tłum.)

się z nim użerać, dopóki nie wypije kawy. Jej poczucie obowiązku nie sięgało aż tak daleko. Były pewne granice.

A jeśli się myliła? Seth wiecznie imprezował, rzadko kładł się do łóżka przed świtem - w każdym razie nie do własnego. To nie w jego stylu, żeby dzwonić o tak wczesnej porze. Czując, jak nerwy jej puszczają, ponownie złapała telefon i wcisnęła guzik rozmowy, mimo że włączyła się już automatyczna sekretarka.

- Halo! - rzuciła, przekrzykując odtwarzane domyślne powitanie. Zostawiła je, zamiast nagrać własne, bo wolała bezosobową formułkę.

Odtwarzane nagranie urwało się w pół zdania, rozległo się piknięcie i automatyczna sekretarka się wyłączyła.

- Cześć... mammo.

Głos Setha ociekał sarkazmem. Odetchnęła w duchu. Nic mu się nie stało; po prostu wypróbował nowy sposób, żeby zaleźć jej za skórę. Nie ruszało jej, że mężczyzna starszy od niej nazywał ją „mama”. Złościło ją, że w ogóle musiała z nim rozmawiać.

Najlepszym sposobem na radzenie sobie z Sethem było zachowanie spokoju; wiedziała, że w końcu znudzi się i rozłączy.

- Seth. Jak się miewasz? - zapytała spokojnym, wyważonym tonem, który opanowała do perfekcji, pracując jako osobista asystentka Jima. Zarówno jej głos, jak i wyraz twarzy nigdy niczego nie zdradzały.

- Nie mogłoby być lepiej - odparł z fałszywą wesołością - biorąc pod uwagę, że pazerna dziwka będąca moją macochą żyje sobie jak królowa dzięki moim pieniądzom, podczas gdy ja nie mogę ich nawet tknąć. Ale co znaczy jakaś drobna kradzież w rodzinie, prawda?

Zwykle puszczała obelgi mimo uszu. „Dziwką” nazwał ją pierwszy raz po tym, kiedy został odczytany testament ojca. Seth oskarżył ją wtedy, że wyszła za mąż dla pieniędzy i wykorzystała chorobę Jima, żeby nakłonić go, by nawet kontrolę nad pieniędzmi swoich dzieci zostawił w jej rękach. Obiecał też, a właściwie zagroził, że podważy testament w sądzie, ale w tym momencie adwokat Jima westchnął ciężko i odradził mu to, jako zwykłą stratę czasu i pieniędzy.

Jim prawie do samego końca czuł się na tyle dobrze, by zarządzać swoim imperium, poza tym testament został sporządzony niemal rok

wcześniej - dokładnie nazajutrz po ślubie z Bailey. Usłyszawszy to, Seth poczerwieniał, zaklął szpetnie pod jej adresem, aż wszyscy zgromadzeni wciągnęli powietrze, i wyszedł.

Bailey od tamtej pory ćwiczyła samokontrolę, by nie okazywać żadnych emocji, więc niewyszukany epitet nie był w stanie wyprowadzić jej z równowagi.

Ale oskarżenie o kradzież to coś innego.

- Skoro już mowa o twoim spadku, to nadarza się korzystna okazja do zainwestowania - powiedziała gładko. - Żeby zmaksymalizować zysk, będę musiała zainwestować tak dużo, jak się da. Nie masz nic przeciwko, żeby twoje comiesięczne wypłaty zmniejszyły się o połowę, prawda? Tymczasowo, oczywiście. Myślę, że rok wystarczy.

Przez ułamek sekundy panowała cisza, po czym Seth warknął wściekle:

- Ty dziwko, zabiję cię.

Pierwszy raz postąpiła tak stanowczo w odpowiedzi na jego obelgi, co go zszokowało, wybijając z ustalonego schematu. Nie przejęła się jego pogroźkami. Seth słyszał z tego, że jest mocny w gębie. Na tym się kończyło.

- Jeśli masz jakieś inne propozycje odnośnie do ewentualnych inwestycji, chętnie się z nimi zapoznam - powiedziała tak uprzejmie, jakby przed chwilą pytał o szczegóły, a nie groził jej śmiercią. - Tylko sprawdź wszystko dokładnie i przedstaw swoje propozycje na piśmie. Przejrzę je, najszybciej jak będę mogła, ale nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Pojutrze wyjeżdżam na wakacje.

W odpowiedzi rzucił słuchawkę.

Może to nie najwspanialszy początek dnia, pomyślała, ale przynajmniej mam z głowy comiesięczne starcie z Sethem.

Gdyby jeszcze tylko mogła uniknąć spotkania z Tamzin...

Rozdział 2

Cameron Justice omiół wzrokiem niewielkie lotnisko i parking, stawiając niebieskiego suburbana na imiennym miejscu. Choć nie było

jeszcze w pół do siódmej rano, zauważył kilka aut. Srebrna corvetta oznaczała, że w pracy jest już jego przyjaciel i wspólnik Bret Larsen - L z J&L Executive Air Limo, czerwony ford focus świadczył zaś o obecności ich sekretarki, Karen Kamiński. Bret przyjechał wcześniej jak na niego, ale Karen miała w zwyczaju stawiać się w biurze przed wszystkimi innymi - mówiła, że tylko wtedy może coś zrobić, bo nikt jej nie zwraca głowy.

Poranek był jasny i pogodny, choć w prognozach zapowiadali, że później ma się zachmurzyć. Jednak w tym momencie promienie słoneczne padały prosto na cztery błyszczące samoloty należące do J&L, i Cam przez moment cieszył oczy tym widokiem. Systematyczne lakirowanie sporo kosztowało, ale efekt wart był swojej ceny: lśniąca czerń przecięta wąskim, białym paskiem ciągnącym się od dziobów do ogonów.

Dwie cessny - skylane i skyhawk - były już całkowicie spłacone; przez kilka pierwszych lat on i Bret urabiali sobie ręce po łokcie, mając się oprócz latania różnych dodatkowych zajęć, żeby spłacić je najszybciej, jak to możliwe, i zmniejszyć wskaźnik ogólnego zadłużenia. Piper mirage był już prawie ich, a po jego całkowitej spłacie planowali podwoić wysokość spłacanych rat za ośmioosobowego learna 45 XR, który był ukochanym maleństwem Cama.

Choć lear był zbliżony wymiarami, zarówno jeśli chodzi o długość, jak i rozpiętość skrzydeł, do F-15 strike eagle'a, na którym latał w wojsku wspólnik Cama, Bretowi przypadły bardziej do gustu o wiele mniejsze cessny i średniej wielkości mirage, bo podobała mu się ich zwrotność. Cam, który w wojsku pilotował olbrzymiego KC-10A extendera, wolał latać większymi samolotami. Ich upodobania bardzo dobrze ilustrowały podstawowe różnice między nimi jako pilotami. Bret był pilotem myśliwca, zuchwałym, obdarzonym imponującym refleksem; Cam był spokojniejszy, bardziej zrównoważony, jakiego każdy chce widzieć za sterami latającej cysterny, kiedy jego samolot musi uzupełnić paliwo na wysokości kilku tysięcy metrów, przy prędkości kilkuset kilometrów na godzinę. Learowi ledwo wystarczał pas startowy ich niewielkiego lotniska, żeby wzbić się w powietrze, i Bret był więcej niż zadowolony, że to Cam obsługuje te loty.

Cam pomyślał, że dobrze się ustawili, robiąc to, co obaj kochali. Latanie mieli we krwi. Poznali się w Air Force Academy i choć Bret był o rok wyżej, zaprzyjaźnili się i pozostali przyjaciółmi mimo róż-

nich przydziałów, wielu przeniesień i różnego przebiegu kariery zawodowej. Ich przyjaźń przetrwała trzy rozwody - dwa Breta i jeden Cama - oraz liczne dziewczyny. I tak jakoś samo wyszło, podczas rozmów telefonicznych i korespondencji mejlowej, że po zakończeniu służby wojskowej postanowili zostać wspólnikami. Nigdy nie mieli wątpliwości, w jakiego rodzaju biznes wejdą - prowadzenie niewielkiego przedsiębiorstwa czarterującego samoloty było dla nich wprost idealnym zajęciem.

Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Zatrudniali teraz trzech mechaników, dodatkowego pilota w niepełnym wymiarze godzin, sprzątaczy, jednego na cały etat, jednego w niepełnym wymiarze, oraz niezastąpioną Karen, która rządziła nimi wszystkimi żelazną ręką i pilnowała, by wszystko chodziło jak w zegarku. Firma była wypłacalna i obaj zarabiali niezłe pieniądze. Latanie dzień w dzień nie dostarczało takich emocji jak loty odbywane podczas służby wojskowej, ale Cam nie potrzebował nagłych skoków adrenaliny, żeby cieszyć się życiem. Oczywiście Bret był inny; jako pilot myśliwca nie mógł się obyć bez mocnych wrażeń, więc urozmaicał sobie życie, udzielając się w Civil Air Patrol.

Poszcześciło im się także, jeśli chodzi o lokalizację. Lotnisko było nie tylko idealne dla ich potrzeb, ale, co najważniejsze, znajdowało się niedaleko siedziby Wingate Group, ich głównego klienta. Sześćdziesiąt procent ich lotów były to zlecenia od Wingate; głównie przewozili w tę i z powrotem menedżerów najwyższego szczebla, ale czasami z ich usług korzystali także członkowie rodziny. Poza dogodnym położeniem lotnisko było także dobrze zabezpieczone i miało spory terminal, w którym mieściło się trzypokojowe biuro J&L. To dzięki znajomościom Breta mieli takiego klienta jak Wingate Group, i to Bret zwykle latał z członkami rodziny, podczas gdy Cam obsługiwał głównie menedżerów. Taki układ pasował im obu, bo Bret lepiej dogadywał się z członkami rodziny. Pan Wingate był miłym facetem, ale jego dzieci były jedną wielką porażką, młoda żonka zaś, którą uczynił wdową, była ciepła i przyjazna jak lodowiec.

Cam wysiadł z suburbana. Był wysokim, szerokim w ramionach facetem i duży samochód idealnie do niego pasował. Przeciął parking swobodnym, niespiesznym krokiem i wszedł służbowym wejściem z boku budynku. Wąski korytarz prowadził do ich biura, gdzie Karen pilnie pracowała, stukając w klawiaturę komputera. Na jej biurku stał wazon ze świeżymi kwiatami, których zapach mieszał się z aromatem kawy. Zawsze

miała na biurku kwiaty, ale najprawdopodobniej sama je kupowała. Jej chłopak - chodzący w czarnych skórach brodaty motocyklista, zawodnik wrestlingu - nie wyglądał na takiego, co daje kobiecie kwiaty. Cam wiedział, że Karen była przed trzydziestką, że lubiła nosić czarne pasemka na krótkich, rudych włosach i że to dzięki niej biuro funkcjonowało jak dobrze naoliwiony mechanizm, ale o więcej nie śmiał pytać. Bret natomiast nie miał takich zahamowań i bez przerwy się z nią przekomarzał.

- Dzień dobry, słoneczko - przywitał ją Cam, czasem lubił jej podkuczać.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami znad monitora i wróciła do pisania. Karen o poranku była równie daleka od słonecznego nastroju, jak Seattle od Miami. Bret kiedyś podzielił się głośno swoją teorią, jakoby Karen dorabiała nocami jako pies stróżujący na złomowisku, bo była równie zajadła, i robiła się w miarę ludzka dopiero około dziewiątej. Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale przez jakiś miesiąc do Breta nie docierała jego prywatna korespondencja. W końcu poszedł po rozum do głowy i przeprosił Karen. Poczta znowu do niego dochodziła, ale i tak narobił sobie zaległości w rachunkach.

Nie chcąc jej podpaść, Cam nie powiedział nic więcej, tylko nalał sobie kawy i skierował się do otwartych drzwi gabinetu Breta.

- Wcześniej dziś jesteś - zauważył, opierając się ramieniem o futrynę. Bret zrobił kwaśną minę.

- Nie z własnej woli.

- Chcesz powiedzieć, że Karen zadzwoniła, każąc ci zbierać tyłek w troki i przyjeżdżać? - Cam usłyszał za swoimi plecami dźwięk, który równie dobrze mógł być parsknięciem, jak i warknięciem. W przypadku Karen trudno było stwierdzić.

- Tak jakby. Jakiś idiota czekał do ostatniej chwili z zaklepaniem lotu na ósmą.

- Nie nazywamy ich „idiotami” - poprawiła go odruchowo Karen. - Wysłałam ci notatkę. Nazywamy ich „klientami”.

Bret upił łyk kawy, miał rozbawioną minę.

- Klienci - powtórzył. - Rozumiem. - Wskazał na kartkę papieru, na której pisał. Cam rozpoznał grafik. - Zadzwoniłem do Mike'a, żeby wziął popołudniowy lot do Spokane skylane'em - Mike Gardiner był ich dodatkowym pilotem - dzięki temu będę mógł polecieć do Los An-

geles, wezmę mirage'a, jeśli ty polecisz do Eugene skyhawkiem, albo możemy się zamienić, jeśli wolisz lecieć do Los Angeles.

Ten, kto przyjeżdżał pierwszy do biura, zajmował się papierkową robotą i właśnie dlatego Bret rzadko zjawiał się w pracy tak wcześnie. Dopasowywał zasięg samolotów do długości lotów; było to podyktowane zdrowym rozsądkiem, ponieważ oszczędzali czas, jeśli nie musieli zatrzymywać się, by uzupełnić paliwo. Normalnie Cam wolałby lecieć do Los Angeles, ale w tym tygodniu odbył już kilka długich lotów i musiał trochę odsapnąć. Poza tym musiał odbębnić kilka godzin na którejś z cessen; tak dużo latał learem i mirage'em, że nie miał kiedy wylatać swoich godzin na mniejszych samolotach.

- Nie, w porządku. Muszę wylatać godziny. Co mamy na jutro?

- Tylko dwa loty. Jutro też wcześnie zacznę dzień. Zabieram panią Wingate do Denver na wakacje. Z powrotem będę lecieć na pusto, chyba że coś się trafi. Drugi lot to... - Urwał, szukając w swoich papierach na biurku umowy sporządzonej przez Karen.

- Lot cargo do Sacramento - odezwała się Karen, zupełnie nieskrępowana tym, że podsłuchiwała.

- Lot cargo do Sacramento - powtórzył Bret, szczerząc zęby, tak jakby Cam sam nie słyszał. Znowu rozległ się ten dźwięk przypominający warknięcie. Bret napisał coś na kartce i przesunął ją po biurku; Cam podszedł i odwrócił palcem kartkę w swoją stronę.

Zapytaj ją, czy miała szczepienie na wścieklicznę, napisał Bret.

- Okej - powiedział Cam. - Karen, Bret chce, żebym cię zapytał... - zaczął głośno.

- Zamknij się, dupku! - Bret poderwał się i uderzył Cama w ramię, powstrzymując go przed dokończeniem pytania. Cam roześmiał się i wyszedł do swojego gabinetu.

- O co Bret chce, żebyś mnie zapytał? - Karen znowu patrzyła na niego zmrużonymi oczami.

- Nieważne. To nic istotnego - odparł Cam z niewinną miną.

- Akurat - mruknęła.

W chwili kiedy usiadł, zadzwonił telefon i choć teoretycznie odbieranie telefonów należało do obowiązków Karen, ponieważ nie miał nic do roboty, a ona była zajęta, przełączył rozmowę na swoją linię i podniósł słuchawkę.

- Executive Air Limo.

- Mówi Seth Wingate. Czy moja macocha ma zamówiony lot na jutro rano?

Jego głos był strasznie obcesowy, co zirytowało Cama, ale odpowiedział neutralnym tonem:

- Zgadza się.

- Dokąd leci?

Cam żałował, że nie może powiedzieć temu dupkowi, że to nie jego sprawa, dokąd leci pani Wingate. Ale ten dupek nazywał się Wingate i mógł mieć wiele do powiedzenia w sprawie tego, czy Wingate Group nadal będzie korzystać z usług J&L.

- Do Denver.

- Kiedy wraca?

- Nie mam przed sobą dokładnej daty, ale zdaje się, że mniej więcej za dwa tygodnie.

Seth się rozłączył. Żadnego „dziękuję” czy chociażby „pocałuj mnie w dupę”. Zupełnie nic.

- Drań - mruknął, odkładając słuchawkę.

- Kto? - zapytała Karen zza drzwi. Czy było coś, czego ona nie słyszała? Najlepsze, że ani na chwilę nie przestała walić w klawiaturę, nawet nie zwolniła tempa. Ta kobieta była przerażająca.

- Seth Wingate - odparł.

- Zgadzam się z tobą co do niego, szefie. Wypytywał o plany pani Wingate? Ciekawe dlaczego. Nie darzą się sympatią.

Nic dziwnego; pan Wingate ożenił się ze swoją osobistą asystentką, kobietą młodszą od obojga jego dzieci, zaledwie rok po śmierci pierwszej pani Wingate, którą Cam znał słabo, ale naprawdę lubił.

- Może zamierza urządzić pod jej nieobecność imprezę w domu.

- To by było dziecinne.

- Tak jak on.

- Pewnie dlatego pan Wingate zostawił jej kontrolę nad całym majątkiem.

Zaskoczony Cam wstał i podszedł do drzwi.

- Żartujesz - powiedział do jej pleców.

Obejrzała się na niego przez ramię, nie przerywając pisania.

- Nie wiedziałeś?

- Skąd miałbym wiedzieć? - Nikt z rodziny ani pracowników Wingate Group nie poruszał z nim kwestii prywatnych finansów; nie sądził też, żeby zwracali się z tego Karen.

- Ja wiem - oświadczyła.

Bo jesteś przerażająca. Ugryzł się w język, by nie narobić sobie kłopotów. Karen miała swoje sposoby na pozyskiwanie różnych informacji.

- Skąd?

- Słyszę to i owo.

- Jeśli to prawda, nic dziwnego, że nie darzą się sympatią. - Do diabła, na miejscu Setha pewnie zachowywałby się tak samo.

- Nie „jeśli”, tylko prawda. Stary pan Wingate był mądrym facetem. Pomyśl tylko, zostawiłbyś taki majątek w rękach Setha albo Tamzin?

Cam nie musiał się nad tym długo zastanawiać.

- Nigdy w życiu.

- No widzisz. On też nie chciał. A ją lubię. To rozsądna kobieta.

- Miejmy nadzieję, że na tyle rozsądna, że wymieniła zamki w drzwiach po śmierci męża - rzekł Cam. I że często ogląda się za siebie, bo podejrzewał, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, Seth Wingate wbiłby jej nóż w plecy.

Rozdział 3

Następnego ranka telefon wyrwał Cama ze snu. Poszukał słuchawki, macając wkoło ręką. Może to pomyłka; jeśli nie otworzy oczu, będzie mógł spać dalej, dopóki nie zadzwoni budzik. Wiedział z doświadczenia, że jeśli otworzy oczy, to już nie zaśnie.

- Tak?

- Szefie, wciągaj spodnie i przyjeżdżaj.

Karen. Cholera. Zapomniał, że miał nie otwierać oczu, i się pode-rwał. Nagły skok adrenaliny całkowicie go obudził.

- Co się stało?

- Twój wspólnik idiota właśnie zjawił się z zapuchniętymi oczami, przez które ledwo widzi. Do tego ledwo oddycha, ale uważa, że jest w stanie polecieć dziś do Denver.

W tle Cam usłyszał zachrypnięty, zniekształcony głos, w ogóle nie przypominający głosu Breta, który wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Czy to Bret?

- Tak. Chce wiedzieć, dlaczego mówię do ciebie „szefie”, a jego nazywam idiotą. Czy to nie oczywiste? - rzuciła, wyraźnie kierując to do Breta. Skupiła się z powrotem na Camie. - Dzwoniłam do Mike'a, ale nie zdąży dojechać na czas, żeby wziąć lot do Denver, więc dałam mu twój lot do Sacramento, a ty się zbieraj.

- Już jadę! - Rozłączył się i pognął do łazienki. Wziął prysznic i ogolił się w cztery i pół minuty, wciągnął jeden ze swoich czarnych garniturów, złapał czapkę i małą torbę podróżną, zawsze spakowaną, bo takie sytuacje czasem się zdarzały, i po sześciu minutach był już przy drzwiach. Cofnął się, żeby wyłączyć ekspres do kawy, ustawiony, żeby zacząć parzyć kawę za godzinę, a potem, ponieważ nie wiedział, czy będzie miał dość czasu, żeby wstąpić gdzieś na śniadanie, wziął z szafki dwa batony energetyczne i wrzucił do kieszeni.

Cholera, cholera, cholera, mruczał pod nosem, klucząc między innymi porannymi kierowcami. Dzisiaj jego pasażerką będzie lodowata wdowa Wingate. Bret się z nią dogadywał, ale ten luzak dogadywał się prawie ze wszystkimi; te kilka razy, kiedy Cam miał nieszczęście przebywać w jej towarzystwie, zachowywała się, jakby kij połknęła, a on był nędznym robakiem na przedniej szybie jej życia. Miał już wcześniej do czynienia z takimi jak ona, w wojsku; takie zachowanie nie odpowiadało mu tak samo wtedy, jak i teraz. Choćby nie wiem co, nie odezwie się ani słowem, a w razie kłopotów ze strony tej damulki, zafunduje jej taką podróż, że zanim dotrą do Denver, nie będzie miała już czym wymiotować.

Szybko pokonał trasę; mieszkał na przedmieściu Seattle, poza tym nie jechał do miasta tylko z miasta, więc po jego stronie drogi było względnie pusto, podczas gdy po drugiej wił się długi wąż samochodów. Zatrzymał się na swoim miejscu parkingowym niespełna pół godziny po odebraniu telefonu.

- Niezły czas - powiedziała Karen, kiedy wszedł do biura, z torbą podróżną w ręce. - Mam więcej złych wieści.

- Dawaj. - Odstawił bagaż, żeby nalać sobie kawy.

- Mirage jest w naprawie i Dennis mówi, że nie da rady, żeby dziś poleciał.

Cam pił w milczeniu, myśląc, jak rozwiązać ten logistyczny problem. Mirage doleciałby do Denver bez uzupełniania paliwa po drodze. Lear też, ale korzystali z niego w przypadku grup, nie jednej osoby - i

choć mógłby polecieć learem sam, wolał mieć drugiego pilota. Żadna z cessen nie miała wystarczającego zasięgu, ale pułap operacyjny skylane'a wynosił około pięciu tysięcy metrów, podczas gdy skyhawka cztery tysiące. Szczyty niektórych gór w Kolorado sięgały czterech i pół tysiąca, więc nie trzeba było geniusza, żeby wybrać odpowiedni samolot.

- Wezmę skylane'a - oznajmił. - Uzupełnię paliwo w Salt Lake City.

- Wymyśliłem tak samo - wychrypiał Bret, wychodząc ze swojego gabinetu. Jego głos przypominał skrzek żaby z zatkanym nosem.

- Kazałem już go przygotować.

Cam uniósł wzrok. Karen nie przesadzała - jeśli już, to wręcz przemilczała, w jak okropnym był stanie. Jego oczy miały czerwone obwódki i były tak spuchnięte, że zostały tylko szparki, twarz pokrywały czerwone plamy. I oddychał przez usta. Wyglądał koszmarnie, a jego żaloszna mina wyraźnie mówiła, że również tak się czuje. Cokolwiek go dopadło, Cam nie chciał się tym zarazić.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł, unosząc rękę jak gliniarz z drogówki.

- Już go spryskałam lizolem - syknęła Karen, rzucając Bretowi złowrogie spojrzenie. - Normalny człowiek, który ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, zostałby w domu i zadzwonił, zamiast przychodzić do pracy i rozsiewać zarazki.

- Mogę lecieć - wyrzeził Bret. - To ty upierasz się, że nie mogę.

- Jestem pewna, że pani Wingate marzy o tym, żeby spędzić pięć godzin z tobą w małym samolocie - odparła ironicznie. - Ja nawet nie chcę spędzić pięciu minut z tobą w tym samym biurze. Idź do domu.

- Popieram - warknął Cam. - Idź do domu.

- Wziąłem lek obkurczający śluzówkę - zaprotestował Bret. - Po prostu nie zaczął jeszcze działać.

- Więc nie zdąży już zadziałać na czas, żebyś mógł polecieć.

- Nie lubisz latać z członkami rodziny.

Zwłaszcza z panią Wingate, pomyślał Cam, ale na głos powiedział:

- To żaden problem.

- Ona lubi bardziej mnie.

Teraz Bret przypominał małego, nadaśanego chłopca, ale zawsze się dąsał, kiedy coś mu przeszkadzało w zrealizowaniu zaplanowanego lotu.

- Jakoś wytrzyma te pięć godzin - nie ustępował Cam. Jeśli on potrafi, to ona też. - Ty jesteś chory, ja nie. Koniec dyskusji.

- Przygotowałam ci raporty pogodowe - poinformowała Karen.
- Masz wszystko w komputerze.

- Dzięki. - Poszedł do swojego gabinetu, usiadł przy biurku i zaczął czytać.

Bret stał w drzwiach, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

- Na litość boską - jęknął Cam - idź do lekarza. Wyglądasz, jakbyś ostro zachlał. Może to jakaś reakcja alergiczna czy coś.

- No dobrze. - Bret kichnął głośno, a potem zaczął go dusić kaszel. Ze swojego miejsca Cam nie widział Karen, ale usłyszał syk i Bret znalazł się w chmurze mgły.

- Boże - wychrypiał chory, wymachując rękami, żeby przepędzić chmurę. - Wdychanie tego nie może być dobre dla zdrowia.

Karen psiknęła jeszcze raz.

- Poddaję się - wymamrotał po kilku sekundach daremnego wymachiwania rękami. - Idę już, idę. Ale jeśli od tego lizolu dorobię się niewydolności płuc i umrę, zwalniam cię!

- Jeśli umrzesz, nie będziesz mógł mnie zwolnić! - Zanim Bret wyszedł z biura, zdążyła jeszcze psiknąć mu w plecy.

- Spsikaj wszystko, czego dotykał - odezwał się po chwili Cam.

- Potrzebne mi nowe opakowanie, bo to się kończy.

- Jak wrócę, kupię ci cały zapas.

- Spryskam klamki, których dotykał, ale zamierzam się trzymać z dala od jego gabinetu.

- A co z toaletą?

- Nie wejść do męskiej. Kiedyś myślałam, że faceci to ludzie, ale byłam raz w męskiej toalecie i przeżyłam taki szok, że prawie zemdlałam. Powtórzenie tego mogłoby niekorzystnie odbić się na moim zdrowiu psychicznym. Jak chcesz zdezynfekować łazienkę, musisz zrobić to sam.

Przez chwilę myślał o tym, że w końcu to nie ona jest szefem, choć może trudno w to uwierzyć, a potem o tym, że gdyby ja zwolnili, bez niej w biurze zapanowałby kompletny chaos. Już ona by o to zadbała,

żeby tak się stało. Dumając nad tym wszystkim, doszedł do wniosku, że w sumie dezynfekowanie toalety nie należało do jej obowiązków.

- Nie mam teraz czasu - rzucił.

- Twój problem.

Patrzył w otwarte drzwi, uświadamiając sobie, jak wiele rozmów prowadzili w ten sposób, każde w innym pomieszczeniu, nie widząc siebie nawzajem.

- Zamierzam zamontować duże, okrągłe lustro - oświadczył. -
Tuż obok drzwi.

- Po co?

- Żeby móc cię widzieć, kiedy ze sobą rozmawiamy.

- Ale po cholere?

- Żeby wiedzieć, czy się uśmiechasz.

Cam zostawił torbę w schowku na bagaż, po czym dokonał inspekcji skylane'a, okrążając samolot i szukając poluzowanych czy uszkodzonych elementów. Ciągnął, pchał, kopał. Wreszcie wsiadł do kokpitu i zajął się procedurą przedstartową, sprawdzając wszystkie pozycje z listy na podkładce. Znał tę procedurę na pamięć, mógłby to robić przez sen, ale nigdy nie polegał wyłącznie na swojej pamięci; chwila rozproszenia i mogłoby mu umknąć coś ważnego. Trzymał się listy, dzięki temu miał pewność, że sprawdził wszystko. Niedobrze byłoby odkryć na wysokości trzech tysięcy metrów, że coś nie działa.

Zerknął na zegarek, stwierdzając, że lada chwila powinna zjawić się pani Wingate. Włączył silnik, słuchając, jak zaskakuje, a potem równo mruczy. Przed skierowaniem samolotu w stronę bramki przed terminalem, skąd miał zabrać swoją pasażerkę, sprawdził odczyty na wskaźnikach oraz ruch powietrzny. Rzucił okiem na parking; spojrział tam i zobaczył, że na najbliższym, wolnym miejscu stanął ciemnozielony land rover.

Widok pani Wingate w land roverze zawsze go zaskakiwał. Nie wyglądała na miłośniczkę SUV-ów i tym podobnych. Gdyby dopiero co ją poznał, uznałby ją za kobietę, która najlepiej czuje się w dużych, luksusowych autach - nie sportowych, tylko takich w zestawie z kierowcą. Ale ona prowadziła sama, czując się bardzo pewnie za kierownicą swojego auta z napędem na cztery koła.

Trochę za bardzo się grzebał. Normalnie Bret już by tam był i pomagał jej z bagażem. Cam widział, jak stała przez chwilę, patrząc na

zbliżający się samolot, po czym zamknęła drzwi i poszła do bagażnika, skąd samodzielnie zaczęła wyciągać walizki. Nadal był dobre pięćdziesiąt metrów od bramki; nie było mowy, żeby zdażył jej pomóc.

Świetnie. Pewnie od początku lotu będzie wkurzona, bo nikt jej nie usłużył. Ale z drugiej strony, przynajmniej nie stała z założonymi rękami i uniesioną brodą, czekając, aż ktoś się nią zajmie.

Kiedy podstawił samolot, wyłączył silnik i wysiadł. Ruszając do bramki, zobaczył, jak pani Wingate wychodzi z terminalu, jedną ręką ciągnąc za sobą walizkę, w drugiej niosąc wielką torebkę. Była z nią Karen, a jakże, ciągnąca jeszcze dwie walizki.

Pani Wingate popatrzyła na niego, a potem spokojnym, opanowanym tonem zwróciła się do Karen:

- Myślałam, że mam lecieć z Bretem.

- Bret jest chory - wyjaśniła Karen. - Proszę mi wierzyć, nie chciałaby pani przebywać w jego towarzystwie.

Pani Wingate nie wzruszyła ramionami ani w żaden inny sposób nie zdradziła, co myśli.

- Rozumiem - powiedziała tylko, a jej oczy były całkowicie niewidoczne za czarnymi okularami przeciwsłonecznymi.

- Pani Wingate - rzekł Cam, podchodząc do nich.

- Kapitanie Justice. - Przeszła przez bramkę, jak tylko ją otworzył.

- Pozwoli pani, że wezmę bagaż.

Bez słowa podała mu walizkę. On też się do niej nie odzywał, załadowując schowek bagażowy i zastanawiając się, czy zabrała ze sobą wszystkie swoje ubrania. W samolocie liniowym musiałyby zapłacić za nadbagaż.

Kiedy leciał tylko jeden pasażer, często wolał siedzieć obok kapitana niż w jednym z czterech foteli z tyłu, częściowo dlatego, że słuchawki drugiego pilota znacznie ułatwiały rozmowę. Cam pomógł pani Wingate wsiąść do samolotu, a ona zajęła miejsce za jego fotelem, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma ochoty z nim rozmawiać.

- Zechce się pani przesiąść na drugą stronę, bardzo proszę - odezwał się tonem przypominającym bardziej polecenie niż prośbę, mimo tego „bardzo proszę” na końcu.

Nie poruszyła się.

- Dlaczego?

Pożegnał się z wojskiem prawie przed siedmioma laty, ale wojskowe nawyki były tak mocno w nim zakorzenione, że o mało nie warknął na

nią, by natychmiast zabrała swój tyłek na drugą stronę, co najprawdopodobniej poskutkowałoby zerwaniem umowy z Wingate Group. Musiał zacisnąć zęby, ale udało mu się powiedzieć względnie spokojnie:

- Powinniśmy siedzieć po przeciwnych stronach dla lepszej równowagi.

Bez słowa przesiadła się na fotel po prawej i zapięła pas. Otworzyła torebkę, wyjęła grubą książkę w twardej okładce i natychmiast schowała w niej nos, choć jej okulary były tak ciemne, że wątpił, żeby mogła w nich czytać. Zrozumiał sugestię: Nie odzywaj się do mnie. W porządku. On też nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Usadowił się w swoim fotelu, zamknął drzwi, nałożył słuchawki. Zobaczył przez szybę, jak Karen pomachała mu i po chwili wróciła do budynku. Włączył silnik i automatycznie sprawdził wszystkie wskaźniki, po czym zaczął kołować na pas startowy. Ani razu, nawet podczas startu, lodowata pani Wingate nie uniosła wzroku znad książki.

Tak, pomyślał drwiąco, to będzie bardzo długie pięć godzin.

Rozdział 4

Świetnie, pomyślała Bailey, widząc, jak kapitan Justice wysiada z kokpitu cessny i idzie w stronę bramki. Rozpoznała go od razu, bo był wyższy, szczuplejszy i szerszy w ramionach od Breta Larsena, pilota, który zwykle z nią latał. Bret był wesoły i towarzyski, a kapitan Justice był ponurakiem, który okazywał jej milczącą dezaprobatę. Od kiedy wyszła za Jima Wingate'a nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać, kiedy ludzie przyjmowali taką postawę specjalnie na jej użytek, i choć nie była nadwrażliwa, ciągle ją to wkurzało.

Była naprawdę zmęczona tym, że brali ją za wyrachowaną łowczynię majątków, która wykorzystwała chorego człowieka. To wszystko pomysł Jima, nie jej. Owszem, robiła to dla pieniędzy, ale, do cholery, ciężko pracowała na swoją comiesięczną pensję. Odziedziczony przez Seta i Tamzin majątek był dzięki niej nie tylko bezpieczny, ale stale się powiększał. Nie była finansowym geniuszem, ale miała głowę do interesów i rozumiała rynek. Jim uważał ją za zbyt konserwatywną w

tym, jak inwestowała własne pieniądze, ale jeśli chodziło o nadzór nad funduszami powierniczymi, dokładnie takiej osoby szukał.

Pomyślała, że mogłaby wykupić płatne ogłoszenie w gazecie i wszystko to wyjaśnić, ale niby czemu miałyby się tłumaczyć przed ludźmi? Chrzanić ich.

Stosowała tę filozofię wobec starych przyjaciół Jima, którzy teraz nie chcieli się z nią zadawać, cieszyła się jednak, że nie musi spędzać z nimi czasu - i tak nigdy nie uważała ich za swoich przyjaciół. Ale będzie musiała wytrzymać kilka godzin w małym samolocie z kapitanem Zrzedą chyba że odwoła lot i zaczeka, aż Bret wyzdrowieje; mogłaby też polecieć do Denver samolotem rejsowym.

Pomysł był kuszący. Ale nie wiadomo, czy są jeszcze bilety na najbliższy samolot, a nawet jeśli, mogłaby na niego nie zdążyć, a jej brat i bratowa byli już w drodze do Denver z Maine. Logan wynajął terenówkę, która miała już być podstawiona, kiedy jej samolot wylądował. Do dwudziestej powinni zameldować się w miejscu zbiórki i zacząć dwutygodniową przygodę z raftingiem. Dla Bailey było to jak spełnienie marzeń: dwa tygodnie bez żadnych telefonów, bez zimnych, wyrażających dezaprobatę spojrzeń, ale przede wszystkim bez Seta i Tamzin.

Rzeczne spływy pontonem były pasją Logana; on i Peaches, jego żona, nawet poznali się podczas raftingu. Bailey też uczestniczyła w paru spływach za czasów college'u i podobało jej się, więc uznała, że to znakomity pomysł, by spędzić w ten sposób trochę czasu z Loganem i jego żoną. Jej rodzina była rozszarpana po całym kraju, a że jej członkowie nigdy nie przepadali za rodzinnymi spotkaniami, rzadko się z nimi widywała. Ojciec mieszkał w Ohio ze swoją drugą żoną; matka, której trzeci mąż zmarł prawie cztery lata temu, mieszkała na Florydzie z siostrą drugiego męża, również wdową. Starsza siostra Bailey, Kennedy, osiadła w Nowym Meksyku. Bailey była najbliżej z Loganem, dwa lata od niej młodszym, ale nie widziała się z nim od pogrzebu Jima; on i Peaches byli jedynymi członkami jej rodziny, którzy zjawili się na pogrzebie. Peaches była przemiała i ze wszystkich dokończonych członków rodziny Bailey ją lubiła najbardziej.

Cała ta wycieczka była pomysłem Peaches, a szczegóły zostały ustalone drogą mejlową, co trwało kilka miesięcy. Plan był taki, że wypożyczą sprzęt: namioty, kuchenki turystyczne czy latarnie, których będą potrzebować podczas dwóch tygodni biwakowania na brzegach rzeki, a jedzenie, wodę i pozostałe artykuły pierwszej potrzeby - jak

przykładowo papier toaletowy - kupią w Denver, ale i tak walizki Bailey były wyladowane po brzegi rzeczami, co do których uznała, że mogą się przydać.

Niewielkie doświadczenie z raftingiem nauczyło ją, że lepiej mieć coś, czego nie będzie się potrzebować, niż potrzebować czegoś i tego nie mieć. Podczas drugiego z jej poprzednich spływów dostała okres kilka dni wcześniej, na co była kompletnie nieprzygotowana. I to, co powinno być przyjemnością, zamieniło się w mały koszmar, bo musiała używać skarpetek jako pod pasek, w związku z czym przez prawie całą wyprawę cierpiała z powodu zimnych, przemoczonych stóp. Tym razem przestudiowała od deski do deski katalogi wysyłkowe z akcesoriami dla podróżników i zamówiła wszystko, co uznała za przydatne, jak na przykład jednorazowe szczoteczki do zębów z porcją pasty, wodoodporne karty do pokera i małą lampkę do czytania.

Logan na pewno zakpi z wielkości jej bagażu, ale to ona będzie się śmiała ostatnia, jeśli przypadkiem tak się złoży, że będzie potrzebował czegoś z jej zapasów. Miała nawet mocną taśmę klejącą na wypadek, gdyby namiot przeciekał, co również przytrafiło się jej podczas ostatniego, pechowego spływu. Lubiła rafting, i owszem, na wodzie bycie zziębniętym i przemoczonym to część zabawy, ale na brzegu lubiła domowe wygodę. Okej, może i miała podejście jak typowa damulka, ale była pewna, że Peaches również wolała nawilżane aloesowe chusteczki od kostki mydła i wiadra zimnej wody z rzeki.

Nie mogła doczekać się tej wycieczki i nie była w stanie znieść myśli o ewentualnej zwłoce, nawet jeśli zdążenie na czas oznaczało lot z kapitanem Justice'em. Chciało jej się prychać kpiąco za każdym razem, kiedy słyszała to nazwisko. Kapitan Justice, dobre sobie. Zupełnie jak jakiś tytułowy bohater komiksu.

Bez słowa, z kamienną twarzą załadował jej trzy walizki do schowka bagażowego, ale i tak dobrze wiedziała, co myślał: że zabrała ze sobą całą szafę. Gdyby był człowiekiem, zrobiłby przynajmniej niedowierzającą minę albo zapytał, czy wiezie ze sobą kamienie; Bret postękiwałby i zachowywał się, jakby walizki były jeszcze cięższe niż w rzeczywistości, obracając wszystko w żart. Ale nie kapitan Kamien na Twarz; nigdy nawet nie widziała, żeby się uśmiechał.

Kiedy pomagał jej wsiąść do samolotu, pewny uścisk jego dłoni był tak niespodziewany, że niemal się zachwiała. Bret jej nigdy nie pomagał, uświadomiła sobie; mimo wyluzowania zawsze uważał, żeby nie

naruszyć jej osobistej przestrzeni, która bardzo się rozrosła od czasu, kiedy wyszła za Jima. Po prostu teraz nie ufała większości ludzi, co sprawiało, że była sztywna i nieprzystępna. Kapitan Justice albo nie zauważył wysyłanych przez nią sygnałów „proszę mnie nie dotykać”, albo zwyczajnie go to nie obchodziło. Jego uścisk był silny, dłoń twardsza, bardziej szorstka od dłoni menedżerów i maklerów giełdowych, którym często podawała rękę. Niespodziewany dotyk, ciepło jego dłoni, wszystko to sprawiło, że jej serce zaczęło szybciej bić.

Była tak skonsternowana, że ledwo usłyszała, kiedy kazał jej się przesiąść. Jak tylko przypięła się do fotela, który jej wskazał, wyciągnęła książkę i udawała, że jest pochłonięta lekturą, ale w myślach kopała się w tyłek.

Jakie to żalodne, że tak gwałtownie zareagowała na zwykły dotyk męskiej dłoni. Żeby to był jeszcze jakiś inny mężczyzna, a nie facet, który wyraźnie jej nie lubił. Okej, jej życie miłosne obecnie w ogóle nie istniało; i pozostanie tak, dopóki będzie musiała borykać się z dziećmi Jima, bo nie chciała sama dostarczać im amunicji. Owszem, pociągali ją atrakcyjni mężczyźni, ale miała dość dumy, by nie chcieć dawać kapitanowi Justice'owi powodów do myślenia, że leci na pierwszego lepszego faceta.

A najgorsze, że fizycznie był atrakcyjnym facetem - nie przystojnym, nie ślicznym chłopcem, bo miał na to zbyt twarde rysy, ale zdecydowanie... atrakcyjnym. W jego oczach, jasnoszarych z domieszką niebieskiego, było coś pociągającego. Zwykle były zimne i nieprzystępne, zupełnie jakby nie miał żadnych uczuć.

On i Bret byli najwyraźniej dobrymi przyjaciółmi, choć nie mogła go sobie wyobrazić w bliskiej, przyjacielskiej relacji z kimkolwiek. Ale z tego, co Bret o nim mówił, wynikało, że naprawdę lubił i szanował Justice'a. Raz nawet nazwał go „prawdziwym asem wśród pilotów”. „Totalnie opanowany. Nigdy nie traci zimnej krwi. Nawet by się nie spocił, gdyby przyszło mu pilotować KC-10 podczas huraganu”.

Zaciekawilo to Bailey na tyle, że później wyszukała w Internecie dokładne informacje na temat KC-10.

Łatwo jej było teraz wyobrazić go sobie w kokpicie olbrzymiej latającej cysterny, prowadzącego ją płynnie, podczas gdy kolejne samoloty podlatują do niej, żeby uzupełnić paliwo. Nie czytała, jak to dokładnie się odbywa, ale nie sądziła, żeby było to proste, nie przy prędkości kilkuset kilometrów na godzinę i gwałtownych podmuchach wiatru.

Po wynurzeniu się z otchłani myśli, uświadomiła sobie, że przestała wpatrywać się w książkę, w zamian wpatrując się w jego dłonie, tak pewne i opanowane na sterze. Zawstydzona, ponownie spuściła wzrok. Na szczęście miała na sobie okulary przeciwsłoneczne, więc pewnie nie zauważył, że na niego patrzyła - choć pewnie zastanawiał się, jak można w nich czytać. Nie można, ale on nie musiał tego wiedzieć.

Czuła się niezręcznie i skępowana, co zupełnie nie było do niej podobne. Musiała się zrelaksować i zająć swoje myśli czymś innym. Jeśli zdejmie okulary, będzie mogła czytać, a książka była naprawdę dobra. Ściągnęła je tylko do połowy, po czym ponownie nasunęła na nos. Okulary były dobrą osłoną, a czuła, że takiej potrzebuje.

Okej, czytanie odpadało. Może mała drzemka?

Za wcześnie na drzemkę; w końcu był dopiero poranek. Mogła udawać, że śpi, tak jak udawała, że czyta, ale to nie skieruje jej myśli na inne tory.

Gdyby zabrała ze sobą laptopa, mogłaby pograć w jakieś gry, ale zostawiła go w domu. Nie będzie miała dostępu do Internetu przez następne dwa tygodnie, poza tym po wyczerpaniu się baterii komputer stałby się bezużytecznym ciężarem, który musiałaby ze sobą taszczyć. No, chyba żeby miała ochotę taszczyć także zapasowe baterie, których nie wzięła; niespecjalnie jej się to uśmiechało, bo i tak zabrała sporo bagażu. Ich przewodnik miał załatwić samochody, które będą przewozić ich sprzęt biwakowy i rzeczy osobiste z jednego miejsca biwakowego na kolejne, ale były trzy pontony, każdy z sześciuosobowym zespołem, co znaczyło, że do przewiezienia będą sprzęt i bagaże osiemnastu osób. Miała nadzieję, że ten przewodnik załatwił jakieś naprawdę duże auta.

Podekscytowała ją myśl o najbliższych dwóch tygodniach. Czasami podczas spływu będzie zabawnie, czasami ekscytująco, czasami niebezpiecznie, ale spędzi dwa tygodnie bez konieczności uważania na każde wypowiedane przez siebie słowo, w otoczeniu przyjaciół, nie zaś ludzi, którzy albo otwarcie jej nienawidzili, albo przynajmniej patrzyli na nią spode łba. Zrelaksuje się, pośmieje, zabawi, będzie mogła być sobą. Całe dwa tygodnie wolności!

Patrzyła przez chwilę za okno, podziwiając rozciągający się pod nimi Waszyngton. Samoloty rejsowe były szybkie, ale wolała latać mniejszymi, bo z niższej wysokości o wiele lepiej wszystko widać. Głośny warkot silnika miał hipnotyzujące właściwości i trochę się zdrzemnęła, z głową położoną na oparciu skórzanego fotela.

Poranne słońce oświetlało przednią szybę, nagrzewając wnętrze samolotu, aż w końcu zrobiło jej się za ciepło i zdjęła swój lekki, jedwabny żakiet. Pomyślała sennie, że przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie nosić jedwabiu; owszem, zabrała ze sobą jedwabną poszwę, na wypadek gdyby w śpiworze było jej zbyt gorąco lub zbyt zimno, ale to zupełnie coś innego.

Kiedy spojrzała na zegarek, zobaczyła ze zdumieniem, że byli w powietrzu już prawie półtorej godziny; musiała pospać dłużej, niż myślała.

- Gdzie jesteście? - zapytała, podnosząc głos, żeby ją usłyszał. Uchylił jedną słuchawkę i obejrzał się przez ramię.

- Tak? - zapytał; miał lodowaty wyraz twarzy, ale jego ton był uprzejmy. Prawie.

- Gdzie jesteście? - powtórzyła.

- Zbliżamy się do Idaho.

Spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła olbrzymie góry z ośnieżonymi szczytami, wyrastające wprost przed nimi. Serce podeszło jej do gardła i lekko zachłysnęła się powietrzem; byli na kursie kolizyjnym z tymi górami, chyba że ich mały samolocik da radę wznieść się wyżej - o wiele wyżej.

Nałożył słuchawkę z powrotem na ucho, a jej wydało się, że widziała cień satysfakcji na jego ustach. Ze swojego miejsca nie mogła stwierdzić tego na pewno, ale jeśli słyszał, jak wciągnęła powietrze, to bez wątplenia go to rozbawiło. Oczywiście, że samolot mógł wznieść się wyżej; gdyby nie mógł, nie lecieliby nim. Ale ze mnie idiotka, pomyślała zirytowana.

Poprawiła się na siedzeniu i patrzyła na góry. Nadal były od nich sporo oddalone, ale przypominały gigantyczne, prehistoryczne bestie, czające się, aż się do nich zbliży, by zaatakować.

Góry zawsze mocno działały na jej wyobraźnię. W rzeczywistości były tylko wielkimi zmarszczkami na powierzchni ziemi. Z góry przypominały kartkę papieru, która została zmięta, a potem niedbale rozprostowana. Poza wulkanami, góry nigdy nie wykazywały żadnej aktywności, więc czemu zawsze wydawały jej się tworamia ożywionymi? Ich ożywienie nie miało nic wspólnego z tym, że rosły na nich drzewa czy że były zamieszkałe przez zwierzęta; góry wydawały się żyć i oddychać, mieć własną osobowość i komunikować się między sobą. Jako dziecko myślała, że pagórki są dziećmi gór i że rosną, żeby

stać się górami, a kiedy rosna, zsuwają się domy pobudowane na ich zboczach. Pamiętała, jak zawsze się bała podczas pobytu w domu nawet na najmniejszym wzniesieniu, myśląc, że lada moment grunt pod ich stopami zacznie się unosić, a oni spadną i się zabiją.

Przestała w to wierzyć w wieku lat dziesięciu, ale nigdy nie opuściła jej do końca uczucie, że góry żyją.

Przed nimi zaczęły zbierać się szare chmury; tworzył się jakiś front atmosferyczny i chmury nacierały na szczyty. Starsze panie się stroją, pomyślała. Chmury drapowały się na ramionach gór niczym przybrudzone boa, nad nimi były czapy śnieżne, a poniżej szerokie, zielone suknie.

W końcu Justice zaczął zwiększać wysokość. Zmieniła się tonacja pracy silnika, powietrze zrobiło się rzadsze. Na chwilę otuliły ich cienkie pasma chmur, samolot szarpnął parę razy.

Nachyliła się do przodu, próbując odczytać wskazania wysokościomierza, ale samolot znowu szarpnął i jej się nie udało.

- Na jakiej jesteście wysokości? - zapytała głośno.

- Cztery tysiące metrów - odparł, nie zdejmując dłoni ze sterów ani na nią nie patrząc. - Chcę zwiększyć wysokość do czterech i pół tysiąca.

Wzniesli się ponad „wyboistą” warstwę powietrza i dalej samolot płynął gładko. Spojrzała w dół, robiąc w myślach obliczenia. Byli czterzy kilometry nad ziemią. „Titanic” osiadł pod wodą na podobnej głębokości. Było to bardzo daleko od powierzchni ziemi. Myśl o wspaniałym liniowcu oceanicznym, na którym zgasły wszystkie światła, który przełamał się wpół i zatonał, sprawiła, że nagle zrobiło jej się zimno, przeszedł ją dreszcz i sięgnęła po żakiet. Ale nie włożyła go, zapatrzona w pierwszą, gigantyczną zmarszczkę ziemi, nad którą lecieli.

Silnik zakaszłał.

Żołądek podskoczył jej do gardła, zupełnie jakby była na kolejce górskiej. Serce zaczęło walić jak oszalałe, kiedy ponownie nachyliła się do przodu.

- Co to było? - zapytała spiętym, zaniepokojonym głosem.

Nie odpowiedział. Jego postawa zmieniła się w ułamku sekundy; nie był już rozluźniony, tylko w stanie pełnej gotowości. To zaalarmowało ją jeszcze bardziej niż drobna przerwa w monotonnym warkocie silnika. Zaciśnęła dłonie na krawędzi fotela, wbijając paznokcie w skórzane obicie.

- Coś jest nie tak?
- Wszystkie odczyty są prawidłowe - odparł krótko.
- W takim razie...
- Nie wiem. Zejdziemy trochę w dół.

Była nie za bardzo, pomyślała odrętwiała, patrząc w dół na olbrzymie, poszarpane skały, które nagle wydawały się o wiele za blisko, a miały znaleźć się jeszcze bliżej. Nie mógł sprowadzić ich za bardzo w dół, bo groziło to zawadzeniem o górski szczyt. Ale wyglądało na to, że silnik się uspokoił; gdyby to małe czknięcie sygnalizowało coś poważnego, chyba nie skończyłoby się na jednym.

Silnik znowu zakaszłał i tym razem aż szarpnęło samolotem. Bailey siedziała jak skamieniała, patrząc na kręcące się śmigło i wsłuchując się w poczynania silnika. Modliła się, żeby były to przejściowe kłopoty. Działaj, działaj, dopingowała go bezgłośnie. Po prostu działaj. Wyobrażała sobie miarowy warkot, wizualizowała śmigło obracające się tak szybko, że go w ogóle nie widziała. W jej głowie samolot wzbił się wysoko i przeleciał nad górami; pomyślała, że jeśli wystarczająco mocno się skoncentruje, stanie się tak naprawdę...

Silnik prychnął kilka razy... i stanął.

Nagle zapadła całkowita cisza. Patrzyła w niemym odrętwieniu, jak śmigło zwalnia, jak stają się wyraźne jego ramiona i one też... stają.

Rozdział 5

Szlag by to! - rzucił kapitan Justice przez zaciśnięte zęby; jego dłonie przemieszczały się szybko, kiedy próbował ponownie uruchomić silnik i utrzymać dziób samolotu w górze. Znaleźli się tak nisko nad górami, że gdyby dziób opadł, wylądowaliby prosto na skałach. Krajobraz poniżej był surowym, niegościnnym studium kontrastów: skaliste stoki pokrywał śnieg, tak biały, że niemal niebieski, cienie zaś były tak intensywne, że prawie czarne. Zbocza, strome i poszarpane, miejscami opadały prawie pionowo. Nie było nawet skrawka względnie płaskiego terenu, gdzie mogliby wylądować.

Bailey nie poruszała się, nie oddychała. Przerazenie i bezradność całkowicie ją sparaliżowały. Nie mogła w żaden sposób pomóc.

Nie mogła zrobić nic, żeby zapobiec tragicznemu finałowi. Nie mogła nawet krzyzczeć; jedyne, co mogła, to patrzeć i czekać na śmierć. Bo czekała ich śmierć; nie widziała innej możliwości. Za kilka minut, może nawet sekund rozbiją się o skalisty, pokryty śniegiem wierzchołek góry. Na razie zdawali się lecieć w miejscu, jakby samolot nie poddał się jeszcze sile grawitacji - albo jakby góry bawiły się z nimi w kotka i myszkę, pozwalając im żywić bezsensowną nadzieję, którą zamierzały zaraz odebrać.

- Mayday, Mayday, Mayday!

Jak przez ścianę słyszała Justice'a, który wykrzykiwał przez radio sygnał SOS, podawał oznakowanie samolotu i ich obecne położenie, a potem zaklął wściekle i zamilkł, walcząc z nieuchronnym. Samolot nagle zaczął opadać; ten gwałtowny ruch sprawił, że żołądek podszedł jej do gardła. Zaciśnęła mocno powieki, żeby nie widzieć skalistych szczytów zbliżających się do nich w szybkim tempie. Potem lewe skrzydło uniosło się, a prawe obniżyło, samolot przechylił się, co przyprawiło ją o mdłości. Parę sekund później prawe skrzydło uniosło się i przez chwilę - bardzo krótką chwilę - skrzydła były na jednym poziomie. Potem opadło lewe skrzydło i przechylili się na lewo.

Otworzyła oczy. Przez moment nie mogła skupić się na niczym; nie widziała wyraźnie, czuła ból w klatce piersiowej. Uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech; z wysiłkiem wypuściła powietrze i zaczerpnęła tchu. Po kolejnym wdechu trochę jej się przejaśniło przed oczami i zobaczyła jego. Widziała tylko jego, jakby jego obraz został powiększony, a cała reszta samolotu pozostawała we mgle. Widziała jego prawy profil, zaciśnięte szczęki, połyskującą warstewkę potu, nawet jego rzęsy i cień świeżo zgolonego zarostu.

Nagle przysła jej do głowy przerażająca myśl: był ostatnią osobą, jaką zobaczy przed śmiercią! Ponownie zaczerpnęła tchu. Umrze z nim, człowiekiem, który nawet jej nie lubił; powinno się umierać w towarzystwie kogoś, komu przynajmniej na tobie zależy. Ale on znalazł się w podobnej sytuacji, dotarło do niej; współczuła im obojgu. Myśl ta ulotniła się, kiedy jej uwagę przykuło coś innego. Co on, u licha, robi? Z niedowierzaniem uświadomiła sobie, że pilotował samolot, wprawnie i z olbrzymią determinacją, zapewne wspomagając się wszystkimi znanymi mu modlitwami. Silnik nie działał, ale on nadal pilotował ten cholerny samolot, jakimś cudem sprawując nad nim szczątkową władzę.

- Trzymaj się - powiedział szorstko. - Staram się sprowadzić samolot do linii drzew, ale może się nam nie udać.

Bailey miała wrażenie, że jej mózg pokrył szlam i myślenie przychodziło jej z trudem. Do linii drzew? Jakie to ma znaczenie? Ale udało jej się na chwilę otrząsnąć z przerażonego odrętwienia i pociąsnęła pas bezpieczeństwa, przycisnęła głowę do skórzanego oparcia fotela, palcami wczepiła się w oparcie.

Zacisnęła mocno powieki, żeby nie widzieć zbliżającej się śmierci, ale czuła, jak samolot najpierw przechylił się w jedną stronę, potem w drugą. Prądy termiczne, pomyślała, koncentrując się na tych dwóch słowach. Wykorzystywał prądy powietrzne, by ich niesły, chcąc dzięki nim zyskać kilka cennych sekund. Samolot był zbyt ciężki, nie mógł funkcjonować jak szybowiec, ale warstwy powietrza trochę spowalniały opadanie; czy wystarczająco, by im to coś dało, nie wiedziała. Kapitan Justice musiał mieć jakiś plan. W innym wypadku, czy walczyłby z taką determinacją, by utrzymać panowanie nad samolotem? Czy zawracałby sobie tym głowę, gdyby rezultat końcowy miał pozostać taki sam?

Przygotowana na najgorsze, czekała na ogłuszający huk towarzyszący zderzeniu z ziemią, na ostatnią sekundę świadomości. Miała nadzieję, że umieranie nie będzie bardzo bolało. Miała nadzieję, że ich ciała zostaną szybko odnalezione, żeby jej rodzina nie musiała przechodzić przez koszmar ciągnących się w nieskończoność poszukiwań. Błagała w myślach o wiele rzeczy, ale wiedziała, że żadna z nich się teraz nie ziści.

Wydawało się, jakby minęła godzina, od kiedy zatrzymał się silnik, choć zdawała sobie sprawę, że stało się to ledwie przed paroma minutami... nie, nie, jakimi minutami. Z całą pewnością trwało to mniej niż minutę, choć tych parę chwil zdawało się całą wiecznością.

Co powstrzymało ten cholerny samolot przed rozbiciem?

On. Justice. To on sprawiał, że wszystko przeciągało się w czasie. Wciąż walczył z grawitacją za nic nie chciał się poddać. Nagle poczuła irracjonalne pragnienie, by go uderzyć i powiedzieć, żeby przestał to przeciągać. Ile jeszcze zdoła wytrzymać jej serce, zanim ostatecznie wysiądzie? Nie żeby w tych okolicznościach robiło to jakąś różnicę...

Lup!

Pod wpływem ostrego szarpnięcia zadzwoniły jej zęby; zaraz potem usłyszała straszliwe, ogłuszające skrzypienie metalu i trzaski, zno-

wu łupnięcie, i jeszcze raz, a następnie było uderzenie, tak silne, że wszystko zasnuło się czernią. Pas ścisnął ją tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Resztkami świadomości odnotowała przechył na prawo, a potem dalsze opadanie; w miejscu trzymał ją tylko pas, jej nogi i ręce majtały się jak u szmacianej lalki. W końcu uderzyła prawą stroną głowy w coś twardego i straciła przytomność.

Bailey zakasłała.

Jej mózg ledwo odnotował tę mimowolną reakcję. Coś było nie tak; nie miała dość tlenu. Poczula niepokój i próbowała się poruszyć, próbowała się podnieść, ale ani jej ręce, ani nogi nie reagowały. Skupiła się, całą sobą skoncentrowana na wykonaniu ruchu, ale jej ciało nie sprostało takiemu wysiłkowi. Ponownie zapadła się w nicość.

Kiedy ponownie odzyskała przytomność, znowu zebrała wszystkie siły, skoncentrowała się i w końcu udało jej się poruszyć palcami lewej dłoni.

Z początku była świadoma samych drobiazgów, spraw, które dotyczyły jej bezpośrednio: tego, jak trudno jej się poruszać, że coś się wbija w jej prawe ramię, że znowu musi odkaslnąć. Wszystkiemu towarzyszył ból, silny i uporczywy. Bolało ją całe ciało, zupełnie jakby spadała...

Spadanie... Tak, spadała. Zgadza się. Przypomniała sobie uderzenie...

Nie. To samolot spadał... Samolot się rozbił.

Kiedy wszystko to do niej dotarło, nie mogła wyjść ze zdumienia. Samolot się rozbił, ale ona żyje!

Nie otwierała oczu, bo nie chciała widzieć rozmiarów swoich obrażeń. Jeśli straciła jakąś część ciała, nie chciała o tym wiedzieć. Po co, jeśli i tak umrze, od utraty krwi i szoku, na tym surowym szczycie górskim, oddalonym wiele kilometrów i godzin od ewentualnych ratowników. Chciała po prostu leżeć, z zamkniętymi oczami, godząc się, by było, co ma być. Wszystko bolało ją tak bardzo, że nie wyobrażała sobie, by miała się poruszyć, ryzykując jeszcze większy ból.

Ale irytowało ją, że coś przeszkadza jej w oddychaniu i że strasznie boli ją ramię, w które wbijał się jakiś ostry przedmiot. Musiała się ruszyć, musiała wydostać się z wraku. Zawsze kiedy rozbijał się samolot, istniało ryzyko pożaru. Musiała się zbierać.

Jęcząc, otworzyła oczy. Z początku obraz był zupełnie rozmyty, widziała tylko brązową mgłę. Wytrwale mrugała oczami i w końcu mgła stała się materiałem. Jedwab. To jej jedwabny żakiet. Z wysiłkiem uniosła lewą rękę i ściągnęła go z głowy. Na podłogę spadły z cichym brzękiem odłamki szkła.

Okej. Jej lewa ręka była sprawna. To była dobra wiadomość.

Usiłowała podciągnąć się w górę, ale coś wydawało się nie tak. Nic nie było na swoim miejscu. Podjęła jeszcze kilka anemicznych, daremnych prób podźwignięcia się, a potem jęknęła sfrustrowana. Zamiast więc się jak robak na haczyku, powinna dokonać oceny sytuacji, stwierdzić, czemu dokładnie musiała stawić czoło.

Skoncentrowała się z trudem. Oddychając głęboko, rozejrzała się wokół, bardzo uważnie. Mgła, drzewa, czasem skrawek niebieskiego nieba. Widziała swoje stopy, lewa była bez buta. Gdzie lewy but? Nagle, niczym błyskawica, jej świadomość przecięła inna myśl. Kapitan Justice! Gdzie on jest? Uniosła głowę, na tyle, na ile mogła, i wtedy go zobaczyła. Tkwił w swoim fotelu, bezwładny, ze spuszczoną głową. Rysy jego twarzy były rozmazane przez krew, całe mnóstwo krwi.

Gończkowo próbowała się podnieść, ale znowu opadła do tyłu. Pozycja, w jakiej się znajdowała, była co najmniej dziwna. Leżała na podłodze kabiny - nie, jednak nie. Skupiła się, wkładając w to wiele wysiłku, zmuszając swój mózg do przestawienia się z tego, czego oczekiwał, na jej rzeczywiste położenie, i nagle wszystko stało się jasne. Nadal była przypięta do siedzenia, a leżała na prawym boku, bo samolot osiadł pod dosyć ostrym kątem. Nie mogła usiąść prosto, bo najpierw musiała podciągnąć się w lewo, a żeby to zrobić, potrzebowała obu rąk; z kolei jej prawa ręka była uwięziona i nie mogła jej oswobodzić bez wcześniejszego uwolnienia jej od ciężaru swojego ciała.

O ile Justice jeszcze nie umarł, to wkrótce umrze, jeśli ona nie będzie w stanie mu pomóc. Wydostań się z fotela, rozkazała sobie. Lewą dłońią pogmerała przy dolnym pasie bezpieczeństwa i go odpięła. Kiedy pas puścił, dolna połowa jej ciała zsunęła się z siedzenia i grzmotnęła o podłogę, co sprawiło jej taki ból, że aż jęknęła, ale nadal przytrzymywał ją pas biegnący w poprzek piersi. Uwolniła się i podniosła na kolanach.

Nic dziwnego, że miała wrażenie, jakby coś wbijało się w jej prawe ramię: rzeczywiście, z tricepsa wystawał trójkątny kawałek metalu. Tak ją to zirytowało, że natychmiast wyszarpnęła odłamek i go odrzu-

ciła, a potem wspięła się do Justice'a. Kąt, pod jakim był przechylny samolot, sprawiał, że utrzymanie równowagi było bardzo trudne; jednak chociaż osłabiona i obolała, oparła prawą stopę o bok kabiny i podciągnęła się w górę, tak by dosięgnąć miejsca między siedzeniami dwóch pilotów.

Boże, ile krwi! Czy on nie żyje? Z całych sił walczył, żeby sprowadzić samolot na ziemię, dając im szansę na przeżycie; nie zniosłaby, gdyby się okazało, że zginął, próbując ją uratować. Palcami dotknęła jego szyi, ale wkładała tyle wysiłku w zapanowanie nad dygoczącą ręką, że nie mogła zbadać pulsu.

- Musisz żyć - szepnęła rozpaczliwie, przystawiając dłoń pod jego nos, żeby sprawdzić, czy oddycha. Zdawało jej się, że coś poczuła i zaczęła uważnie wpatrywać się w jego klatkę piersiową. W końcu zobaczyła, jak się unosi i opada, i poczuła taką ulgę, że niemal się rozplakała.

Nadal żył, ale był nieprzytomny i ranny. Co powinna zrobić? Czy powinna go ruszać? A jeśli miał uraz kręgosłupa? Jeśli nic nie robi, on może wykrwawić się na śmierć.

Na chwilę oparła swoją bolącą głowę o jego fotel. Myśl, Bailey! - nakazała sobie. Trzeba ustalić plan działania. Najpierw zajmie się tym, co od razu wiadomo, że jest z nim nie tak, a nie tym, co może być nie tak. Widziała wyraźnie, że tracił mnóstwo krwi. Najpierw więc powinna zatamować krwawienie.

Uniosła głowę, szukając czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, przemieszczając do kokpitu, ale miała ograniczone możliwości. Lewe skrzydło i większość kadłuba od tej strony zniknęło, zupełnie jakby ktoś otworzył samolot za pomocą gigantycznego otwieracza do puszek. Nie było się czego uchwycić, z wyjątkiem ostrych jak brzytwa, poszarpanych krawędzi metalu.

Z braku wyboru uchwyciła się oparcia fotela Justice'a i podciągnęła, wpełzając pomiędzy to, co zostało z dachu, a fotel drugiego pilota. Kuciała, opierając stopę na prawych drzwiach.

- Justice - powiedziała, bo czytała gdzieś, że nieprzytomni ludzie czasem słyszą i nawet reagują na swoje imiona. Nie wiadomo, czy to prawda czy nie, ale nie szkodziło spróbować.

- Justice! - powtórzyła, bardziej stanowczo, łapiąc go za ramiona i próbując podciągnąć do pionu. Ale równie dobrze mogłaby podciągać kłodę. Głowa opadała mu na bok, z nosa i podbródka kapiała krew.

Podciąganie go niczego nie da. Musi odpiąć pas i wydostać go z fotela, a potem spróbować wyciągnąć z samolotu.

Tak jak stało się w jej przypadku, i on wypadnie z fotela w chwili odpięcia pasa, ale samolot był mały, więc odległość od fotela do podłogi też była niewielka. Martwił ją tylko konar, który przebił metalową maskę samolotu niczym drewniany kołek serce wampira, wdzierając się do środka od strony drugiego pilota. Ostry czubek nie sterczał w górę, ale był skierowany do dołu, jednak wołała nie ryzykować, że Justice się na niego nadzieje, i zaczęła rozważać, czym go zakryć.

Pierwszą rzeczą, jaka przysła jej do głowy, była torebka, ale nigdzie jej nie widziała. Leżała na siedzeniu z lewej strony, więc mogła wylecieć, kiedy rozerwało samolot z tamtej strony. Rozejrzała się, ale wyszło na to, że jedyne, co miała do dyspozycji, to pomięty, zakrwawiony jedwabny żakiet. Wychyliła się z wysiłkiem; udało jej się złapać żakiet za rękaw i przyciągnąć do siebie. Ważył tyle co piórko. Jedwab był cienki, ale mocny, w tej sytuacji jednak nie potrzebowała mocnego, wytrzymałego materiału, tylko czegoś dużego i grubego, by zakryć ostry koniec gałęzi.

Nagle ją olśniło. Szybko nachyliła się, ściągnęła swój jedyny but, bardzo drogi, designerski mokasyn, i wcisnęła go na sterczący szpic. Potem złożyła żakiet i przymocowała do gałęzi jako dodatkowe zabezpieczenie.

- Słuchaj, Justice, zaraz wydostaniemy cię z fotela - powiedziała łagodnie. - Potem pomyślę, jak wydostać cię z samolotu, ale wszystko po kolei. Kiedy rozepnę pas, spadniesz, ale odległość jest niewielka, jakieś trzydzieści centymetrów. Gotowy? - Żeby nie spadł na nią, przygważdżając do podłoża i nie pozostawiając pola manewru, przepełzła z powrotem do tyłu.

Z jego gardła wydobył się głuchy jęk.

Podskoczyła; tak ją zaskoczył ten dźwięk, że niemal krzyknęła.

- Och, dzięki Bogu! - szepnęła do siebie, wyprostowując się. Odrobinę głośniejszy, jeszcze raz zwróciła się do niego: - Justice! Obudź się, jeśli możesz. Nie wydostanę cię sama z samolotu; jeżeli jesteś w stanie, będziesz musiał mi pomóc. Teraz rozepnę ci pas, dobrze? - Mówiąc to, sięgnęła do pasa i szukała na oślep zapięcia, przesuwając palce wzdłuż taśmy, aż dotarła do metalu. Rozległo się kliknięcie i Cam poleciał bezwładnie, na prawą stronę, twarzą do podłogi.

- Cholera! - jęknęła. Ta pozycja wcale nie była lepsza; leżał do niej tyłem i nadal nie widziała jego zakrwawionej twarzy. Do tego nie

za bardzo miała pole manewru, żeby wybadać, skąd dokładnie cieknie krew, i ją zatamować.

Bailey wzięła kilka głębokich wdechów, zastanawiając się, co dalej. Zimne, ostre powietrze pachniało igliwem. Otrzeźwiło ją. Jeszcze raz zrobiła bilans sytuacji. Nie mogła go podnieść, bo był za ciężki, a przechył samolotu zbyt duży. Ale gdyby udało jej się otworzyć drzwi od strony drugiego pilota, mogłaby go przez nie wyciągnąć. Gałąź nie wbiła się przez drzwi, tylko wcześniej, więc nie stanowiła w tej sytuacji utrudnienia. Ale biorąc pod uwagę przechylenie samolotu, drzwi mogły być zablokowane. Spojrzała w przyciemnione szyby po prawej stronie, ale były tak porysowane, że ledwo cokolwiek przez nie widziała i nie potrafiła stwierdzić, czy coś blokowało drzwi, czy nie.

Okno drugiego pilota miało zawiasy. Gdyby tylko udało się je otworzyć... Od razu przystąpiła do działania, ale rama tak się wygięła, że zawiasy nie chciały ustąpić. Sfrustrowana, zaczęła walić pięścią w szybę, czym osiągnęła tylko tyle, że rozboleła ją dłoń.

- Niech to szlag! - wyrzuciła z siebie rozzłoszczona. Skoro nie mogła otworzyć okna, to zapewne nie będzie mogła otworzyć także i drzwi. - Z drugiej strony - powiedziała głośno do siebie - po co tracić czas na okno, skoro to drzwi muszę otworzyć? - Jeśli uda się jej otworzyć drzwi, nie będzie musiała otwierać okna.

Miała wrażenie, że umykają jej oczywiste sprawy, że jej mózg pracuje tylko na pół gwizdka, robiła, co mogła. Czuła się, jakby ktoś ją obił; bolała ją głowa, z ramienia sączyła się krew. Zajmie się wszystkim w swoim czasie, a jak się komuś coś nie podoba, może spadać.

Może spadać... Bardzo zabawne. Cha, cha. Nie było nikogo, komu mogły się podobać lub nie podejmowane przez nią decyzje - tylko Justice, ale on był w stanie, który uniemożliwiał mu ewentualne komentowanie - tak więc mogła sobie pogadać.

Nogi.... Nogi były o wiele silniejsze niż ręce, a ona silniejsza od większości kobiet dzięki godzinom ćwiczeń. Potrafiła podnieść nogami dwieście kilogramów. Nie była mięczakiem, więc nie powinna myśleć jak mięczak. Jeśli drzwi się zacięły, może uda jej się wypchnąć je nogami.

Jednak żeby nie zadawać sobie niepotrzebnie trudu, nachyliła się do drzwi i pociągnęła za uchwyt, żeby zobaczyć, czy zamek ustąpi. Poczowała opór, usłyszała, jak metal ociera się o metal, ale spodziewała się tego i pociągnęła mocniej. Zamek ustąpił, ale drzwi się nie otworzyły.

Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby przytrzymać uchwyt w pozycji zwolnienia, bo inaczej nie otworzy drzwi wykopem. Nie miała nic, czym ani do czego mogłaby przywiązać Justice'a. Będzie trzeba jakoś podeprzeć go od dołu, ale niestety także nie miała czym.

Może znajdzie coś pod fotelami. Ludzie często wtykali coś pod siedzenia. Wyciągnęła rękę i pomacała podłogę. Nic.

Użyje skarpetki. Zdjęła jedną ze swoich cienkich, eleganckich skarpetek, skręciła z niej sznurek, obwiązała klamkę dwukrotnie, dla pewności, potem wpasowała się w fotel drugiego pilota i oparła nogi o drzwi. Pozycja była wyjątkowo niewygodna, ale dzięki skarpetce, którą obwiązała klamkę, zyskała kilka cennych centymetrów. Napinając mięśnie, ciągnęła skarpetkę w górę, ponownie czując opór ustępującego metalu. Drugą ręką wczepiła się w siedzenie, żeby nie polecieć do tyłu, nie osiągając niczego.

- Proszę - szepnęła, powoli zaczynając napierać nogami na drzwi. Mięśnie ud i łydek napięły się, twarde jak ze stali. Palce, wbijające się w siedzenie, zaczęły protestować i coraz bardziej ślizgać. Ale ona się nie poddawała i robiła wszystko, co w jej mocy, by w końcu wyprostować nogi.

Drzwi otworzyły się ze skrzyknięciem, jej dłoń zsunęła się z siedzenia, a ona z całym impetem poleciała do tyłu. Szybko pozbierała się, a serce waliło jej jak młotem z radości. Udało się! Odwiązała skarpetkę od klamki i z powrotem wciągnęła na stopę. Ponownie oparła stopy o drzwi i pchała, dopóki nie ustąpiły na szerokość trzydziestu centymetrów. Pomyślała z triumfem, że spokojnie może się wydostać, po czym wychyliła się, by sprawdzić, czy nic nie zagraadza drogi wyjścia, żadne drzewo czy skała. Niczego takiego nie było, zaczęła więc przeciskać się na zewnątrz, przy okazji obcierając o metal plecy oraz biodra. Ale wydostała się i stanęła na przysypanej śniegiem ziemi.

Cienkie skarpetki natychmiast przegrały konfrontację z lodowato zimnym śniegiem; powinna szybko włożyć suche skarpety i buty, żeby nie nabawić się odmrożeń. Moje stopy będą musiały jeszcze chwilę poczekać, pomyślała; ważniejszy był Justice.

Oszacowała wielkość otworu pod kątem wymiarów mężczyzny. Nie zmieści się, za szeroki w barach. Będzie musiała otworzyć drzwi szerzej. Złapała je za krawędź i ciągnęła, póki skrzypiący, pokierszowany metal nie ustąpił kilka dodatkowych centymetrów. Powinno wystarczyć, pomyślała, oddychając szybko, zbyt szybko. Na tej wysokości musiała

bardzo uważać, żeby się nie przemęczać, bo inaczej groziła jej choroba wysokościowa. Już i tak się trochę spocila, a to było niebezpieczne na zimnie. Miała na sobie tylko lekkie, cienkie spodnie, jedwabną bluzeczkę, bieliznę i skarpetki, czyli nic, co by pomagało jej organizmowi utrzymać ciepło. Jej walizki były pełne ubrań, ale wydostanie ich nie będzie takie łatwe, poza tym najpierw musiała wyciągnąć Justice'a.

Cam znowu jęknął. Pamiętając, jak wolno sama odzyskiwała przytomność, jak trudne było nawet przysłowiowe kiwnięcie palcem, przykucnęła przy drzwiach i zaczęła do niego mówić, wyciągając ręce i chwytając go pod pachy.

- Justice, spróbuj się obudzić. Wyciągnę cię teraz z samolotu. Nie wiem, czy masz jakieś złamania albo czy dolega ci coś innego, więc będziesz musiał mi powiedzieć, jeśli coś cię zaboli, okej?

Żadnej odpowiedzi.

Bailey napięła mięśnie nóg i odepchnęła się do tyłu. Musiała się nieźle gimnastykować, ale ciągnęła go w dół, więc przynajmniej gravitacja jej sprzyjała. Kiedy przez drzwi przeszły jego głowa i ramiona, zmieniła pozycję, wsuwając się bardziej pod niego; był zupełnie bezwładny, niezdolny, by zadbać o siebie, toteż sama musiała chronić jego głowę. Zrobiła chwilę przerwy, żeby złapać tchu, po czym podciągnęła kolana, wbiła pięty w ziemię i jeszcze raz się odepchnęła, ciągnąc Justice'a ze sobą. W końcu wysunął się całkowicie z samolotu, przygważdżając ją do lodowato zimnej ziemi.

Boże. W końcu zobaczyła jego twarz i straszne, głębokie rozcięcie, zaczynające się gdzieś z tyłu głowy, biegnące przez całe czoło aż do prawej brwi. Nie знаła się za bardzo na udzielaniu pierwszej pomocy, ale wiedziała, że rozcięcie głowy grozi poważną utratą krwi. Dowodem na to były jego zakrwawiona twarz, przesiąknięte krwią koszula i spodnie.

Ważył chyba z tonę. Dysząc i wierzgając, wydostała się spod niego i przekreśliła go na plecy. Szybko traciła energię i siedziała przez moment ze spuszczoną głową, starając się odzyskać oddech. Strasznie bolały ją przemarznięte stopy, a teraz jeszcze uwalala w śniegu całe ubranie, które robiło się coraz bardziej mokre. Nie zginęła w katastrofie lotniczej, ale jeszcze trochę, a wykończy ją ta wysokość oraz hipotermia.

Justice zaczął oddychać głębiej, chodziła mu grdyka.

- Justice? - jęknęła Bailey.

Przełknął i wymamrotał:

- Co jest, do cholery?

Choć nie było jej wesoło, zaśmiała się. Ich sytuacja nie była ani trochę lepsza, ale przynajmniej odzyskiwał przytomność.

- Samolot się rozbił. Żyjemy, ale masz rozciętą głowę i muszę zatamować krwawienie. - Powoli podniosła się na kolana i sięgnęła do kokpitu, szukając swojego jedyne buta i żakietu. Była przemarznęta i choć żakiet był cienki, zawsze lepsze to niż nic. Zaczęła go wkładać, ale po chwili wyciągnęła rękę z powrotem. Wywróciła rękaw na lewą stronę, żeby dobrać się do szwu i zaczęła pruć. Potrzebowała jakiegoś materiału opatrunkowego, czegoś, co by mogła przyłożyć do rozcięcia i przycisnąć.

Zakaszał i wymamrotał coś jeszcze. Przerwała pracę i nachyliła się do niego. Nie rozumiała wszystkiego, co powiedział, ale część tego brzmiała jak „apteczka”.

- Co? Nie zrozumiałam. W samolocie jest apteczka?

Znowu przełknął ślinę. Nie otworzył jeszcze oczu, ale odzyskiwał przytomność.

- W schowku....

Całe szczęście! Apteczka była ich kołem ratunkowym - o ile uda jej się otworzyć schowek. Przykucnęła i wśliznęła się z powrotem do samolotu. Schowek był przed fotelem drugiego pilota. Wsunęła palce pod klapkę i pociągnęła, ale nie poszło jej tak łatwo jak wcześniej z drzwiami. Walnęła pięścią i pociągnęła raz jeszcze. Znowu nic.

Potrzebowała czegoś mocnego, z ostrym zakończeniem, żeby podważyć zamknięcie. Rozejrzała się wokół, co jak się jej zdawało, robiła już po raz trzydziesty. W samolocie musiało być coś, czego mogłaby użyć, jak... jak na przykład ten łom, przytwierdzony u dołu do siedzenia drugiego pilota. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Czy już miała halucynacje? Zamrugęła, ale łom nie zniknął. Dotknęła go i poczuła zimny, ciężki metal. Łom był krótki, miał zaledwie trzydzieści centymetrów długości, ale istniał naprawdę i był dokładnie tym, czego potrzebowała.

Zdjęła łom z widełek, włożyła jego końcówkę pod zamknięcie i podważyła. Klapka trochę się wygięła, po czym ustąpiła.

Chwyciła ciemnooliwkowe pudełko z czerwonym krzyżem i wy dostała się na zewnątrz. Uklękła w śniegu obok Justice'a i zaczęła szamotać się z zatraskiem apteczki. Dlaczego wszystko musiało być

zamknięte na jakiś cholerny zamek? Dlaczego rzeczy nie mogły otwierać się tak po prostu?

Otworzył oczy, odrobineę, i udało mu się unieść rękę do głowy. Bailey złapała go za nadgarstek.

- Nie, nie dotykaj. Bardzo krwawisz, muszę to zatamować.

- Szwy... - wychrypiał, zamykając oczy, by nie sączyła się do nich krew.

- Co?

Zaczerpnął parę razy powietrze, mówienie przychodziło mu z dużym trudem.

- Szwy... Apteczka.

Wpatrywała się w niego, przerażona. Mogła oczyścić skaleczenie, zdezynfekować, opatrzyć, zabandażować. Ale on chciał, żeby mu je zszyla?

- Cholera! - wyrzuciła z siebie.

Rozdział 6

Sprzecanie się z półprzytomnym człowiekiem nie miało sensu, ale Bailey nie mogła się pohamować.

- Nie mam żadnego przygotowania medycznego, no, chyba żeby liczyć oglądanie Ostrego dyżuru. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby, żebym go szyla, ale, zaraz, przecież to nie dotyczy ciebie, prawda? Masz obrażenia głowy. Osoby z podejrzeniem uszkodzenia mózgu nie powinny podejmować decyzji, więc zignoruję twoją propozycję. Poza tym ja nie szyję.

- Naucz... się - wymamrotał. - Zrób... coś pożytecznego.

Zgrzytnęła zębami. Coś pożytecznego? A niby co robiła przez cały czas, kiedy on sobie leżał w najlepsze, nieprzytomny? Czy on myśli, że wydostał się z samolotu o własnych siłach? Była zmarznięta i przemoczona, bo wyciągając go z samolotu, leżała w śniegu. Miała sine ręce, i tak bardzo się trzęsła, że nawet gdyby spróbowała go zszyć, nie wyszłoby mu to na dobre.

Gdzie żakiet? Zupełnie o nim zapomniała, najlepszy dowód na to, że szok lub zimno, a może jedno i drugie, spowolniły jej proce-

sy myślowe. Okryła się nim, wdzięczna nawet za tak prowizoryczną ochronę przed zimnem; była tak bardzo przemoczona, że wiedziała, iż cokolwiek by na siebie włożyła i tak by jej nie rozgrzało, póki się nie wysuszy.

W milczeniu otworzyła opakowanie gazików i przyłożyła dwa do rozcięcia na głowie Justice'a, przyciskając je dłońmi. Z jego gardła wydobyło się stłumione jęknięcie, ale leżał absolutnie nieruchomo.

Doszła do wniosku, że pewnie powinna do niego mówić, aby pomóc mu zachować przytomność.

- Nie wiem, od czego zacząć... - Urwała, bo chwycił ją atak konwulsyjnych drgawek i szczękały jej zęby. Kiedy atak minął, skupiła się na dociskaniu gazików do szramy. - Muszę zatamować to krwawienie. Ale jesteśmy-śmy na śnie-egu - przerwał jej kolejny atak drgawek - i jestem tak zmarznięta i przemoczona, że ledwo mogę się ruszać. Znajdziesz się w szoku...

Wziął kilka oddechów, zbierając się, by coś powiedzieć.

- Apteczka - wydusił w końcu. - Koc... na dnie.

Zostawiła gaziki na jego głowie i zaczęła wyciągać rzeczy z apteczki, układając je na otwartej pokrywie. Na samym dnie, starannie zapakowany, leżał cienki, srebrny koc termiczny. Wyjęła go i rozłożyła. Nie wiedziała, na ile się to okaże skuteczne, ale zamierzała wykorzystać go jako warstwę izolacyjną chroniącą przed zimnem. Kusiło ją, by owinać się kocem i zwinąć w kłębek, póki nie zrobi się jej choć odrobinę cieplej, ale Justice stracił mnóstwo krwi i potrzebował tego koca bardziej niż ona.

Co powinna zrobić, położyć koc pod nim, żeby nie leżał na zimnym śniegu, czy okryć go nim, by nie tracił ciepła? Ale czy ogrzeje się, leżąc w śniegu? Cholera, nie ma czasu! Musi działać instynktownie.

- Rozłożę koc obok ciebie - powiedziała. - A teraz pomogę ci przesunąć się na niego, żebyś nie leżał w śniegu. Będziesz musiał mi pomóc. Możesz to zrobić?

- Tak - sapnął z wysiłkiem.

- Okej, zaczynamy. - Uklękła na kocu, wsunęła prawą rękę pod jego szyję, lewą złapała za pasek od jego spodni i pociągnęła. Pomagał jej tyle, ile mógł, wykorzystując stopy i prawą rękę; jednak najważniejsze, że nie był już bezwładny. Wreszcie udało jej się sprawić, że większość jego tułowia leżała na kocu. Uznała, że dobre i tyle, resztą koca okryła go, gdzie tylko mogła.

Czuając nagłe mdłości i zawroty głowy, osunęła się na ziemię obok niego. Choroba wysokościowa, pomyślała. Była niemal u kresu wytrzymałości. Jeśli nie odpocznie, padnie tutaj, w tym śniegu, i więcej się nie podniesie; nie doczeka kolejnego ranka, może nawet nie doczeka zachodu słońca.

Za wszelką cenę, jak najszybciej, musiała się dostać do swoich walizek, włożyć suche ubrania, i to kilka warstw ubrań. Trzeba działać, bo inaczej oboje zginą.

Nakazała sobie powoli, głęboko oddychać, żeby nakarmić swoje domagające się tlenu ciało. Powoli - to było kluczem. Powinna, w miarę możliwości, działać powoli, nie poddawać się panice, która zmuszała ją do pośpiechu, bo to mogło się skończyć zasłabnięciem. Każdy ruch musi być zaplanowany, żeby nie musiała tracić niepotrzebnie energii.

Bagaż został załadowany do schowka bagażowego przez oddzielne drzwi i zabezpieczony specjalną siatką, żeby nie latał po kokpicie w przypadku turbulencji - choć Bailey uważała, że jej walizki są zbyt duże, żeby przelecieć przez pustą przestrzeń między dachem a oparciami foteli. Problem w tym, że choć dach w większości odpadł i walizki z powodzeniem przeszłyby przez ziejącą dziurę, musiałaby je unieść praktycznie pionowo. Były bardzo ciężkie, a ona osłabiona, zziębnięta i wyczerpana, nie sądziła więc, by mogła temu podołać. Postanowiła otworzyć je w schowku bagażowym i tam wyciągnąć potrzebne rzeczy.

Najpierw musi rozpiąć siatkę zabezpieczającą. Była pewna, że dośięgnie do zaczepów, ale nie wiedziała, czy poradzi sobie, jeśli okażą się jakieś wyjątkowo odporne. W takim wypadku będzie musiała w jakiś inny sposób przedostać się za siatkę.

- Musimy się rozgrzać. Idę wyjąć ubrania z moich walizek - powiedziała do Cama. - Jeśli z jakiegoś powodu nie uda mi się rozpiąć siatki zabezpieczającej, masz może jakiś nóż, żebyśmy mogła ją rozciąć?

Uchylił lekko oczy, po czym znowu je zamknął.

- W lewej kieszeni.

Uklękła, odchyliła koc, którym go przed chwilą opatulili i wsunęła prawą dłoń do jego kieszeni. Ciepło, jakie poczuła, było tak zaskakujące i tak rozkoszne, że niemal jęknęła, ale miała tak zdrętwiałe palce, że ciężko jej było stwierdzić, czy dotykała noża, czy nie. Chwyła to coś.

- Ostrożnie - zamruczał. - Tam na dole jest Figlarny Charlie, a on jest przytwierdzony na stałe.

Bailey prychnęła.

- To go zabierz, jeśli tak się o niego martwisz. - Faceci. Mogli być o krok od śmierci z powodu hipotermii, i, jak w jego wypadku, utraty krwi, ale nadal chuchali i dmuchali na swoje penisy. - Figlarny Charlie, dobre sobie - wymamrotała, wyciągając rękę z jego kieszeni, żeby zobaczyć, czy trafiła na nóż.

Na moment na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

Wpatrywała się w jego zakrwawioną twarz. Pierwszy raz widziała, żeby się uśmiechał, i bardzo ją to poruszyło, bo choć walczyła jak lwica, mogli nie wyjść z tego cało. On się nie poddał, sprowadził ich w jednym kawałku na ziemię, i nie była w stanie znieść myśli, że mógłby umrzeć z powodu jej błędnej decyzji czy tego, że nie zrobiła wystarczająco dużo. Zawdzięczała mu życie i zrobi wszystko, żeby teraz chronić jego - nawet go zszyje, jeśli tak trzeba, a niech to!

W dłoni miała scyzoryk i trochę drobniaków. Monety schowała z powrotem do jego kieszeni, ponownie opatulila go kocem.

- Wróć za parę minut - powiedziała, dotykając jego klatki piersiowej, by dodać mu otuchy.

Samolot wyglądał jak okaleczony ptak; nie miał lewego skrzydła, prawe było zgniecione. Znajdowali się poniżej wraku, co, jak uświadomiła sobie, nie było najbezpieczniejszym miejscem, gdyby wrak zaczął się zsuwać po zboczu. Choć nie sądziła, by miało się tak stać, ponieważ zgniecione skrzydło wbiło się w podłoże, a kadłub był nadziany na konar, wolała nie ryzykować i usunąć się gdzieś na bok, jak już ubierze się, rozgrzeje i poczuje bardziej na siłach do podjęcia takiego wysiłku.

Nie miała kieszeni, więc trzymała scyzoryk w zębach, gramoląc się z powrotem do kokpitu, a potem przemieszczając na tył samolotu. Klęcząc na fotelu, sięgnęła do zaczepów siatki zabezpieczającej. Co za ulga, nie było żadnego problemu z odpięciem siatki. Odsunęła ją na bok, przyciągnęła jedną z walizek i otworzyła; walizki były identyczne, więc nie wiedziała, co jest w której, ale o to nie dbała. Chciała, żeby było jej sucho i ciepło, i naprawdę nie miało znaczenia, co na siebie włoży.

Torba Justice'a też tam była - typowa torba podróżna pilota, w rozmiarze pozwalającym na zmieszczenie w niej przyborów do golenia i jednego kompletu ubrań na zmianę. Wyciągnęła ją ponad siedzeniem,

bo nie było sensu zostawiać jej w samolocie, nawet jeśli nie sądziła, by potrzebowała z niej czegoś akurat teraz. Miała dość ubrań, którymi mogła go okryć; na razie nie musiał ich wkładać, zwłaszcza że nawet nie był w stanie się podnieść. Uznała, że zachowa ubrania, w które się mieścił, na później.

Zaczęła wyciągać rzeczy z otwartej walizki. Kiedy dotarła do flanelowej koszuli, ściągnęła z siebie jedwabny żakiet i bluzkę. Stanik też był mokry, więc również go zdjęła. Trzęsąc się z zimna, włożyła koszulę i zapięła pod samą szyję, dopiero potem zabrała się do dalszego opróżniania walizki. Po dotarciu do ciepłych części garderoby, z których mogła skorzystać od razu, przerwała pracę i zaczęła się ubierać. Skarpety. Spodnie dresowe. Jeszcze jedna para skarpet. Gruba, ocieplana kamizelka z kieszeniami; do jednej z nich schowała scyzoryk Justice'a. Potrzebowała jeszcze czegoś na głowę, ale jedyną rzeczą z kapturem, jaką zabrała, była dzianinowa bluza. Nie chciała czekać, aż na nią natrafi, i skorzystała z pierwszej koszuli z długim rękawem, jaka wpadła jej w ręce; narzuciła ją, a rękawy zawiązała pod brodą, jakby to była chusta.

Od razu poczuła się lepiej, a przynajmniej nie czuła się już tak tragicznie jak jeszcze chwilę temu.

Znalazła plastikowe worki na śmieci, w których zamierzała na spływie trzymać brudne ciuchy, i zaczęła ładować w nie ubrania. Po opróżnieniu pierwszej walizki odsunęła ją na bok i przyciągnęła kolejną, obracając ją, by dostać się do suwaka. W tej walizce znalazła buty trekkingowe i wzięła je, cała uszczęśliwiona. Przyjemnie byłoby najpierw rozgrzać stopy, ale nie mogła sobie pozwolić na taki luksus.

Miała już dość ubrań, żeby go okryć, więc przerwała opróżnianie drugiej walizki, trzecią zostawiając w ogóle nietkniętą. Najpierw wyrzuciła na zewnątrz torbę podróżną Justice'a, potem dwa wypchane worki na śmieci. Przemieszczając się do wyjścia, zauważyła winylową wykładzinę przed fotelami pilotów. Wyjęła z kieszeni kamizelki scyzoryk i zabrała się do pracy.

Justice leżał zupełnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Gaziki na jego czole były nasiąknięte krwią.

- Wróciłam. - Ukłękła przed nim, położywszy sobie kawałek winylu pod kolana. - Przyniosłam ubrania, którymi cię przykryję, jak tylko zatamuję krwawienie i pozbędę się tych zakrwawionych szmat.

- Okej - wymamrotał.

Nadal był przytomny, ale jego głos osłabł. Wyjęła z apteczki jeszcze dwa gaziki, położyła je na tych nasiąkniętych krwią i przycisnęła. Cały czas do niego mówiła, opowiadając mu o wszystkim, co i dlaczego zrobiła. Mógł wyrazić swój sprzeciw, jeśli coś mu się nie podobało, ale milczał.

Nie pomyślała o tym, żeby mierzyć czas od momentu, kiedy zaczęła przyciskać opatrunek do jego czoła, ale za trzecim razem, kiedy zajrzała pod gaziki, zobaczyła, że krew sączy się o wiele wolniej. Znowu docisnęła, odczekała jakieś pięć minut, i jeszcze raz sprawdziła. Krwawienie ustało.

- Zdaje się, że w końcu opanowaliśmy sytuację. - Odetchnęła.

Następnym krokiem było przemycie rany z brudu i usunięcie ewentualnych odłamków, ale do tego potrzebowała wody. W torebce, która jej zginęła, miała butelkę wody. Torebka musiała gdzieś tu być. Prawdopodobnie wypadła z samolotu, kiedy odłamało się lewe skrzydło, więc jeśli uda jej się zlokalizować brakujące skrzydło, torebka powinna być gdzieś pomiędzy tym skrzydłem a resztą wraku.

- Idę poszukać wody - powiedziała mu.

- Nigdzie się nie wybieram.

Nie miała co do tego obaw; nie byłby w stanie stanąć o własnych siłach.

Wstała i zaczęła przyglądać się najbliższemu otoczeniu samolotu. Nie zauważyła torebki, więc uniosła głowę, pokonując wzrokiem drogę, którą przebył samolot, zostawiając po sobie połamane drzewa i gałęzie.

Jej oczy się rozszerzyły. Otaczały ją olbrzymie, milczące, pokryte śniegiem góry. Jedynym dźwiękiem, jaki od czasu do czasu słyszała, było wzdychanie wiatru w gałęziach drzew. Nie szeleściły liście, nie śpiewały ptaki.

Góry, monstrialnie wielkie, otaczały ją ze wszystkich stron i były tak wysokie, że wkrótce zasłonią południowe słońce. Powoli, z niedowierzaniem, obróciła się wokół własnej osi. Gdziekolwiek spojrziała, widziała góry. I jeszcze więcej gór. Ukryte za woalką z szarych chmur, rzucały wielkie, czarne cienie. Samolot, który osiadł na zboczu, był zaledwie maleńką kropką, częściowo zamaskowaną przez konary połamanych drzew, na których się zatrzymał.

Poczuła się jak nic nieznaczący karzełek, maleńki pyłek. Ona i Justice byli niczym w obliczu potęgi gór, uświadomiła sobie. Niewyklu-

zione, że miną dni, zanim dotrze do nich jakaś pomoc. Byli zdani tylko na siebie.

Rozdział 7

Bailey szukała torebki tak długo, jak mogła to robić bez przesadnego forsowania się, ale szerzej zakrojone poszukiwania wymagały wspinania się na strome, czasami nawet bardzo strome fragmenty stoku, czego po prostu nie była w stanie zrobić. W końcu dała za wygraną i powoli wróciła do Justice'a. Wyglądał okropnie, i nie chodziło tylko o krew; leżał całkowicie nieruchomo, zupełnie jakby stopniowo uchodziło z niego życie, mimo że udało jej się zatamować krwawienie. Nawet jeśli nie zabiła go utrata krwi, mogła to sprawić zimno i szok. Na samą myśl ścisnął się jej żołądek.

- Justice, nie śpisz?

Odpowiedział mruknięciem.

- Nie mogę znaleźć butelki z wodą, którą zabrałam. Jest śnieg, ale nie mam jak rozpalić ognia, żeby go stopić. Jeśli nie obmyję ci rozcięcia przed zszyciem, istnieje duże ryzyko, że zrobi się zakażenie. Postaram się je oczyścić za pomocą gazików do dezynfekcji, ale to za chwilę, najpierw muszę zadbać o to, żeby było ci ciepłej. - Obejrzała się zaniepokojona na samolot. Nadal uważała, że nie powinien się zsunąć, ale też nie mogła w pełni wykluczyć takiej możliwości. Ale przesunięcie go to jeszcze jedna rzecz, która musi poczekać.

- Dobrze - stęknął słabo Cam.

Szybko ułożyła mu stopy na jednym z wypchanych ubraniami worków. Otworzyła drugi worek, wyciągnęła flanelową koszulę i ostrożnie wsunęła mu pod głowę, by tracił jak najmniej ciepła przez kontakt z podłożem. Potem odwinęła brzeg koca termicznego i zaczęła przykrywać go swoimi ubraniami, począwszy od stóp, kierując się w górę. Kiedy dotarła do jego koszuli, zimnej i mokrej od krwi, otworzyła scyzoryk i po prostu ją rozcięła, a następnie starła krew z jego torsu pierwszą rzeczą, jaka nawinęła jej się pod rękę - swoimi majtkami.

Kiedy go osuszyła, przykryła ubraniami jego tors i ramiona. Na koniec wsunęła się pod przykrycie z ubrań i położyła tak blisko Justice'a

że do siebie przylegali. Przykryła ich głowy koszulą, by powietrze, którym będą oddychać, było cieplejsze. Co prawda przez materiał koszuli przenikało światło, ale miało się wrażenie, jakby byli w jaskini. I rzeczywiście, powietrze wokół dzięki ich oddechom prawie natychmiast zrobiło się cieplejsze, co było tak przyjemne, że miała ochotę mruzczyć z zadowolenia.

Za to on był lodowaty. Powinien wypić coś ciepłego albo zjeść coś słodkiego, co by mu pomogło w walce z szokiem i zimnem. Widocznie jeszcze nie odzyskała zwykłej jasności myślenia - nie mogła dać mu nic do picia, ale przecież do jednej z walizek zapakowała kilka batoników i gumy do żucia - najwyraźniej do tej, której jeszcze nie otworzyła. Powinna była o tym pamiętać i poświęcić parę minut, by je znaleźć.

Nie trzęsa się już tak bardzo jak przedtem, ale on nie trząsał się w ogóle. To też nie było dobrze.

- Hej, Justice - szepnęła głośno. - Nie śpij. Rozmawiaj ze mną. Powiedz, czy czujesz jakieś ciepło ode mnie.

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, aż zaczęła się martwić, że znowu stracił przytomność, a w końcu sapnął:

- Nie.

Może miała na sobie za dużo ubrań, żeby mógł poczuć ciepło jej ciała. Wierząc się pod stertą ciuchów, ściągnęła ocieplaną kamizelkę i przykryła nią jego. Zrobiło jej się zimno, więc przywarła do niego, by sama częściowo znaleźć się pod kamizelką. Kamizelka nagrzała się od niej; czuła wchłonięte przez nią ciepło swoimi zmarzniętymi dłońmi.

- Teraz czuję - zamruczał sennie.

- To dobrze. Nie możesz zasypiać, więc rozmawiaj ze mną. Jeśli nie możesz wymyślić nic ciekawego do powiedzenia, po prostu wydawaj od czasu jakiegoś odgłosy, żebyś wiedziała, że nadal jesteś przytomny.

Zaczęła masować lewą dłonią jego tors, ramiona i ręce, żeby pobudzić krążenie.

- W jednej z walizek mam batoniki. Kiedy zrobi ci się cieplej, pójde po nie; poczujesz się lepiej, jak dostarczysz organizmowi trochę cukru. - Urwała. - Teraz ty coś powiedz.

- Coś.

- Mądrała. - Choć powiedział to bardzo słabym głosem, właściwie wybełkotał, poczuła ulgę. Skoro ciągle był w stanie dowcipkować, może nie było z nim aż tak źle, jak się bała.

Cam słuchał pani Wingate. Miał wrażenie, jakby jego świadomość istnienia podzieliła się na dwie części i jedna z nich odpływała w mgłę, przytrzymywana jedynie przez padające co jakiś czas żądanie, by coś odpowiedział. W pełni za to odczuwał wszystko, co związane z fizycznością; było mu tak zimno, że odkrył zupełnie nowe znaczenie tego słowa. Czemu te dwie części świadomości nie mogły zamienić się miejscami, świadomość fizyczna odpłynąć w nieznaną? Nie chciał, by podzielona świadomość się teraz złączyła, ale jednocześnie wiedział, że nie może już dalej odpłynąć.

Dźwięk jej głosu był czymś, na czym mógł się skupić, czymś, co nie pozwalało odpłynąć mu za daleko w nieprzenikniony mrok. Wiedział, że jest ranny, wiedział nawet dlaczego, ale nie pamiętał, jak to się dokładnie stało. Wylądował awaryjnie, ewidentnie pomyślnie, skoro oboje przeżyli. Pamiętał, że z niewyjaśnionych przyczyn silnik nagle przestał działać, pamiętał, jak starał się sprowadzić samolot do linii drzew, żeby złagodziły siłę uderzenia. I na tym koniec; nie przypominał sobie samego momentu uderzenia. Następne, co pamiętał, to to, że czuł się, jakby ktoś przywalił mu w głowę kijem bejsbolowym - do diabła, czuł się, jakby miał obite całe ciało - i że jedyne, co słyszał, to głos pani Wingate zwracającej się do niego po nazwisku.

Musiał się mocno skupić, żeby uchwycić się jej słów, ale czasami jego myśli odpływały i tracił z nią kontakt; świadomość wracała mu pod wpływem jej natarczywego pytania czy ukłucia bólu. Czasami słyszał wszystkie słowa głośno i wyraźnie, czasami były dla niego tylko ciągiem dźwięków, o których wiedział, że powinny coś znaczyć, ale nie znaczyły. Nie było wyraźnej granicy pomiędzy tym, co realne, a tym, co nierealne, i tak sobie dryfował między jednym a drugim światem.

Teraz go dotykała. To przynajmniej działa się naprawdę, bo czuł jej dotyk. Trochę go to zaskoczyło: nie chciała z nim rozmawiać, ale go dotykała? Dziwne. Przykryła go czymś; nie wiedział czym, ale czuł ciężar przykrycia i było to miłe. Potem położyła się obok niego, objęła go i zaczęła energicznie pocierać jego klatkę piersiową i rękę. Powoli zaczął odczuwać delikatne ciepło.

Ciepło, choć bardzo słabe, było cudowne. Cudownie było też czuć jej piersi na swoim ramieniu, co według niego dowodziło tego, że facet, nawet jedną nogą w grobie, pozostaje facetem, i biust, mały czy duży, zawsze na niego działa. Przyjemne doznania, na które składały się ciepło i kontakt z biustem, tak go odprężyły, że zaczął odpływać w sen.

Relaks został zakłócony, kiedy całe jego ciało nagle zeszywniało, a potem wstrząsnął nim dreszcz. Już wcześniej było mu zimno, tak zimno, że szcząkał zębami i drżał, ale pierwszy raz spotkało go coś takiego. Dreszcze wstrząsały nim od góry do dołu, co odczuwał zarówno wszystkimi mięśniami, jak i kośćmi. Zaczął dzwonić zębami. Z obawy, że je sobie połamie, zacisnął mocno szczęki. Pani Wingate objęła go mocniej, mruczając coś, czego nie rozumiał. Po kilku minutach dygotanie ustało i wyczerpany poczuł, jak jego mięśnie wiotczeją.

Zaczynał się odprężać, kiedy wstrząsnął nim kolejny spazm.

Nie wiedział, jak długo trwały te potworne drgawki, i choć strasznie cierpiał, nie mógł zrobić nic, żeby nad nimi zapanować. Ona cały czas była przy nim; obejmowała go, głaskała, mówiła do niego. Uczył się jej głosu niczym liny ratunkowej; przez większość czasu nie mógł zrozumieć, co mówiła, ale dopóki ją w ogóle słyszał, oznaczało to, że nadal żył. Jego własne ciało próbowało go zabić, ale do diabła z tym. Nie zamierzał się poddawać, nawet jeśli był tak wyczerpany, że kapitulacja byłaby o wiele łatwiejsza od walki.

Chciał tylko odpocząć. Zdrzemnąć się. Ale podczas tych krótkich chwil, kiedy dreszcze ustawały i się rozluźniał, nie mógł spać, bo ona nie przestawała mówić. W którymś momencie jego mózg zaczął na nowo kontaktować i słowa znowu miały sens... Dobrze. Masz dreszcze, to dobrze.

Dreszcze? Nazywała te potworne, paraliżujące spazmy dreszczami?

Korzystając z chwili przytomności, stękał:

- Brednie.

Usłyszał niski dźwięk, chyba śmiech. Pani Wingate się śmiała? Czyżby miał halucynacje?

- Nie, to dobrze - upierała się. - Oznacza to, że twoje ciało generuje ciepło. Ja czuję, że teraz jest mi cieplej. Nawet moje stopy nie są już tak lodowato zimne.

Skupił się na swoim ciele. Może miała rację. Nie mógł powiedzieć, żeby było mu gorąco, ale na pewno zdecydowanie cieplej. Próbował otworzyć oczy, ale powieki były zlepione. Powoli, bo każdy ruch wymagał wielkiej koncentracji i wysiłku, uniósł prawą rękę, kierując do twarzy.

- Co robisz?

- Oczy... próbuję je otworzyć. - Gmerając niezdarnie przy powiekach, wyczuł pod palcami jakąś zaskorupiałą warstwę. - Co to jest, do cholery?

- Zasnęta krew. Zdaje się, że powieki ci się skleiły - powiedziała rzeczowo. - Jesteś w strasznym stanie. Kiedy się rozgrzejesz i zjesz trochę czekolady, przemyję ci twarz i rozkleję powieki. Potem spróbuję założyć ci szwy, ale ostrzegam, że rezultat nie będzie za piękny.

Szwy? A tak, teraz sobie przypomniał. Miał rozciętą głowę. W apteczce były nici chirurgiczne i powiedział jej, żeby go zszyła.

Nie chciał czekać, aż oczyści mu twarz; chciał widzieć już teraz. Podnieść się i samemu ocenić sytuację. Musiał zobaczyć, jak bardzo ucierpiał samolot. Może udałoby mu się nawiązać kontakt przez radio.

Wstrząsnął nim kolejny atak spazmów. Tym razem przerwa była dłuższa, ale sam atak równie intensywny. Trzymała go mocno, jakby kontrolując drgawki, mogła je złagodzić. Ta taktyka nie działała, ale doceniał jej wysiłki.

Kiedy atak minął, Cam był tak zmęczony, że odpuścił sobie pomysł, by się podnieść i cokolwiek oceniać. Chciał po prostu leżeć. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby się podniósł, przestałby czuć na swoim ciele jej biust, a to mu się bardzo podobało. Dobra, i był psem na kobiety, ale od kości wolał piłeczki.

Przyszło mu do głowy, że czułby jej piersi jeszcze lepiej, gdyby leżeli do siebie przodem. Spróbował unieść lewą rękę, żeby przekreślić się na lewy bok i znaleźć się twarzą do niej, ale leżała tuż przy jego ręce i nie mógł się zdobyć na to, a tego wymagał ten manewr, by najpierw odsunąć się od niej, dopiero potem unieść rękę i przekreślić się na bok.

- Co robisz? - Wydawała się zaniepokojona, a może zirytowana.
- Jeśli zrzucisz te ubrania, po tym ile wysiłku mnie kosztowało, żeby cię nimi okryć, zostawię cię z tyłkiem w śniegu, możesz sobie zamrznąć, proszę bardzo.

Zdecydowanie była zirytowana.

- Przysuwam się - wymamrotał.

- Okej, ale nie ruszaj się, to ja się przysunę bliżej.

Wierciła się chwilę, zmieniając pozycję, potem uniosła jego lewą rękę i położyła się pod nią, przyciskając się do jego boku. Prawie westchnął z zadowolenia, bo teraz czuł oba miękkie, ale jednocześnie jędrne wzniesienia. Zrzuciła swoją rękę w poprzek jego brzucha i mocniej się wtuliła.

- Lepiej?

Nie miała pojęcia o ile. Zamruczał. Mogła to sobie zinterpretować dowolnie.

- Tak, chyba tak jest cieplej... Za kilka minut wstanę i zabiorę się do roboty. Jeśli poleżę tu za długo, mogę zasnąć, a to nie będzie dobre. Mam dużo do zrobienia, ale nie mogę się spieszyć, bo inaczej dopadnie mnie choroba wysokościowa.

Chciał zapytać, co musiała zrobić, ale był senny i zmęczony, a że do tego było mu o wiele cieplej, właściwie to niemalże komfortowo, pozostanie na jawie stawało się coraz trudniejsze. Wydał z siebie kolejny dźwięk, potwierdzając swoją przytomność, co chyba ją usatysfakcjonowało. Mówiła dalej, ale on wyłączył dźwięk i zasnął.

Rozdział 8

Bailey wyczołgała się spod olbrzymiego stosu ubrań. Justice spał i choć przypuszczała, że powinna starać się, żeby był przytomny, z powodu jego urazu głowy, jednocześnie uważała, że sen może mu dobrze zrobić. Musiał być wyczerpany po wyjściu z szoku termicznego.

Ona sama czuła się lepiej. Ciągłe miała zimne stopy, ale ogólnie było jej o wiele cieplej - choć bardzo brakowało jej ocieplanej kamizelki, pod którą leżał teraz Justice. Żeby wynagrodzić sobie tę stratę, wyciągnęła ze stosu trzecią koszulę i włożyła ją na siebie.

To, że chwilę poleżała, pomogło jej także zwalczyć zawroty głowy i mdłości. Jeśli zachowa ostrożność i nie będzie się zbyt forsować, może choroba wysokościowa nie da się jej aż tak bardzo we znaki.

Choć wiedziała, co zobaczy, poświęciła chwilę, by jeszcze raz rozejrzeć się wokół, przyjrzeć olbrzymim, wysokim górcom z białymi szczytami. Gdyby nie Justice, rozbiliby się na którejś z tych rozległych połaci gołych, postrzępionych skał, bez większych szans na przeżycie. Znowu przytłoczył ją ogrom otaczającej ich dzięki przyrody i dopadło obezwładniające poczucie osamotnienia.

Nasłuchiwała łopotania śmigła helikoptera czy odległego buczenia silnika samolotu, wypatrywała dymu, który mógłby wskazywać na obozowisko, ale... nic z tego. Czy nie powinni już ich szukać? Justice wysłał sygnał SOS, z pewnością ktoś go odebrał i skontaktował się

z FAA*, czy jakąś inną agencją, z którą należy się w takim przypadku skontaktować. Jak dla niej, mógł się skontaktować nawet z ASPCA**; niechby tylko ktoś ich szukał.

Ta kompletna cisza wytrącała ją z równowagi. Nie oczekiwała klaksonów samochodowych czy rozbłyskujących nad głową rac świetlnych, ale uspokoiłby ją jakiś znak, że gdzieś w tej głuszy są jeszcze jakieś inne istoty ludzkie.

Brak jakichkolwiek dźwięków, ruchu, działań, które dałyby jej nadzieję, sprawił, że tylko umocniło się jej wcześniejsze poczucie całkowitej izolacji. Jak przetrwają tutaj noc, bez wody, bez ognia?

Szczęście w nieszczęściu, że zabrała mnóstwo ubrań, które mogły im służyć za przykrycie, mieli też trochę jedzenia, no i był jeszcze śnieg, z którego można było pozyskać wodę. Miała też nóż Justice'a...

O cholera. Gdzie nóż?

Nadal w kieszeni, stwierdziła z ulgą. Mając nóż, mogła spróbować sklecić jakieś schronienie, a przynajmniej jakąś osłonę, która chroniłaby ich od wiatru. Jednak pierwsze, co musiała zrobić, to nakarmić Justice'a.

Wgramoliła się z powrotem do samolotu, wyciągnęła z walizek resztę ubrań, znalazła także batony, które odłożyła na bok razem z nawilżanymi chusteczkami. Kiedy walizki były wreszcie puste, a worki na śmieci pełne jej ubrań leżały na podłodze, odchyliła pokrywy walizek do tyłu i spłaszczone w ten sposób przeciągnęła nad siedzeniami. Walizki mogły się jeszcze do czegoś przydać; później się zastanowi do czego dokładnie.

Wróciła do Justice'a, klęknięta obok niego i zaczęła przeglądać zawartość apteczki. Oprócz koca termicznego w wyposażeniu znajdowały się nożyczki, które z pewnością się przydadzą, mnóstwo gazików i plastrów z opatrunkiem, przylepiec, waciki i patyczki kosmetyczne, tubka maści antybakteryjnej, gaziki i chusteczki dezynfekujące, gumowe rękawiczki, środki przeciwbólowe dostępne bez recepty, i - co za radość - nici chirurgiczne. Oprócz tego były jeszcze inne rzeczy, jak

* FAA - Federal Aviation Administration (Amerykańska Administracja Lotnicza) (przyp. tłum.).

** ASPCA - American Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Amerykańskie Stowarzyszenie Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt) (przyp. tłum.).

szyny na palec czy świetlik o czasie świecenia do dwunastu godzin, ale teraz była skupiona na tym, że apteczka zawierała podstawowe akcesoria, potrzebne do tego, by mogła zająć się rozciętą głową Justice'a.

Było tam wszystko, co niezbędne, więc nie miałyby już wymówki, gdyby stchórzyła. Klamka zapadła w chwili, gdy Bailey znalazła Instrukcję udzielania pierwszej pomocy.

Przerzucała kartki poradnika, aż znalazła wskazówki, jak zakładać szwy. Obok były ilustracje. Pierwsze zdanie brzmiało: „Starannie spłukuj ranę wodą przez pięć minut, następnie delikatnie przemyj ją mydłem”.

Niestety, nie miała nawet wody, żeby pobieżnie spłukać ranę, nie wspominając już o „staranności”. W tych warunkach zrobi wszystko, co w jej mocy, jednocześnie modląc się, żeby w rozcięciu nie było żadnych odłamków.

Chwila! Miała przecież płyn do płukania jamy ustnej!

Szybko otworzyła worek na śmieci ze swoimi przyborami toaletowymi i wyciągnęła torebkę strunową, w której trzymała szampon i płyn do płukania jamy ustnej. Wyjęła półlitrową butelkę z płynem, odwróciła i przeczytała informacje na temat składu zrozumiała chyba tylko dla chemika. Ale za to z przodu było napisane, że zabija bakterie.

Plastikową torebkę szybko napełniła śniegiem, zamknęła i położyła na kamieniu. Przy odrobinie szczęścia, w czasie kiedy ona będzie zajmować się obrażeniami Justice'a, słońce nagrzej kamień na tyle, by śnieg się rozpuścił, dzięki czemu pozyskają wodę. Niewiele, co prawda, ale liczył się każdy łyk.

Mając pod ręką wszystko, czego potrzebowała, wyłożone na jednym z worków na śmieci, chciała już obudzić Justice'a, kiedy przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie on też zabrał płyn do płukania jamy ustnej. Poszła po jego torbę, otworzyła ją i tak jak się spodziewała, znalazła kosmetyczkę, zaraz na samym wierzchu, a oprócz tego ubranie na zmianę i bieliznę. Kosmetyczka miała dwa suwaki; rozsunęła ten z lewej i zobaczyła grzebień, małą buteleczkę szamponu i jakiś tuzin kondomów. Faceci. W prawej przegródce były szczoteczka do zębów, mała tubka pasty, maszynka jednorazowa i buteleczka płynu do płukania jamy ustnej.

- Cholera - westchnęła. Już i tak niewielka buteleczka była opróżniona do połowy. Taka mikroskopijna ilość na nic się nie przyda. Za-

wiedziona zostawiła buteleczkę na swoim miejscu, zasunęła kosmetyczkę i odłożyła do torby.

Będzie musiała radzić sobie z tym, co miała. Oby to wystarczyło, by uchronić Justice'a przed jakimś strasliwym zakażeniem.

Ale najpierw, pomyślała, trzeba dostarczyć jego organizmowi trochę cukru, a potem, no cóż, dobrze będzie podać mu z wyprzedzeniem środki przeciwbólowe.

Ostrożnie uniosła koszulę przykrywającą jego głowę; mimo że wiedziała, w jakim był stanie, niemal wzdrygnęła się na jego widok. Całą twarz miał pokrytą warstwą zaschniętej krwi; oblepiała jego oczy, była w jego uszach, nozdrzach, kącikach ust. Co gorsza, spuchło mu czoło, rozszerzając rozcięcie. Nie przewidziała tego i skrzywiła się na myśl, że będzie musiała go szyć w takim stanie. Podejrzewała jednak, że opuchlizna może się co najwyżej powiększyć, więc raczej nie należało zwlekać.

- Justice - powiedziała, wsuwając rękę pod przykrycie z ubrań, żeby go dotknąć. - Obudź się. Czas na przedstawienie.

Zaczerpnął tchu, szybko, głęboko.

- Nie śpię.

Jego głos był mocniejszy, więc może słusznie zdecydowała, żeby go ogrzać, zanim spróbuje zrobić coś z jego raną.

- Mam batonik. Zjesz trochę, okej? Potem weźmiesz dwa ibuprofeny. Dasz radę połknąć je bez wody? Jeśli nie, włożę ci do ust trochę śniegu, ale nie powinniśmy jeść śniegu, bo to obniża temperaturę ciała. Przy odrobinie szczęścia za jakiś czas będziemy mogli także napić się trochę wody. Hm... po zastanowieniu myślę, że może powinienes wziąć ibuprofen najpierw, żeby jak najszybciej zaczął działać.

- Spróbuję.

Otworzyła saszetkę z dwiema tabletkami ibuprofenu i włożyła mu jedną do ust. Poruszył szczęką, przemieszczając tabletkę w odpowiednie miejsce, następnie zebrał trochę śliny i przełknął. Dała mu drugą tabletkę; powtórzył cały proces i zameldował:

- Misja zrealizowana.

- Dobrze. Teraz jedzenie. - Rozdarła opakowanie i ułamała kawałek snickersa, który włożyła do jego ust. Posłusznie zaczął go przeżuwać.

- Snickers - powiedział, rozpoznając smak.

- Zgadza się. Normalnie jem czekoladę bez dodatków, ale uznałam, że orzeszki to dobry pomysł, ze względu na proteiny, więc zabrałam snickersy. Sprytnie, nie sądzisz?

- Jak dla mnie, w porządku.

Odczekała chwilę, żeby zobaczyć, czy nie robi mu się od czekolady niedobrze. Poruszała się tu po nieznanym gruncie i nie wiedziała, czy przypadkiem nie ma ryzyka, że zbierze mu się na wymioty. Wiedziała tylko, że po oddaniu krwi w Czerwonym Krzyżu, dawcy dostawali coś do picia, żeby zrównoważyć utratę płynu, a także krakersy lub ciastka, żeby organizm poradził sobie z szokiem. Doszła do wniosku, że dzięki snickersowi będzie mogła odhaczyć jednego ptaszka.

Po paru minutach dała mu kolejny kawałek batona.

- Szkoda, że nie mam czegoś, czym mogłabym znieczulić ci czoło - mruknęła. - Nawet żel do smarowania dziąseł dla niemowląt byłby lepszy niż nic, ale apteczka chyba nie została wyposażona z myślą o niemowlakach.

Zgryził batona, przełknął i powiedział:

- Lód.

W apteczce znajdował się jeden z tych natychmiastowych okładów chłodzących, ale wahała się z jego użyciem.

- No nie wiem. Gdybyś nie przeżył takiego wstrząsu i gdyby zimno nie stanowiło problemu, nie martwiłabym się. Ale jak położę ci lód na głowie, to wychłodzi ci się całe ciało, a tego nie chcę. - Przygryzła na chwilę wargę, myśląc. - Ale z drugiej strony ból też będzie szokiem dla twojego organizmu. A skoro końcowy efekt ma być taki sam, czemu mielibyśmy skazywać cię na ból?

- Jestem za mniejszym bólem.

Wyjęła z apteczki okład chłodzący, przeczytała instrukcję i zaczęła ugniatać plastikową torebkę. Okład nie był dość duży, żeby przykryć całe rozcięcie, ale mógł objąć większość opuchlizny. Kiedy okład zrobił się tak zimny, że ledwie mogła go utrzymać, odcięła z rolki kawałek bandaża, przykryła ranę pojedynczą warstwą, a na wierzchu położyła delikatnie okład chłodzący.

Aż zassał powietrze pod wpływem kontaktu z zimnem. Wyobrażała sobie, że głowa musi go boleć jak diabli, ale nie narzekał.

- Zanim okład zacznie działać, oczyszcze cię trochę z tej zaschniętej krwi. Założę się, że chciałbyś otworzyć oczy?

Nie przestawała mówić, otwierając paczkę chusteczek nawilżanych. Wyciągnęła jedną i zabrała się do oczyszczania skóry wokół jego oczu. Jednak, jak się przekonała, nie tak łatwo było usunąć zaszniętą krew. Sądziła, że lepiej spisałyby się tutaj szorstka myjka do naczyń. Zakrzepła krew oblepiała jego brwi i rzęsy, ale nie mogła tu za mocno pocierać, jeśli nie chciała, by z rany znów zaczęła się sączyć krew. Oczu też nie wolno było trzeć. Tak więc, wycierała go bardzo ostrożnie, a kiedy chusteczka zrobiła się zupełnie czerwona, odłożyła ją i wyciągnęła nową.

Zauważyła, że przygląda się jej przez szparkę w uchylonych powiekach. Jego niebieskoszare tęczówki były zaskakująco jasne w porównaniu z ciemnymi rzęsami.

- Witaj, dawno się nie widzieliśmy - powiedziała.

Uśmiechnął się leciutko. Powoli, jakby poruszanie gałkami ocznymi było dla niego bolesne, rozejrzał się po okolicy, na tyle, na ile mógł, leżąc płasko na plecach i nie ruszając głową. Kiedy spojrzął za jej plecy i zobaczył zniszczony samolot, jego oczy rozszerzyły się trochę i stęknął:

- O cholera.

- Tak, wiem. - Całkowicie podzielała jego odczucia. To, że oboje żyli i byli w jednym kawałku, choć może w nie najlepszej formie, było zadziwiające, biorąc pod uwagę, jak fatalnie wyglądał samolot. Radziła sobie z tym, nie patrząc na ich sytuację jako na całość, ale skupiając się na szczegółach, kolejnych zadaniach, które musiała wykonać, żeby zapewnić im przetrwanie. Najrozsądniej było posuwać się małymi krokami.

Stopniowo oczyściła mu twarz, uszy, szyję, ramiona, tors; nawet ręce i dłonie pokrywała krew. Jednocześnie starała się, żeby w jak największym stopniu był przykryty; odkrywała tylko ten fragment ciała, którym się akurat zajmowała, i zakrywała zaraz po obmyciu. Jego spodnie też były przesiąknięte krwią, ale uznała, że to może poczekać do chwili, kiedy sam będzie mógł się tym zająć. Pierwsza warstwa ubrań, którymi go przykryła, również nasiąkła krwią; krew zakrzepła i nie mogła nic z tym zrobić. Musiała za to obmyć mu stopy i włożyć suche skarpety, żeby nie dopuścić do odmrożenia.

Przemieściła się w tamtym kierunku, odsunęła ubrania z przykrywającej go sterty, ściągnęła mu zakrwawione buty i skarpety, i zabrała się szybko do czyszczenia i suszenia jego stóp. Obmyte z rdzawych plam zakrzepłej krwi, jego stopy były całkiem białe od zimna. Na-

stawiając się na szok, podwinęła na sobie liczne koszule i oparła jego stopy o swój brzuch. Były tak zimne, że aż się wzdrygnęła, ale się nie odsunęła się. Zaczęła rozcierać mu palce. - Czujesz?

- Ooo, tak - wymruczał jak głaskany pod włos tygrys. Zabrało jej chwilę, zanim uświadomiła sobie, że palce u jego stóp dotykały jej gołych piersi. Miał duże stopy, prawdopodobnie rozmiar jedenaście albo i większe, więc w tej pozycji jego palce sięgały jej piersi. Pacnęła go w nogę.

- Zachowuj się - rzuciła ostro - albo pozwolę, żebyś nabawił się odmrożeń.

- Nie masz stanika - zauważył jakby nigdy nic.

- Przemoczył się, kiedy leżałam w śniegu, wyciągając cię z samolotu, więc go zdjęłam - odpowiedziała poważnie.

Przyjął do wiadomości, iż jedynym powodem tego, że nie miała stanika, były działania, jakie musiała podjąć w celu ratowania mu życia, i skrzywił się lekko.

- Okej, okej. Ale, do diabła, to gołe cycki. Nie możesz mieć do mnie pretensji.

- Założysz się? - Pomyślała, że chłodny, gburowaty kapitan Justice nie mówiłby tak do niej w normalnych okolicznościach, że pewnie to dlatego, że doznał wstrząśnienia mózgu, był zamroczony i obolały. Nie uważała go za bezpośredniego ani mającego poczucie humoru człowieka, ale od chwili, kiedy odzyskał przytomność, posługiwał się tak swobodnym językiem, jakby rozmawiał z innym facetem. Czyżby wstrząśnienie mózgu wywarło korzystny wpływ na jego osobowość?

- I nie podoba mi się słowo „cycki”.

- W takim razie baloniki. Tak lepiej?

- A co złego jest w słowie „piersi”?

- Z tego co wiem, absolutnie nic. - Poruszył palcami u stóp. Ponownie pacnęła go w nogę.

- Nie pozwalaj sobie, bo sam będziesz ogrzewał sobie stopy.

- Ale ja nie mam baloników, o które mógłbym je ogrzewać, a nawet gdybym miał, nie byłbym w stanie dosięgnąć do nich stopami. Nie jestem joginem.

Zdecydowanie czuł się znacznie lepiej i był całkowicie przytomny; nie odpowiadał już jednym czy dwoma słowami, ale całymi zdaniami. Czekolada okazała się cudownym lekiem.

- No to ci coś poradzę: postaraj się o implanty, zacznij brać lekcje jogi, a poradzisz sobie w życiu. - Dochodząc do wniosku, że starczy tego dobrego, wyjęła jego stopy spod swoich koszul, naciągnęła mu czyste skarpety i ponownie okryła go warstwą ubrań. - Zabawa skończona. Jak tam twoje czoło? Zmroziło się już?

- Na to wygląda.

- Doczytałam do końca instrukcje i zabieramy się do roboty. - Ponownie podniosła książeczkę z instrukcjami. - A przy okazji, ponieważ nie mamy wody, żeby obmyć ranę, użyję płynu do płukania jamy ustnej. Może szczypać.

- Super. - W tym jednym słowie było całe morze ironii.

Bailey ukryła uśmiech, czytając instrukcję.

- Okej... bla bla bla... O, to jest ważne. „Uchwycić igłę imadłem chirurgicznym, tak żeby łuk skierowany był ku górze”. - Spojrzała na zakrzywioną igłę chirurgiczną, a potem na resztę akcesoriów z apteczki. Nie było wśród nich żadnego imadła. - Świetnie - westchnęła. - Potrzebne mi imadło. Zazwyczaj noszę je w kosmetyczce, ale nie przyszło mi do głowy, że przyda się na wakacjach.

- Możesz użyć kombinerek. W samolocie jest mała skrzynka z narzędziami.

- Gdzie?

- W schowku bagażowym.

- Nie widziałam żadnej skrzynki, kiedy wyciągałam walizki - odparła, ale podniosła się, żeby iść sprawdzić. - Jakiej jest wielkości?

- Mniej więcej połowy aktówki. Są tam tylko podstawowe narzędzia: młotek, kombinerki, kilka kluczy nasadowych, śrubokręty.

Odnosząc wrażenie, że robi to po raz setny, Bailey wcisnęła się z powrotem do samolotu, wgramoliła na fotel i zajrzała do części bagażowej. Kiedy już otwierała usta, żeby zawołać, że niczego nie znalazła, powiedział: - Powinna być przymocowana do ściany, tuż przy drzwiach, widzisz?

Spojrzała tam, i rzeczywiście, była tam skrzynka, starannie zabezpieczona. A niech to! Chyba szukała po suficie.

- Tak, mam ją. - Ze skrzynką w ręce, wycofała się z samolotu. Czowała lekkie zawroty głowy, przez chwilę więc stała nieruchomo.

Czyżby znowu odzywała się choroba wysokościowa, mimo że uważała i starała się robić wszystko powoli? A może też powinna zjeść ka-

walek batona? Po chwili zawroty głowy ustąpiły i zdecydowała się na batonik.

- Chyba też muszę coś zjeść - stwierdziła, klękając obok Justice'a i odgryzając kawałek snickersa. - Nie chciałabym zemdleć, kiedy będę kłuć cię igłą. - W tym tempie, jak dobrze pójdzie, skończy go szyć przed zachodem słońca.

To przypomniało jej o upływie czasu i uświadomiła sobie, że do tej pory ani razu nie spojrzała na zegarek. Nie miała pojęcia, jak dawno temu odzyskała przytomność, jak dużo czasu zabrało jej to wszystko, co udało jej się zrobić do tej pory, a co ważniejsze, ile jeszcze zostało im do końca dnia. Automatycznie uniosła mankiety na lewym przedramieniu i spojrzała na puste miejsce na nadgarstku, gdzie wcześniej był zegarek.

- Nie mam zegarka. Ciekawe, jak to się stało.

- Pewnie uderzyłaś w coś ręką i poszła bransoletka albo coś...

Drogi był?

- Nie, zwykły wodoodporny zegarek, który kupiłam sobie na wakacje. Zamierzam... to znaczy, zamierzałam... jechać na rafting z moim bratem i jego żoną.

- Dołączysz do nich jutro... albo pojutrze.

- Może. - Powoli przeżuwała batonik, nie mówiąc mu o tym, jak potwornie czuła się tu odizolowana, ani o swoich obawach, że minie dużo czasu, zanim nadejdzie pomoc.

Pozwoliła sobie tylko na jeden kęs, by zapobiec dalszym zawrotom głowy. Ostrożnie owinęła papierkiem resztę i odłożyła. Zdjęła Camowi z głowy lodowaty okład.

Zmusiła się, by wrócić do spraw, które wymagały załatwienia.

- Muszę cię przekreślić, żebyś leżał z głową niżej od reszty ciała, przynajmniej dopóki nie przemyję ci rany, no, chyba że chcesz, żebym załaziła ci płynem do płukania jamy ustnej całą twarz i nie tylko.

- Nie, dzięki. Ale sam dam radę, powiedz mi tylko, co mam robić.

- Najpierw zsuń się do mnie; tylko uważaj, żebyś nie zjechał z końca w śnieg. Okej. Teraz obróć się... czekaj chwilę, podłożę ci pod głowę kawałek winylu.

W wyniku jego poczynań częściowo pospadały z niego ubrania i zabrało jej chwilę, zanim znowu go okryła.

Chcąc mieć pewność, że płyn do płukania jamy ustnej nie dostanie mu się do oczu, odchylił głowę do tyłu, tak mocno, jak tylko mógł.

- Zaczynamy - powiedziała Bailey, dodatkowo osłaniając jego oczy lewą dłonią, kiedy ostrożnie polewała mu płynem rozcięcie na głowie. Wzdrygnął się raz, potem już leżał zupełnie nieruchomo.

Wpatrywała brudu i ewentualnych odłamków, ale jedyne, co widziała wypłukiwane z rany, to krew. W instrukcji napisali, żeby nie usuwać żadnych ewidentnych skrzepów, więc starała się nie lać płynu bezpośrednio na ranę. Kiedy zużyła cały płyn, zakręciła pustą butelkę i odłożyła na bok, a następnie wyciągnęła jeden z gazików dezynfekujących nasączonych alkoholem i zaczęła przecierać skórę przy ranie.

Starała się nie myśleć o tym, jak głęboka jest rana, ani o tym, jak duże jest ryzyko wystąpienia zakażenia w tych mało sterylnych warunkach. Zamiast tego koncentrowała się na tym, co miała do zrobienia, i robiła to, punkt po punkcie. Kolejnym gazikiem z alkoholem wytarła ręce, igłę i kombinerki, które miały posłużyć jej jako imadło chirurgiczne. Potem nałożyła jednorazowe gumowe rękawiczki i jeszcze raz wszystko wytarła. Przemyła mu czoło gazikiem nasączonym jodyną. Kiedy zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby zlikwidować zarazki, przygotowała sobie igłę z nicią, wzięła głęboki oddech i przystąpiła do działania.

- W instrukcji piszą, żeby zacząć pośrodku - wymamrotała, przebijając mu skórę igłą i przeciągając nić na drugą stronę. - Zdaje się, że to ma zapobiec wielkiemu wybrzuszeniu skóry z jednej strony, jeśli nie zszycie cię prawidłowo.

Nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy i oddychał miarowo. Bailey zdawała sobie sprawę, że pomimo wcześniejszego zimnego okładu i połkniętego ibuprofenu musiało go boleć, ale najwyraźniej nie zadawała mu aż takiego bólu, jak się obawiała. W każdym razie nie spała się za każdym razem, kiedy wbijała igłę. Pracowała powoli, bojąc się, żeby nie popełnić jakiegoś błędu. Szwy były niezależne od siebie, a po zrobieniu supełka trzeba było odciąć resztę nici; w instrukcji pisali, żeby upewnić się, że supełek znajduje się na skórze, nie bezpośrednio na ranie. Próbowała wyobrazić sobie, że po prostu obszywa spodnie, ale niezbyt to jej pomagało, bo ani nie lubiła szyc, ani nie była w tym dobra.

Rozcięcie było długie na dobre piętnaście centymetrów. Nie miała pojęcia, jak gęsto zakładać szwy; po prostu robiła to na wycucie. Kiedy skończyła, trzęsły się jej ręce i wydawało jej się, że operacja trwała co najmniej godzinę. Ostrożnie otarła kropki z krwi, gdzie igła przeszła przez skórę, a potem się zawahała. Czy powinna zaapliko-

wać maść z antybiotykiem, zanim zabandażuje mu głowę? Nie sądziła, by było to praktykowane przez lekarzy w obecnych czasach, ale oni zazwyczaj pracowali w sterylnych warunkach, mając do dyspozycji niezbędne środki farmaceutyczne i narzędzia. Tutaj, na zimnym, nieprzyjaznym zboczu góry dla rannego bezcenne jest wszystko, co może wspomóc układ odpornościowy.

Ostrożnie nałożyła maść, zawierającą także łagodny środek przeciwbólowy. Potem przykryła ranę gazikami i obwiązała mu głowę bandażem; kiedy skończyła, dodatkowo obwiązała go jeszcze bandażem elastycznym, który stanowił dodatkowe zabezpieczenie przed brudem. Wyglądało to wszystko na całkiem fachową robotę.

- Skończone - powiedziała w końcu zadowolona, sadowiac się obok Justice'a. - Następny punkt programu: schronienie.

Rozdział 9

Cholera, ale ona seksowna.

Cam dopiero teraz zaczął to dostrzegać, i wcale nie z powodu jej wyglądu, bo wyglądała strasznie. Jej włosy były potargane, twarz brudna i zakrwawiona, a pod oczami miała siniaki, które do jutra pewnie zrobią się czarne. Jej obecny strój sprawiał, że wyglądała jak skrzyżowanie trapera z bezdomną. I mimo to, że przez ostatnią godzinę kłula mu igłą głowę - a może właśnie dlatego - chciał ją pocałować.

Parsknął w duchu na tę ostatnią myśl. Pocałować, dobre sobie. Miał ochotę na znacznie więcej, więc może to i lepiej, że nie był chwilowo w najlepszej formie, bo inaczej zacząłby się do niej przystawiać, a to mogłoby skończyć się skróceniem go o głowę.

Zawsze się zastanawiał, co powodowało, że samce modliszki dobrowolnie godziły się na śmierć, kopulując z zabójczą samicą; czy biedaki miały tak ograniczoną świadomość, że nie wiedziały, że dosłownie zabzykają się na śmierć, czy też w procesie ich ewolucji nastąpiło jakieś krótkie spięcie. W końcu działanie, które kończyło się śmiercią dla samca, nie mogło być dobre dla gatunku. Jednocześnie w pewnym sensie podziwiał tych małych drani; trzeba było prawdziwego zaangażowania, żeby odbywać stosunek seksualny, narażając się na odgryzie-

nie głowy. Pierwszy raz w życiu częściowo rozumiał ich motywację. Zaryzykowałby naprawdę dużo, żeby mieć ją nagą pod sobą.

Nie żeby pani Wingate... do diabła, jak jej na imię? Wiedział, ale miał w zwyczaju myśleć o niej jako o pani Wingate i nie mógł go sobie automatycznie przypomnieć. Zwłaszcza że chwilowo jego mózg pracował na wolniejszych obrotach. Ale musi je sobie przypomnieć, bo ja-koś nie wypadało myśleć o niej nagiej, skoro nie pamiętał jej imienia.

Tak zmotywowany, skupił wszystkie siły na przypominaniu sobie jej imienia. Nie było zwyczajne... brzmiało jak nazwa alkoholu.

Zrobił w myślach szybki przegląd: Johnny Walker, Jim Beam, J&B, Bailey's... Bailey. Tak miała na imię. Rozpierała go duma. Teraz mógł fantazjować o niej z czystym sumieniem.

W każdym razie, nie żeby pani Wingate - Bailey, do cholery! - miała odgryźć mu głowę, ale czuł, że nie była łatwa, w żadnym znaczeniu tego słowa. Była wyzwaniem zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Zbudowała wokół siebie mur i podejrzewał, że niewiele osób oglądało kobietę, która się za nim ukrywała. To, że wyłoniła się ze swojej fortecy i mógł zobaczyć ją taką, jaką jest naprawdę, było wyłącznie wynikiem nadzwyczajnych warunków spowodowanych rozbiciem samolotu.

Ale zobaczył ją i podobało mu się to, co widział.

Gdyby zastanawiał się kiedykolwiek, jak by to było utknąć z nią gdzieś, z dala od świata, czego nigdy nie robił, zapewne byłby przekonany, że będzie albo jęczącym, bezużytecznym wrzodem na tyłku, albo jędzowatym, stawiającym coraz to nowe żądania wrzodem na tyłku. W każdym razie wrzodem na tyłku. Zamiast tego była opanowana, rozwiązywała kolejne problemy ze zdrowym rozsądkiem i pomysłowością, czemu nigdy nie dałby wiary, gdyby nie widział tego na własne oczy. Zrobiła wszystko, co było konieczne, i najprawdopodobniej ocaliła mu życie. Nie wahała się, by ogrzać jego lodowate stopy własnym ciałem, ani też nie rozzłościła, kiedy odkrył, że nie miała na sobie stanika.

Podobała mu się jej postawa, świadcząca o wewnętrznym opanowaniu. Dzięki rozwodowi nauczył się wiele o sobie i nie zapomniał tych prawd podczas kolejnych związków z kobietami. Jako były wojskowy i pilot był przeciwieństwem nieśmiałej, zamkniętej w sobie jednostki. Był za to pewny siebie i autorytatywny; przyzwyczajony do obejmowania dowództwa, podejmowania decyzji, egzekwowania, by ludzie wykonywali jego polecenia. Tylko silna kobieta mogła być dla

niego równorzędną partnerką i teraz, zbliżając się do czterdziestki, marzył mu się właśnie taki związek, związek dwojga partnerów; taki związek pociągał go o wiele bardziej niż relacja, w której musiał się powstrzymywać, żeby nie zranić uczuć kobiety czy jej nie przytłoczyć. Nie lubił gierek i nie chciał damulki, przy której będzie musiał stawać na głowie i wyczyniać inne cuda.

Może niewiele było na świecie takich kobiet albo szukał ich w nieodpowiednich miejscach, w każdym razie nie znał takich, które by go pociągały zarówno umysłowo, jak i fizycznie. Karen, na przykład, była silna i stanowcza, ale jeśli chodzi o pociąg seksualny, to nie odczuwał wobec niej żadnego. W przypadku Bailey niechęć, jaką dotąd odczuwał wobec jej, jak mu się zdawało, permanentnie ozięblej osobowości, skutecznie hamowała pojawienie się u niego zainteresowania jej fizycznością.

Jednak teraz wszystko się zmieniło. Nie wiedział, czemu otoczyła się tym wysokim murem, ale tymczasowo zdjęła strażę i wpuściła go do środka, a on zdecydowanie zamierzał tam pozostać. Kryzysowa sytuacja, w której się znaleźli, zawiązała między nimi szczególną więź - razem walczyli o przetrwanie. Już po wszystkim, kiedy odnajdą ich ratownicy, będzie starała się wrócić do stosunków, jakie łączyły ich wcześniej. Nie pozwoli jej na to. Jakimś cudem, do tej pory będzie musiał zdobyć jej zaufanie.

Czuł się jak inwalida, leżąc płasko na plecach, a sądząc po jego samopoczuciu, prawdopodobnie przyjdzie mu tak spędzić jeszcze dzień czy dwa. Miał wstrząśnienie mózgu, stracił bardzo dużo krwi. Wątpił, żeby ratownicy zdołali do nich dotrzeć przed zapadnięciem zmroku, a na noc wszelkie poszukiwania w górach były zawieszane ze względu na bezpieczeństwo ratowników. Oznaczało to, że on i Bailey będą musieli jakoś przetrwać noc, kiedy temperatura mocno zjedzie w dół i śmierć na skutek hipotermii stanie się realnym zagrożeniem. Z jednej strony wpadli w niezłe tarapaty. Z drugiej - reszta dnia i noc były prawdopodobnie wszystkim, co miał, żeby doprowadzić do trwałej zmiany w ich wzajemnych stosunkach.

Nie mógł za bardzo ruszać głową, bo to wiązało się z upiornym bólem, ale mógł ostrożnie skierować gałki oczne w lewo, żeby mieć ją w zasięgu wzroku. Podniosła jakiś przedmiot i wpatrywała się w niego, ale nie mógł rozpoznać, co to takiego.

- Częściowo zadziałało - powiedziała, wracając do niego. Przykucnęła; w ręce trzymała przezroczystą torebkę strunową na której dnie była jakaś breja. - Zostawiłam torebkę na kamieniu, żeby śnieg się rozpuścił i żebyśmy mieli wodę do picia. No i trochę się rozpuścił; pewnie gdyby dłużej poleżał na słońcu, mielibyśmy prawdziwą wodę, ale na razie musi nam to wystarczyć. Powinieneś uzupełnić płyny. - Rozejrzała się wokół.

- Nie masz może słomki? Albo łyżki?

Rozbawiło go to pytanie.

- Obawiam się, że nie.

Patrzył, jak ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami nadal rozgląda się wokół, jakby samą siłą woli mogła zmaterializować któryś z tych przedmiotów. Teraz, kiedy był świadom jej pomysłowości, prawie słyszał trybiki obracające się w jej głowie, gdy szukała rozwiązania tego najnowszego problemu. Nagle zawołała z satysfakcją:

- Aha!

- Aha, co? - zapytał, zaciekawiony, kiedy podniosła się i zniknęła z jego pola widzenia.

- Masz dezodorant w spreju. Wiem, bo szperałam w twoich rzeczach.

- No i? - Nie dbał o to, że grzebała w jego torbie; w tej sytuacji nie musiała go pytać o pozwolenie.

- Dezodorant ma zatyczkę.

Faktycznie. Zatyczka dezodorantu była w sumie jak pokrywka od termosu, tylko mniejsza. Że też sam na to nie wpadł.

- Może trochę dziwnie smakować - powiedziała. - Przeczyszczę zatyczkę śniegiem, na wypadek gdybyś kiedyś psiknął dezodorantem do jej wnętrza. Czy dezodorant ma w swoim składzie coś, co nie powinno znaleźć się w wodzie?

- Zapewne wszystko - rzucił. - Nie zabrałaś może lakieru do włosów? - Lakier do włosów był prawdopodobnie mniej toksyczny od dezodorantu. W chemicznym składzie dezodorantu znajdowały się związki aluminium? Nie wiedział, co wchodziło w skład lakieru do włosów poza alkoholem, ale alkohol jest na pewno zdrowszy od aluminium.

- Nie - odparła z za jego pleców. - Wybierałam się na spływ, pamiętasz? Po co miałabym zabierać lakier do włosów? - Wydawała się nieco nieobecna, jakby jej myśli pochłaniało coś innego niż ich rozmowa. - Hm. Chyba mogłabym skonstruować jakiś lejek i przelać to do

butelki po płynie do płukania ust, jeśli wolisz nie ryzykować z zatyczką od dezodorantu.

- Po prostu przeczyść ją śniegiem i będzie dobrze. - Zaryzykuje. Teraz, kiedy wspomniała o wodzie, nagle poczuł się bardzo spragniony; nie chciał czekać, aż Bailey znajdzie coś, z czego mogłaby zrobić lejek.

- No dobrze. - Chwilę później przykucnęła obok niego, z niebieską zatyczką w lewej ręce.

- Nie próbuj sam się podnosić - ostrzegła. - Jeśli zemdlejesz i padniesz, mogę rozlać wodę. - Mówiąc, wsunęła prawą rękę pod jego szyję, co sprawiło, że jego policzek przytulił się do jej biustu. Poczul jej jędrne piersi, ciepły, lekko słodki zapach kobiecej skóry, i w jednej chwili zapragnął, by przekręcić głowę i ukryć twarz w jej piersiach; powstrzymało go tylko nagle ukłucie bólu.

- Ostrożnie - mruknęła, przystawiając zatyczkę do jego ust. - To tylko kilka łyków, więc postaraj się nie uронić ani kropli.

Kiedy upił łyk, natychmiast odsunęła zatyczkę. Częściowo stopiony śnieg miał silny mineralny posmak zmieszany ze smakiem plastiku, i był tak zimny, że aż bolały zęby. Ale jednocześnie koił spierzchnięte, suche usta i gardło. Już miała przysunąć zatyczkę z powrotem do jego ust, ale powstrzymał ją ruchem głowy.

- Twoja kolej.

- Ja zjem trochę śniegu - odparła. - Jestem w ruchu, więc to nie obniży aż tak bardzo temperatury mojego ciała jak w twoim wypadku.

- Zmarszczyła brwi. - Jak myślisz, długo jeszcze będziemy czekać, zanim znajdą nas ratownicy? Parę godzin temu nadałeś sygnał SOS, ale nie słyszałam ani nie widziałam żadnego helikoptera. Jeśli uważasz, że nieprędko nas odnajdą, będę musiała znaleźć lepszy sposób na pozyskiwanie wody. Bo ten nie jest zbyt wydajny.

- Myślę, że najwcześniej ekipa poszukiwawcza dotrze do nas dopiero jutro.

- Tak późno? Minęło parę godzin od twojego sygnału SOS - odparła nieco zirytowana. Mówiąc, trzymała plastikową zatyczkę przy jego ustach, upił kolejny łyk.

- Bo jeszcze nie zaczęli nas szukać - powiedział, kiedy już przekłnął.

Zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Dlaczego? - zapytała ostrym tonem.

- Kiedy nie zatrzymamy się na planowane uzupełnienie paliwa w Salt Lake City, zostanie ogłoszony alarm. Ale dopiero kiedy nie zgłosimy się nigdzie w ciągu paru godzin po opuszczeniu tego przystanku, odpowiednie służby rozpoczną poszukiwania.

- Ale przecież nadałeś sygnał SOS! Podałeś nasze położenie.

- Być może nikt go nie odebrał. A nawet jeśli, sam sygnał SOS to za mało, żeby wszcząć poszukiwania. Takie akcje są cholernie kosztowne, a służby ratownicze mają ograniczone środki; muszą mieć pewność, że sygnał SOS nie był głupim żartem, że nie został nadany przez jakiegoś idiotę, który uznał, że zabawnie będzie go nadać, nawet jeśli nic się nie dzieje. Tak więc, zanim zaczną działać, muszą poczekać i się przekonać, że samolot nie pojawi się w wyznaczonym miejscu, w wyznaczonym czasie. Nawet kiedy zostaje ogłoszony alarm, zorganizowanie poszukiwań zabiera trochę czasu. Jest czerwiec, więc dni są długie, ale nawet w sprzyjających warunkach pogodowych, nie sądzę, żeby mogli szukać nas po zmroku. Będą musieli zawiesić poszukiwania na noc i zacząć na nowo jutro rano.

Przyglądał się jej, kiedy przyswajała te informacje, omiatając wzrokiem otaczające ich góry. Po kilku minutach westchnęła.

- Miałam nadzieję, że wystarczy, jeśli po prostu zasłonimy się czymś przed wiatrem, ale zdaje się, że to o wiele za mało.

- Jeśli chcesz żyć jutro rano, to tak.

- Tego się obawiałam. - Dała mu resztę wody, ostrożnie opuściła jego głowę na koc, wyjmując rękę spod jego szyi. Ze smutnym uśmiechem sięgnęła pod stos przykrywających go ubrań, a kiedy na powrót wyciągnęła rękę, trzymała w niej jego scyzoryk. - Lepiej zabiorę się do roboty. To trochę potrwa.

- Tylko nie sil się na nic wymyślnego. Schronienie musi być małe, żebyśmy zdołali ogrzać powietrze ciepłem naszych ciał. Im mniejsze, tym lepsze, bylebyśmy zmieścili się tam oboje. Zabierz, co się da, z samolotu: skórzane obicia z siedzeń, kable, którymi będzie można powiązać dragi i patyki, tego typu rzeczy.

Prychnęła, słuchając jego instrukcji.

- Wymyślnego? Dobre sobie. Dla twojej wiadomości: jestem kiepskim budowniczym.

Rozdział 10

Potwierdzenie przez Justice'a tego, co sama instynktownie wiedziała, że nikt ich nie szuka, wstrząsnęło Bailey bardziej, niż chciała to po sobie okazać. Bardzo, bardzo potrzebowała usłyszeć, że wkrótce zostaną uratowani, bo próba sklecenia najprostszego szlaku zdawała się przekraczać jej możliwości. Nie miała pojęcia, na jak długo jeszcze starczy jej sił.

Pomogło jej trochę, kiedy poleżała obok Justice'a, jednocześnie rozgrzewając i jego, i siebie, ale teraz najmniejszy wysiłek znowu przyprawiał ją o zawroty głowy, co było niebezpieczne, bo musiała się poruszać po stromym terenie. Wystarczy jedno potknięcie, jeden fałszywy krok, żeby stoczyć się w dół, a wszechobecne kamienie prawie gwarantowały, że w najlepszym razie ten upadek skończy się złamaną ręką lub nogą. Dobrze przynajmniej, że tępy ból w jej skroniach się nie nasilał. Chociaż to za mało, żeby mogła myśleć optymistycznie.

Od niej zależało życie ich obojga, więc musiała być wyjątkowo ostrożna. Jednak ostrożność wymagała czasu, a czas, którym dysponowała, był niemal tak ograniczony jak jej siły. Temperatura, która raczej nie przekroczyła w ciągu dnia zera, drastycznie spadnie, gdy tylko słońce zniknie za szczytami otaczających ich gór, a to mogło nastąpić już na kilka godzin przed zachodem. Do tego czasu trzeba zorganizować wodę do picia, a także sklecić jakieś schronienie.

Chwyciła pustą butelkę po płynie do płukania jamy ustnej i przykucnąwszy, zaczęła upychać śnieg przez wąską szyjkę. Szło jej to powoli, głównie dlatego, że szyjka była taka wąska. Palce miała zmarznęte, jeszcze zanim zaczęła to robić, teraz bolały ją tak bardzo, że nie mogła wytrzymać. Musiała przerwać i włożyć dłonie pod pachy; zamknęła oczy i kiwała się w przód i w tył, dopóki ból powoli nie ustąpił i nie wróciło krążenie. Powinna szybko zabezpieczyć dłonie.

Myślała intensywnie, analizując kolejne rozwiązania. Zabrała dwie pary wodoodpornych rękawic do wiosłowania, ale nie miały one palców, i choć dobrze zapobiegały powstawaniu pęcherzy, w najmniejszym stopniu nie ochronią palców przed zimnem. Mogła wciągnąć na dłonie skarpetki jako prowizoryczne rękawiczki z jednym palcem, ale w nich będzie miała ograniczoną swobodę ruchów, do tego zamokną, przez co palce zrobią się jeszcze bardziej zimne.

Trudno, musi znaleźć jakiś w miarę wydajny sposób nakładania śniegu do butelki, niewymagający użycia rękawiczek. Czego mogłaby użyć zamiast łopatk?

Postawiła butelkę na śniegu, podeszła do worków na śmieci z resztą jej odzieży i innymi zabranymi przedmiotami, usiadła na jednym z nich i zaczęła metodycznie wyciągać z pozostałych wszystko, co nie było ubraniem. Przyglądała się uważnie każdej rzeczy, rozważając jej możliwe zastosowania.

Dezodorant w sztyfcie nie nadawał się do niczego, poza chronieniem jej pach przed powstaniem nieprzyjemnego zapachu. No może gdyby potrzebowała coś nawoskować, dezodorant mógłby się nadać, ale nie miała akurat takiej potrzeby. Szczotka do włosów, podstawowe kosmetyki - krem do opalania, mascara, błyszczak - książki i czasopisma, które zabrała, mogły zostać wykorzystane w różny sposób, ale raczej nie do nakładania śniegu do butelki. Miała jeszcze lampkę - kolejny użyteczny przedmiot, ale nie w tej chwili. Miała również kilka długopisów, mały notatnik, rolkę wodoodpornej taśmy klejącej, którą odłożyła na bok, bo zdecydowanie jej się przyda przy budowie schronienia, talie kart, środek odstraszający owady, ponczo, które także odłożyła na bok, chusteczki higieniczne i chusteczki do higieny intymnej - też na bok - tak samo cztery ręczniki z mikrofibry i kilka jednorazowych szczoteczek do zębów z porcją pasty.

Cholera, pomyślała rozżalona. Czemu nie zabrała czegoś bardziej przydatnego, jak na przykład pudełka zapalek? Co z tego, że będzie miała czyste zęby oraz świeży oddech, kiedy znajdą jej zamarznięte ciało?

Przyglądała się zawiedziona wszystkim rzeczom, które zabrała, myśląc, że przydadzą się jej podczas dwutygodniowego spływu. Jednak po chwili jej wzrok ponownie padł na talie kart. Były nowiutkie, ciągle zafoliowane. Podniosła pudełko i zębami rozerwała folię. Otworzyła pudełko i wyciągnęła jedną kartę. Powleczone plastikiem - powinna wiele wytrzymać. Była jednocześnie dość sztywna i dość giętka, żeby użyć jej jako łopatk.

Bardzo dobrze, pomyślała Bailey z zadowoleniem.

Zaczęła upychać śnieg do szyjki butelki; co jakiś czas potrząsała butelką i uderzała jej dnem o kamień, żeby śnieg opadł na dół, i by mogła dołożyć go więcej. Kiedy butelka była pełna, zakręciła mocno nakrętkę.

- Nie będzie to miłe uczucie - ostrzegła, ostrożnie wracając do Justice'a. Przez cały czas, kiedy ona rozwiązywała problem wody, leżał z zamkniętymi oczami, ale teraz, powoli je otworzył. Był blady, co wcale nie dziwiło, ale kąciki jego ust uniosły się w lekko drwiącym uśmiechu.

- A poza tym co nowego?

Pokazała mu butelkę ze śniegiem.

- Po roztopieniu nie będzie za wiele wody, ale nie zdołałam wymyślić nic lepszego. Muszę włożyć tę butelkę w jakieś ciepłe miejsce. Zgadnij jakie?

- Domyślam się, że nie pod swoją koszulę.

Uśmiechnął się chytrze.

- O nie, nic z tego. - Zignorowała to, że celowo wspomniał sposób, w jaki rozgrzała mu stopy. To, że dotknął jej nagich piersi, nie wprawiło jej w zakłopotanie, ale też nie czuła się całkiem komfortowo z tą nagłą i jakże kolosalną zmianą w ich wzajemnych stosunkach. Jeszcze chwilę temu odnosili się do siebie z chłodną niechęcią, a teraz byli nagle przyjaciółmi? Tylko dlatego, że przeżyli razem katastrofę samolotu? Jakoś nie chciało jej się w to wierzyć. Z drugiej strony wrogość byłaby teraz niewygodna, ciągle potrzebowali siebie nawzajem, żeby przetrwać. Do tego, po tym gdy widziała jego heroiczne wysiłki, żeby zapanować nad samolotem i ich ocalić, odczuwała wobec kapitana Justice'a podziw i szacunek. Był jej bohaterem.

Westchnęła w duchu. W sumie to sama do końca nie wiedziała, co myśli, co czuje. Postanowiła skupić się na zadaniu, które było o wiele istotniejsze od jej uczuć, i wsunęła butelkę pod przykrywające go ubrania, lokując ją przy jego biodrze.

- Mam nadzieję, że nie zaczniesz się przez to znowu trząść. Bardzo lodowate?

- Nie, w porządku. Urabiasz sobie ręce po łokcie, więc ja mogę przynajmniej posłużyć za roztapiacz śniegu.

- Racja.

Tym razem jego uśmiech nie ograniczył się do kącików ust; odsłonił zęby i ujawnił maleńki dołek tuż powyżej lewego kącika.

Domyśliła się, że jej odpowiedź nie była zbyt elegancka. Pokręciła głową.

- Przepraszam. To nie było miłe.

- Ale szczerze. - Jego głowa nadal leżała nieruchomo, co było zrozumiałe, ale przy oczach pojawiły się zmarszczki rozbawienia i znowu pokazał się ten mały dołeczek w policzku. Zadziwiające, jak uśmiech zmienił kapitana Zrzędę w bardzo atrakcyjnego mężczyznę, nawet mimo bandaża na głowie i posiniaczonej twarzy.

- No cóż... tak.

- Całe szczęście, że powiedziałaś tak. Gdybyś tego nie zrobiła, pomyślałbym, że całkowicie zatraciłaś poczucie rzeczywistości.

- Co jak co, ale mam bardzo silne poczucie rzeczywistości - powiedziała z lekką drwiną i westchnęła. - Niestety, to poczucie mówi mi, że powinnam zbierać tyłek w troki, bo inaczej tu zamarzniemy. Ale ta wysokość mnie wykańcza. Muszę działać powoli i ostrożnie.

- Masz chorobę wysokościową? - Przyjrzał się jej z niepokojem.

- Mam ból i zawroty głowy. Tak, pewnie to choroba wysokościowa. Ból głowy może być częściowo spowodowany tym, że się w nią uderzyłam, ale myślę, że to przede wszystkim choroba wysokościowa.

Zasepił się.

- A ja nie mogę zrobić nic, żeby ci pomóc. Bailey, nie forsuj się, bo to niebezpieczne. Choroba wysokościowa może cię zabić.

- Tak samo hipotermia.

- Jakoś przetrwamy noc. Mamy dość ubrań dla dziesięciorga ludzi i możemy ogrzewać siebie nawzajem.

I tak będą musieli to robić; nie miała złudzeń co do swoich umiejętności w dziedzinie budowania szałasów. Zdawała też sobie sprawę, jak bardzo zimno będzie w nocy oraz w jak kiepskim stanie był Justice. Patrząc obiektywnie, hipotermia i choroba wysokościowa nie były równorzędnymi zagrożeniami - ani dla niej, ani już na pewno dla niego. Biorąc pod uwagę, ile stracił krwi, on był o wiele bardziej narażony na utratę życia podczas nadchodzącej nocy.

- Będę uważać - powiedziała, podnosząc się. Spojrzała na samolot; na samą myśl, że znowu będzie musiała wspiąć się tych kilka metrów, czuła się wyczerpana, ale potrzebowała siatki zabezpieczającej oraz skórzanych obić foteli. No i kabli. Widziała mnóstwo kabli zwisających z ziejącej dziury, gdzie kiedyś były lewe skrzydło i część kabiny.

Ogrom pracy, któremu musiała stawić czoło, prawie wzbudził w niej panikę. Była głodna, spragniona, zziębnięta i obolała. Skaleczenie na prawym ramieniu, o którym prawie zapomniała, teraz zaczęło się odzywać. Nawet gdyby zjadła porządny posiłek, wypila dość wody,

miała odpowiednie ubranie - a do tego przyjemnie trzaskałby ogień w ognisku - wolałaby nie czuć się odpowiedzialna za wybudowanie im schronienia, które nie runie. Architektura to nie była jej bajka. Nigdy nie budowała nawet zamków z piasku.

Wszystkim, na czym mogła się oprzeć, były programy o tajnikach przetrwania, które oglądała na Discovery, aczkolwiek nie utkwiły jej w pamięci żadne szczegóły. Wiedziała, że będzie im cieplej, jeśli pomiędzy nimi a ziemią znajdzie się jakaś warstwa izolująca; wiedziała, że musi postawić im nad głowami coś w rodzaju dachu, żeby byli zabezpieczeni przed ewentualnym deszczem lub śniegiem. Poza tym przychodziło jej do głowy tylko tyle, że powinni zabezpieczyć się także przed wiatrem. I musiała to wszystko osiągnąć za pomocą gałęzi i patyków.

Wróciła do wraku i odpięła do końca siatkę zabezpieczającą ładunek. Nie było to fizycznie wyczerpujące zajęcie, tak samo jak zdjęcie skórzanego obicia z siedzeń. Chcąc zachować skórę w możliwie jak największych kawałkach, starannie cięła ją czubkiem noża wzdłuż szwów. Skóra nie przepuszcza wiatru - właśnie dlatego motocykliści jeżdżą w skórzanych kurtkach i spodniach.

Przecięcie wszystkich szwów zabrało więcej czasu, niż przewidywała, bo nie wszystkie chciały puścić. Pod skórzanymi obiciami znajdowała się gruba pianka, którą od razu również usunęła, uznając, że się przyda. Z podłogi zdjęła jeszcze pas winylowej wykładziny. Samolot, który nieomal ich zabił, teraz, rozłożony na części pierwsze, mógł ich uratować.

Rozdział 11

- Wiesz co? - zawołał śpiewnie Bret, wpadając wczesnym popołudniem do biura J&L. - Wygląda na to, że Cam miał rację co do tej reakcji alergicznej. Ja... - Urwał i gwałtownie spoważniał, wpatrując się intensywnie niebieskimi oczami w twarz Karen. - Co jest?

Karen patrzyła na niego bez słowa. Była kredowobiała na twarzy, wyglądała na zdruzgotaną. Trzymała w ręce słuchawkę telefoniczną, którą powoli odłożyła.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić - odezwała się cichym, bezbarwnym głosem.

- O co chodzi?

- O Cama.

Bret zerknął na swój zegarek.

- Dzwonił już? Wyrobił się w naprawdę niezłym czasie.

- Nie, on... nie dzwonił. - Karen mówiła z trudem, jakby nie mogła poruszać wargami. Przełknęła ślinę. - Nie zjawił się w Salt Lake, żeby zatankować.

Bretowi zaczął drgać mięsień szczęki.

- Zatankował gdzieś indziej - powiedział stanowczo. - Przed Salt Lake. Gdyby były jakieś kłopoty, wylądowałby...

Powoli, drżąc lekko, Karen pokręciła głową.

Bret stał nieruchomo, wpatrując się w nią i przyswajając to, co usłyszał. Potem pognął do swojego gabinetu, złapał kosz na śmieci i do niego zwymiotował. - Boże - wydusił zmienionym głosem. Przycisnął pięści do oczu. - Boże. Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć...

Karen stanęła w drzwiach.

- Ogłosili stan pogotowia.

- Pieprzyć stan pogotowia - odparł ostro, obracając się. - Niech go szukają.

- Znasz protokół.

- Tracą czas! Muszą...

W odpowiedzi tylko jeszcze raz pokręciła powoli głową. Z furją kopnął swoje krzesło, posyłając je pod samą ścianę.

- Cholera! - ryknął. - Cholera, cholera, cholera!

Złapał za telefon i zaczął wydzwaniać do ludzi, ale wszyscy tylko powtarzali, że muszą trzymać się protokołu i dopiero jeśli Cam nie zgłosi się nigdzie w przeciągu paru następnych godzin, rozpoczną się poszukiwania.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę, podszedł do mapy na ścianie i spojrzął na szlak ze Seattle do Denver, którym miał lecieć Cam.

- Ponad półtora tysiąca kilometrów - mruknął. - Może być wszędzie. Wszystko mogło się zdarzyć. Rozmawiałaś z Dennisem? Mike nie zgłaszał wczoraj jakichś problemów ze skylane'em?

Te dwa pytania były skierowane do Karen, która przysłuchiwała się prowadzonym przez niego rozmowom telefonicznym, licząc,

wbrew zdrowemu rozsądkowi, że jakimś cudem uda mu się doprowadzić do wszczęcia poszukiwań.

- Już to sprawdzałam - odparła. - Mike niczego nie zgłaszał. Dennis powiedział, że robił tylko standardowy przegląd. - Zawahała się. - Cokolwiek się stało... to niekoniecznie musiała być usterka mechaniczna. Mogli zderzyć się z ptakiem albo mógł się źle poczuć i zasłabnąć... - Urwała.

Bret ciągle wpatrywał się w mapę. Cam leciał nad jednym z najbardziej surowych, nieprzystępnych obszarów w kraju.

- Mógł posadzić samolot - upierał się. - Na polu, w kanionie, na torze motocrossowym... gdziekolwiek. Jeśli tylko istniała taka możliwość, Cam na pewno dał radę.

- Trwają poszukiwania na szczelbu komunikacyjnym - rzekła Karen. - Jeśli uda mu się wylądować, zgłosi to przez radio. Służby Kontroli Ruchu Lotniczego odbiorą jego zgłoszenie. - Głos jej lekko zadrżał, kiedy dodała: - Jedyne, co możemy, to czekać.

Służby Kontroli Ruchu Lotniczego pełniły wiele różnych funkcji, między innymi prowadziły stały monitoring częstotliwości alarmowej. Cam przekazał plan lotu i znalazł się w systemie stopniowania zagrożenia.

Kiedy nie pojawił się w Salt Lake City w spodziewanym czasie, system wszedł w fazę niebezpieczeństwa*. Wszystkie lotniska i Służby Kontroli Ruchu Lotniczego znajdujące się na trasie lotu zostały powiadomione o jego spóźnieniu i poproszone o ewentualne informacje na ten temat.

Zgodnie z protokołem, jeśli po upływie godziny samolot nie zostanie odnaleziony, poszukiwania na szczelbu komunikacyjnym podlegają rozszerzeniu i intensyfikacji, sprawdzane są wszystkie możliwe lądowiska. Po kolejnej godzinie, jeśli wynik poszukiwań nadal jest bez zmian, Służby Kontroli Ruchu Lotniczego przekazują poszukiwania Służbom Poszukiwania i Ratownictwa.

Wtedy też zostaną powiadomieni krewni i przyjaciele Cama. Dopiero po trzech godzinach zostaną wszczęte faktyczne, fizyczne poszukiwania; satelita zlokalizuje awaryjny nadajnik pozycji znajdujący się

* Faza niebezpieczeństwa (ang. distress phase) - sytuacja, w której istnieje uzasadniona pewność, że statek powietrzny i osoby na jego pokładzie są zagrożone bezpośrednio poważnym niebezpieczeństwem lub potrzebują natychmiastowej pomocy (przyp. tłum.).

w samolocie i doprowadzi do niego Służby Poszukiwania i Ratownictwa; ale ze względu na nieprzystępny teren, dotarcie do samolotu mogło zabrać kolejnych kilka godzin.

Karen miała rację. Jedyne, co mogli, to czekać.

Bret chodził w tę i z powrotem. Karen wróciła do swojego biurka i siedziała, wpatrując się w przestrzeń; jedynym ruchem, jaki wykonywała, było podnoszenie słuchawki za każdym razem, kiedy dzwonił telefon. Minuty wlokły się im niemiłosiernie, zupełnie jakby byli poddawani chińskiej torturze wodnej*.

Karen odebrała kolejny telefon, powiedziała zduszonym głosem: „tak, dziękuję”, odłożyła słuchawkę i wybuchnęła płaczem.

Bret stał jak sparaliżowany, oddychając nierówno z dłońmi zacisniętymi w pięści.

- Znaleźli szczątki? - zapytał ochryple.

- Nie. - Otarła oczy i wysunęła szczękę. - Nie było żadnego sygnału SOS, nie nawiązali kontaktu przez radio. Gdyby wylądował gdzieś awaryjnie... - Nie musiała kończyć. Gdyby Cam wylądował, zgłosiłby to przez radio, ale pomiędzy wylądowaniem a rozbiciem się istniała zasadnicza różnica. - Przekazali poszukiwania Służbom Poszukiwania i Ratownictwa.

Bret poszarzał na twarzy i zwiesił ramiona.

- Chyba... powinienem zadzwonić do Seta Wingate'a. - Wrócił do swojego biurka, opadł ciężko na krzesło i zaczął przewracać kartki książki telefonicznej. Karen szybko otworzyła na swoim komputerze odpowiedni plik i podała mu numer.

- He, co jest? - powitał go niezbyt wyraźny głos. W tle słychać było głośno grający telewizor.

Już pijany? Było wczesne popołudnie.

- Seth?

- Jedyne i niepowtarzalny.

- Mówi Bret Larsen, z J&L. - Bret oparł się łokciami o biurko, jedną dłoń zasłonił sobie oczy.

- Myślałem, że miałaś dzisiaj zabrać tę sukę... o, przepraszam, moją drogą, kochaną macoszkę... do Denver.

- Cam, to znaczy kapitan Justice, wziął ten lot dosłownie w ostatniej chwili. - Miał wrażenie, że zaczyna brakować mu powietrza,

* Chińska tortura wodna - polegała na unieruchomieniu więźnia, na którego głowę w krótkich odstępach czasu kapali krople wody (przyp. tłum.).

zrobił łapczywy wdech. Musiał jak najszybciej to z siebie wyrzucić. - Straciliśmy kontakt z samolotem. Nie pojawili się w Salt Lake, gdzie zgodnie z planem mieli uzupełnić paliwo.

Niewiarygodne, ale Seth się zaśmiał.

- Jaja sobie robisz.

- Nie. Służby Poszukiwania i Ratownictwa rozpoczęły poszukiwania. Będą...

- Dzięki za telefon - rzucił Seth, po czym znowu się roześmiał. - Wygląda na to, że niektóre życzenia się spełniają.

Po chwili Bret słyszał już tylko sygnał w słuchawce.

- Dupek! - ryknął, hamując się, żeby nie cisnąć telefonem przez biuro. - Kanalia! Sukinsyn!

- Domyślam się, że niezbyt się zmartwił - mruknęła Karen. Ciągłe była błada i odrętwiała, ale miała suche oczy.

- Ten sukinsyn się roześmiał. Powiedział, że spełniły się jego życzenia.

- Może osobiście się o to postarał - wycedziła z nieskrywanym obrzydzeniem.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Seth, było ściszenie telewizora i zadzwonienie do siostry, Tamzin. Kiedy odebrała, zorientował się po piszczach i pluskach w tle, że siedziała na basenie i pilnowała swoich bachorów. Nie lubił swoich siostrzeńców. Nie przepadał także za swoją siostrą, ale przynajmniej na tym jednym froncie byli po tej samej stronie.

- Nie uwierzysz - zamruczał z satysfakcją. - Wygląda na to, że rozbił się samolot, którym Bailey leciała do Denver.

Jej pierwsza reakcja była taka sama jak jego. Roześmiała się.

- Żartujesz!

- Przed chwilą dzwonił Bret Larsen. To on miał być pilotem, ale ostatecznie poleciał z nią ten drugi, ten wysoki.

- Boże, ale cudownie! Nie mogę w to uwierzyć... to znaczy, wiem, że nie powinniśmy tego świętować, ale ona była taka... A w ogóle, to jak tego dokonałeś?

Zalała go wściekłość. Co za idiotka! Miała identyfikację rozmów przychodzących, wiedziała, że dzwonił ze swojej komórki, i mówiła coś takiego? Co ona, chciała, żeby go wsadzili za kratki?

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł chłodno.

- Och! Daj spokój... Madison! Przestań, bo odwołam gości, których zaprosiłaś, jak... - Wrzasnęła. - No i zobacz, co zrobiłaś! Mamusia jest cała mokra! Dość tego! Nie będziesz mogła nikogo zaprosić przez cały miesiąc!

Nawet przez telefon Seth słyszał okropnie głośne zawodzenie siostrzenicy - naprawdę irytujący dźwięk - która natychmiast przystąpiła do kampanii mającej na celu odzyskanie swoich przywilejów. Tamzin nigdy nie spełniała gróźb i jej dzieci wiedziały o tym aż za dobrze. Musiały tylko jęczeć wystarczająco długo, żeby matka uległa, chcąc, by w końcu się zamknęły. Zmarszczył nos.

- Nie możesz jej uciszyć? Drze się, jakby obdzierali ją ze skóry.

- Doprowadzają mnie dziś do obłędu.

To nie muszą się aż tak bardzo starać, pomyślał złośliwie.

- Okej, co robimy? - zapytała Tamzin. - Musimy odebrać ciało, czy coś w tym stylu? Nic mnie nie obchodzi, czy zostanie pochowana, czy nie. Nie zamierzam wydać ani centa na jej pogrzeb.

- Na razie nie musimy niczego robić. Dopiero szukają samolotu.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiedzą nawet, gdzie jest?

- Gdyby wiedzieli, to chybaby go nie szukali, nie sądzisz? - mruknął.

- To skąd wiedzą, że się rozbił, jeśli nie wiedzą, gdzie jest? Ale ktoś chyba powinien zauważyć, kiedy samolot nagle zniknął z radaru.

Już miał jej zacząć wyjaśniać, że samoloty general aviation latają na innej wysokości niż samoloty rejsowe i że nie są śledzone na radarze, póki nie znajdą się w kontrolowanej przestrzeni powietrznej, ale ostatecznie uznał, że szkoda zachodu.

- Nie dotarli do miejsca, w którym mieli zgodnie z planem uzupełnić paliwo.

- Czyli jest możliwe, że się nie rozbili? Nie wiedzą tego na pewno, tak? - W jej głosie słychać było rozczarowanie.

- Raczej nie mają złudzeń.

- To kiedy odzyskamy kontrolę nad naszymi pieniędzmi?

- Pewnie kiedy znajdą ich ciała i zostanie wystawione świadectwo zgonu. - Tak naprawdę, nie miał pojęcia; mogło trochę potrwać, zanim to wszystko zostanie prawnie uregulowane.

- Ile będziemy musieli czekać? To niedorzeczne, że nie możemy rozporządzać własnymi pieniędzmi. Jestem wściekła, potwornie wściekła na tatę, że mi to zrobił. Muszę udawać przed moimi przy-

jaciółmi, że pozwalamy jej mieszkać w domu z dobroci serca i że po prostu nie szastam pieniędzmi, a przecież prawda jest taka, że wydzielam nam każdego centa, jakby te pieniądze należały do niej.

- Nie wiem - rzucił niecierpliwie. - Zadzwoń do swojego prawnika, jeśli musisz wiedzieć już w tej chwili.

- Aha. Wiesz co, Seth, nie zamierzam chodzić ubrana na czarno i udawać, że jest mi przykro.

- Tak, tak, ja też nie mam zamiaru. - Nagle poczuł, że ma już dość tej rozmowy. - Odezwę się do ciebie, kiedy dowiem się czegoś bardziej konkretnego.

- Szkoda, że nie zadzwoniłeś wcześniej. Miałam okropny dzień; gdybyś powiedział mi o tym z samego rana, byłabym w o wiele lepszym nastroju.

Seth rozłączył się i w napadzie złości cisnął telefonem przez pokój. Z początku czuł czystą satysfakcję, ale teraz miał w ustach gorzki posmak. Poszedł do łazienki, wypił szklanek wody i wpatrywał się w lustro, jakby nigdy wcześniej nie widział swojego odbicia; zastanawiał się, czy inni ludzie, kiedy na niego patrzyli, widzieli człowieka, który mógłby zabić dla osiągnięcia własnych celów. Zaciśnął wargi i odwrócił się od lustra.

Wrócił do salonu, podniósł szklaneczkę szkockiej, już trzecią dzisiaj, i przybliżył do ust. Ale nie upił ani łyka, tylko ją odstawił. Powinien teraz mieć jasny umysł, a to oznaczało, że na razie ani kropli alkoholu.

Będzie musiał bardzo uważać, bo inaczej jego głupia siostra z za długim jęzorem wpakuje go do więzienia.

Rozdział 12

Bailey odsunęła się, żeby ocenić efekt swojej pracy. Nie zachwycił jej zbyt. „Szałas” - miała nadzieję, że jej konstrukcja zasługiwała na to miano - był dziwną zbieraniną najrozmaitszych różności i miał tak dziwaczny kształt, że nie chcieliby się do niego przyznać nawet w kraju Trzeciego Świata.

Po całej pracy włożonej w budowę schronienia nogi miała jak z waty, była tak zmęczona, że prawie padała na twarz. Bardzo chciało

jej się pić, topienie śniegu w ustach przynosiło tylko chwilową ulgę, poza tym zrobiło jej się od tego jeszcze zimniej. Była głodna. Wszystko ją bolało, jej mięśnie protestowały przeciwko wykonaniu najmniejszego ruchu. Do tego kręciło się jej w głowie i pod koniec była zmuszona poruszać się na czworakach, przez co zamoczyła sobie spodnie, co dodatkowo ją wychładzało.

Ale nareszcie skończyła, mieli pod czym spać, i jeśli tylko ta konstrukcja się na nich nie zawali, osłoni ich, przynajmniej częściowo, przed lodowatym wiatrem. Wcale nie było łatwo tego dokonać.

Mając jako narzędzie tnące tylko scyzoryk Justice'a, musiała wykorzystać leżące już na ziemi konary. Samolot połamał wiele gałęzi, ale nie wszystkie były odłamane całkowicie. Niektóre z nich byłyby w stanie oderwać do końca, ale nie mogła sobie pozwolić na zbyt dużą stratę energii czy czasu. Podniesienie ułamanych gałęzi z ziemi, nawet jeśli nie były tak mocne jak te nadal wiszące, było o wiele łatwiejsze niż piłowanie drewna za pomocą scyzoryka.

Po wybraniu odpowiedniego miejsca między dość gęsto rosnącymi drzewami, gdzie było w miarę równe podłoże i nie wystawały z ziemi korzenie, odgarnęła tyle śniegu, ile zdołała, i ułożyła dwie warstwy najbardziej giętkich gałązek. Rosły tutaj drzewa iglaste, głównie jodły, i wydawało się, że ich gałęzie będą stanowić dobrą i stosunkowo miękką warstwę izolującą od ziemi.

Zaczęła od końca, ale wolała najpierw zrobić im łóżko, a dopiero potem zbudować wokół niego osłonę, żeby wiedzieć, jak duży powinien być cały szałas. Justice powiedział, że im mniejszy, tym lepszy. Ponieważ zależało jej na tym, by mógł na posłaniu swobodnie się wyprostować, starannie zmierzyła go za pomocą własnych stóp. Mierzył nieco ponad siedem tak zwanych stopek. Marszcząc pytająco czoło, przyglądał się jej, kiedy skupiona stawiała nogę przed nogą.

- Ćwiczysz do testu trzeźwości czy co?

- Mierzę cię. Nie chcę, żeby szałas był dla ciebie za krótki.

Na warstwie z gałęzi położyła piankę, którą wyciągnęła z siedzeń w samolocie. Czuła, że na niej będzie im wygodnie, wygodniej niż gdyby spali w śpiworach. Jeśli by jednak miała wybór, zdecydowałyby się na śpiwór - ze względu na ciepło. Przetrvanie nocy bez ogniska było prawdziwym wyzwaniem.

Kiedy skończyła z pianką, zabrała się do skonstruowania szkieletu z gałęzi. Zawahała się, czy użyć do tego taśmy klejącej, bo rolka była nieduża i nie starczyłoby jej na długo. Mogła wiązać poszczególne elementy paskami materiału; uznała, że jeśli za pierwszym razem coś się nie uda, będzie mogła wykorzystać taki pasek ponownie, podczas gdy w przypadku taśmy klejącej byłoby to niemożliwe.

Jej zniszczony jedwabny zakiet idealnie nadawał się do pocięcia na pasy.

Z początku próbowała stworzyć coś w rodzaju odwróconego V, ale to wyraźnie przerastało jej umiejętności, czym nie była specjalnie zaskoczona. Kiedy prowizoryczna konstrukcja przewróciła się po raz trzeci, Bailey postanowiła sobie odpuścić i spróbować czegoś innego.

Wróciła do przykrytego górą ubrań Justice'a, przykucnęła obok niego i szepnęła:

- Pamiętasz, jak mówiłam, że nie mam bladego pojęcia o budowaniu?

Uniósł lekko powieki.

- Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że będziemy dziś spali pod gołym niebem?

- Nie, w ten sposób proszę cię o pomoc! Daj mi jakieś instrukcje. Wskazówki. Cokolwiek. Jeśli masz w tej dziedzinie jakiegokolwiek doświadczenie, wiesz więcej ode mnie.

- Myślałem, że byłaś już kiedyś na splywie.

- Byłam. Ale chciałabym zauważyć, że splywy nie odbywają się na ośnieżonym górskim szczycie.

- Nie rozstawiałaś namiotu?

- Byłam wtedy w college'u. Oczywiście, że nie. Spaliśmy w śpiworach, wokół ogniska. - Prychnęła.

- Okej. - Myślał przez chwilę. - Jaki szalas próbowałaś zbudować? Dwu- czy jednospadowy?

- Chyba dwuspadowy. Ale nie chciał stać.

- Najpierw musisz zrobić rusztowanie. Wyznacz długie boki dwiema równoległymi, długimi gałęziami, połóż w poprzek dwie krótsze, po jednej z każdej strony, i dobrze przymocuj.

Brzmiało dosyć prosto. Wróciła na miejsce swojej porażki, wybrała ze stosu najróżniejszych gałęzi i patyków dwa najbardziej zbliżone do długości łóżka i postawiła po jednym z każdej strony. Potem położyła na nich dwie krótsze gałęzie, po jednej na każdym końcu i uży-

ła jedwabnych pasków, żeby przywiązać każdą z krótszych gałęzi do dwóch dłuższych. Kiedy skończyła, poruszyła ramą, żeby sprawdzić czy jest dość mocna, następnie ostrożnie poprawiła wszystkie węzły i jeszcze raz poruszyła ramą. No, teraz może być.

- Co dalej? - zawołała.

- Teraz musisz ustalić wysokość. Weź cztery gałęzie, które są dłuższe od wybranej przez ciebie wysokości.

To też było łatwe, ale przy wszystkich czterech nadal były gałązki z igłami. Scyzorykiem zrobiła, co mogła, żeby pozbyć się niepotrzebnych dodatków.

- Już.

- Teraz weź dwie i zrób z nich coś w rodzaju iksa. Punkt, w którym się krzyżują, będzie wyznaczał wysokość szalasu. Drugą parę musisz skrzyżować i związać na tej samej wysokości. Potem weźmiesz dwa krótsze patyki i przymocujesz poniżej miejsca, w którym krzyżują się ramiona iksów.

Hm... Chyba wiedziała, o co chodzi. Powiązała wszystkie elementy jedwabnymi pasami, a kiedy skończyła, miała dwie litery A ze sterczącymi na czubku rogami.

- Teraz muszę połączyć je z podstawą, tak?

- Najpierw znajdź jeszcze jedną długą gałąź, umieść ją na rozwidleniach tych iksów i przywiąż: góra szkieletu ma być tej samej długości co podstawa. Potem przymocuj całość do podstawy.

Mimo jego instrukcji rusztowanie szkieletu przechylało się trochę na lewo i było nieco niższe z jednej strony, ale kiedy spojrzała na słońce i zobaczyła, że zaczynało chować się za górami, zrozumiała, że nie ma czasu, by próbować cokolwiek zmieniać. Poprawiła tylko węzły tam, gdzie wydawało się jej to najbardziej niezbędne, czyli prawie wszędzie. Kiedy uznała, że konstrukcja jest dość stabilna, żeby ustać przynajmniej przez jedną noc, zabrała się do robienia dachu.

Podejrzewała, że z technicznego punktu widzenia dużych, czarnych worków na śmieci, które udrapowała na szkielecie, nie można było nazwać dachem, ale przecież nie miała brezentu. Przykleiła plastikowe worki do rusztowania taśmą, narzuciła na nie siatkę zabezpieczającą, żeby nie zerwał ich wiatr, a dla dodatkowego obciążenia i izolacji wplotła w nią giętkie iglaste gałązki.

Worki na śmieci nie zakrywały kompletnie boków szalasu, ale nie miała ich dostatecznie dużo, żeby to poprawić. Przymocowała więcej

gałęzi, żeby zakryć dziury, a potem jeszcze więcej, utykając je wszędzie, gdzie tylko się dało. Bez ustanku obserwując jednym okiem chowające się za górami słońce, świadoma obniżającej się temperatury, zapomniała, że miała się nie forsować, tylko działać powoli i ostrożnie. Jednak presja czasu sprawiała, że pracowała coraz szybciej i szybciej, aż w końcu z trudem łapała oddech.

Kiedy podniosła się po kolejną gałąź, by zakryć jeszcze jedną szczelinę, którą właśnie zlokalizowała, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zatoczyła się, szukając na oślep czegoś, żeby się przytrzymać, ale niczego nie znalazła i ostatecznie runęła głową do przodu.

Kiedy odzyskała wzrok, była na kolanach, obejmując jedną ręką drzewo, a serce waliło jej jak młotem. Nie chcąc ryzykować kolejnego upadku, została na klęczkach i zacisnąwszy zęby, niezdarnie zakryła prześwit. Zbierało jej się na wymioty, ale przełknęła ślinę i jakoś jej przeszło.

Należało jeszcze obudować końce szalasu i musiała to robić również na kolanach. Ustawiła odpowiednio gałęzie, zamykając tył szalasu, a następnie umocniła wszystko śniegiem; w tej temperaturze nie było obawy, że śnieg się roztopi, a co ważne, stanowił skuteczne zabezpieczenie przed wiatrem. Przód mógł być tylko częściowo zabudowany, bo musieli się jakoś dostać do środka; ustawiła gałęzie, zaczynając od boków i zostawiając otwór, na tyle szeroki, by Cam mógł się przez niego wczołgać. Z największej płachty skórzanego obicia zrobiła klapę, zasłaniającą wejście; do szkieletu przykleiła ją taśmą. Dodatkowo mogli zastawiać wejście workiem z ubraniami.

Teraz jej największym problemem było podźwignąć się do pionu, i przetransportować Justice'a do szalasu. Nie wiedziała, jak tego dokona, bo sama ledwo powłóczyła nogami. Ostrożnie, przytrzymując się drzewa, wstała. Kolana uginały się pod nią, głowa pulsowała bólem. Ale nie straciła przytomności i wpatrywała się w niezgrabną, krzywą budowlę, która musiała im tej nocy posłużyć za schronienie.

Chwiejnie zeszła do miejsca, w którym leżał Justice. Dotarcie do niego kosztowało ją tyle wysiłku, ile normalnie przebycie kilku kilometrów. Rzeczywista odległość nie była duża, nie więcej niż dziesięć metrów, ale wystarczająca, by nie być na drodze zsuwającego się samolotu, gdyby jednak miało do tego dojść.

- Gotowe - wykrztusiła i opadła na kolana. Miała zgrabiąle z zimna ręce, wokół niej wirowały powoli góry i znowu walczyła z mdłościami. - Ale nie wiem, jak się tam dostaniesz, no, chyba że jesteś w stanie się czołgać.

Otworzył oczy; ich tęczówki wydawały się wyjątkowo blade na tle ciemnych sińców na twarzy.

- Chyba jestem w stanie się podnieść. A jeśli nie, to się przeczołgam. - Zauważając, że była blada, drżała i miała mokre spodnie od kolan w dół, zmarszczył brwi. - Co ty, do diabła, ze sobą zrobiłaś? - zapytał ostro. - Nie odpowiadaj, wiem. Postanowiłaś wypruć sobie żyły, żeby zbudować nam szałas. Niech to szlag, Bailey...

Poczuła się dziwnie urażona, tak jakby to, co myślał, miało dla niej znaczenie, a ponieważ uraza szybko przeszła w gniew, rzuciła również ostro:

- Wiesz, wcale nie musisz tam spać! Jeśli chcesz, możesz odmrażać sobie tyłek tutaj.

Spod stosu ubrań wystrzeliło gołe, muskularne ramię, silna dłoń wczepiła się w jej rękę i w następnej chwili Bailey leżała już na kocu termicznym. Rozwścieczyło ją to; choć był ranny i osłabiony, ona sama była tak wycieńczona, że mógł sobie poczynąć z nią niczym ze szmacianą lalką.

Jego jasne oczy były lodowate.

- Będziemy spać razem, nieważne, czy w szałasie, czy tutaj. Ale najpierw - dodał surowo - wejdiesz do mnie pod te ubrania i poleżysz chwilę, bo inaczej zemdlejesz. - Powoli, z wysiłkiem przekreślił się na lewą stronę, żeby być twarzą do niej.

Leżenie w cieple było cudownym stanem, rozkoszną ulgą dla jej obolałego ciała i głowy, w której się nadal kręciło. Bailey aż miała ochotę piszczeć. Jednocześnie złość i urażona duma sprawiały, że myślała o tym, by mu się wyrwać i oddalić samotnie do szałasu, ale niestety nie czuła się na siłach, by gdziekolwiek iść. Pozbawiona satysfakcji fizycznego oporu, uciekła się do słów.

- Ty niewdzięczny dupku! Zawsze uważałam cię za palanta, ale teraz wiem na pewno, że nim jesteś. Prędzej trafi mnie szlag, niż jeszcze raz podzielę się z tobą moim batonem.

- Tak, tak... - mruknął, przyciągając ją do siebie i szamocząc się z ubraniami, żeby ją dobrze okryć. Ostatecznie zamknął ją w swoich ramionach, przytuloną do jego półnagiego ciała.

Poczuła, jakby znalazła się przy rozgrzanym piecu. Wiedziała, że w rzeczywistości Cam był zaledwie w miarę ciepły, ale ona z kolei była tak zmarznięta, że w porównaniu z nią dosłownie płonął. Jej zimna twarz leżała przytulona do miejsca, w którym jego szyja łączyła się z ramieniem, jego ręka, obejmująca jej plecy, przyciskała ją do niego. Gorąco, które nagle zaczęło rozchodzić się po jej zmarzniętych dłoniach, było jednocześnie tak bolesne i tak cudowne, że niemal wybuchnęła płaczem. Przyłożyła dłonie do jego nagich boków, łaknąc jeszcze więcej ciepła. Wzdrygnął się i zaklął, ale nie zrzucił jej dłoni.

Bailey nadal wyżywała się słownie, tyle że teraz mamrotała wprost do jego ciepłej szyi.

- Kiedy zaśniesz, wydrę ci z głowy wszystkie szwy. Zobacysz! I zabiorę wszystkie moje ubrania; możesz rozgrzewać się w swoich, masz ich wszystkiego ze trzy sztuki. I chcę dostać z powrotem mój płyn do płukania jamy ustnej.

- Ciii - zamruczał. Powoli przesuwiał dłonią wzdłuż jej kręgosłupa, to w górę, to w dół. - Odpoczywaj. Dokończysz robić mi aferę, kiedy poczujesz się lepiej.

- Będę robić ci aferę, kiedy będę chciała, a nie kiedy mi powiesz. Bawi cię to? - zapytała rozwścieczona, unosząc głowę, żeby zobaczyć jego minę, bo mogłaby przysiąc, że słyszała ten charakterystyczny ton w jego głosie.

Nawet jeśli tak było, zdążył zamaskować wszelkie dowody.

- Kogo, mnie? Nigdy w życiu. Proszę cię, połóż głowę - powiedział, kładąc dłoń na jej włosach. - I chodź bliżej.

Bliżej? Żeby być jeszcze bliżej, musiałyby chyba się rozebrać. Poddała się jego dłoni i ponownie przytuliła twarz do jego ciepłej skóry.

- Przestań się tak o mnie troszczyć. To zupełnie na mnie nie działa.

- Nigdy nie sądziłem, że będzie.

Niech go szlag! Miała ochotę go uszczypnąć, ale w to by trzeba było włożyć trochę wysiłku, a ona była kompletnie wyczerpana. Chciała po prostu tak leżeć przez najbliższą przyszłość, z głową opartą na poduszce z jego ciepłego ramienia.

Ale nie odważyła się zasnąć. Nieubłagane zbliżał się wieczór, a ona ciągle miała jeszcze tyle do zrobienia.

- Muszę wstać. Robi się ciemno...

- Mamy jeszcze dobrą godzinę, zanim się ściemni. Możesz pozwolić sobie na pięć minut odpoczynku. Dołożyłem śniegu do butelki,

kiedy tamten się stopił, więc mamy jakieś pół litra wody, gdybyś potrzebowała się napić.

Owszem, potrzebowała, i to bardzo. Nie zauważyła, kiedy to zrobił, ale była tak zajęta swoimi sprawami, że w sumie nic dziwnego. Wyciągnął butelkę spod stosu ubrań.

Widziała drobinki brudu pływające w stopionym śniegu, ale nie dbała o to. Była tak spragniona, że mogłaby wypić wszystko, ale pozwoliła sobie tylko na trzy łyki, trzymając chwilę ten cudowny płyn w ustach, żeby ogrzał się przed połknięciem.

- To było pyszne - westchnęła, nakładając zakrętkę. Schował butelkę z powrotem pod przykrycie.

Wtulona w jego ciepłe ramiona, Bailey w końcu pozwoliła sobie na to, by się odprężyć. A co tam; prawda, że ją wkurzył, ale niestety siedzieli w tym razem. Byli wysoko w górach i czekała ich upiornie zimna noc; mogli albo przetrwać ją razem, albo umrzeć osobno. Zresztą chodziło tylko o jedną noc - jutro zostaną uratowani. Dojedzie do Logana i Peaches, którzy pewnie do tej pory szaleli z niepokojem, i może uda im się dołączyć do reszty uczestników splotu gdzieś na trasie. Po przeżyciu katastrofy lotniczej splot pontonowy to żadne wyzwanie, pomyślała sennie. Katastrofa lotnicza to dopiero przygoda; nic tak nie podnosiło adrenaliny jak sytuacja, z której ledwo uszło się z życiem.

Stopniowo, uświadomiła sobie jeszcze jeden irytujący fakt. Justice stracił morze krwi, miał rozwaloną głowę i najprawdopodobniej doznał wstrząśnienia mózgu. Mało brakowało, a wyiębilby się na śmierć. Możliwe, że doznał jeszcze jakichś innych obrażeń. I ten facet, który tyle dzisiaj przeszedł, miał właśnie erekcję.

Rozdział 13

- Cholera - parsknęła Bailey. - Pewnie masz pełen pecherz, prawda? Przepraszam, powinnam cię o to zapytać już dawno temu - powiedziała z przesadną skruchą w głosie

Minęło kilka sekund, zanim mruknął:

- W porządku. Mogę zaczekać.

- No cóż, jeśli jesteś pewien...
- Jestem. - Był lekko poirytowany.

Bardzo starała się nie uśmiechać, bo leżała z twarzą przyciśniętą do jego ciała, więc dosłownie wyczułby jej uśmiech. Jeśli ten świntuch myśli, że wykorzysta okazję - zignorowanie dowodu jego zainteresowania nią będzie świetnym sposobem na danie mu do zrozumienia, że ona z całą pewnością nie dostrzega w nim mężczyzny. Nie pojmowała, jak mógł pomyśleć, wyobrazić sobie, że w jego stanie by coś działał, ale zauważyła, że faceci często mierzyli siły na zamiary, jeśli chodzi o te rzeczy.

Za to ona miała bardzo silne poczucie rzeczywistości, które mówiło jej, że warunki są ekstremalne. Nawet gdyby nie był ranny, nie miałyby wolnego miejsca na swojej liście zadań, żeby wcisnąć tam jeszcze małe co nieco. Poza tym był jeszcze klasyczny powód, żeby odmówić: bolała ją głowa - naprawdę ją bolała, i to tak bardzo, że Bailey nigdzie by się nie ruszyła, gdyby nie to, że musiała zapewnić im na noc schronienie.

...Wstawaj, rozkazała sobie, walcząc z fizycznymi dolegliwościami.

- Jeśli na pewno nie potrzebujesz...
- Na pewno - warknął. Teraz był naprawdę rozdrażniony.
- No to do boju, kapitanie Justice.

Ponad godzinę później wczołgała się do szałas i padła obok niego na posłanie z kawałków pianki, przykrytych kocem termicznym. Skoro ciepło unosi się w górę, będzie im cieplej leżeć na kocu niż pod nim.

Cam był biały na twarzy z wyczerpania i bólu, jeszcze zanim wprowadziła go na górę. Dystans był krótki, ale poruszali się w ślimaczym tempie, wkładając w to tyle wysiłku, że kiedy ten koszmar wreszcie się skończył, oboje cali się trzęśli. Wcześniej, z jego pomocą, przebrała go w czyste ubrania. Potem odbyła jeszcze kilka wycieczek na dół i z powrotem, żeby przywlec worki z ubraniami i innymi rzeczami. Ale gdy zapadł wieczór, było po wszystkim.

Choć znowu dygotała z zimna, wychyliła się i przyciągnęła jeden z worków, by zasłonić wejście do szałas. Przez chwilę leżeli w kompletnej ciemności, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, był jej ciężki, nierówny oddech. Potem Cam zapalił małą lampkę na baterie. Lampka oświetlała jego twarz, ale nie dał po sobie absolutnie poznać, ile wysiłku kosztowało go, by się do niej przysunąć.

W milczeniu ponownie wziął ją w ramiona, by leżeli tak blisko jak to możliwe, i przykrył ich oboje stertą ubrań. Potem wyłączył światło, żeby oszczędzać baterie, i leżeli tak, dopóki prawie całkiem nie przestali się trząść, a jej oddech się nie uspokoił.

- Kiedy poczujesz, się na siłach - jego głos był głęboki i kojący w tych ciemnościach - dokończymy tamtego snickersa i wypijemy resztę wody. I nie zaszkodziłoby, gdybyśmy oboje łyknęli po aspirynie.

- Aha. - Tylko tyle była w stanie odpowiedzieć. Bolał ją każdy centymetr ciała. Owszem, czuła głód, ale jeśli jedzenie wymagało tego, by się poruszyć, to wołała obejść się bez niego. Dla jej umęczonego ciała posłanie z pianki było jak najwygodniejsze łóżko, a bliskość Justice'a działała na nią bardzo kojąco; czuła jego oddech poruszający jej włosy, czuła, jak jego pierś podnosi się i opada, kiedy oddychał. Otulona jego zapachem i ciepłem, z głową na jego ramieniu, zasnęła.

Cam od razu poznał, że zasnęła; jej mięśnie rozluźniły się, oddech zrobił się głębszy i bardziej miarowy. Przyłożył na chwilę usta do jej zimnego czoła, a potem przekręcił głowę, żeby ich policzki się stykały i by mógł dzielić się z nią całym niewielkim ciepłem, jakie posiadał. Jeśli przetrwają tę noc, to tylko dzięki jej olbrzymiej determinacji, no i niewyobrażalnej liczbie ciuchów, jakie zabrała ze sobą w podróż.

Na tyle, na ile mógł, obserwował ją w ciągu dnia; każdy ruch głową kończył się dla niego niemal osłepiającym bólem. Widział, jak się potykała, a potem chodziła na czworakach, i wściekał się, że nie mógł jej pomóc, że musiał leżeć jak kłoda, kiedy ona wypruwała z siebie flaki, próbując zapewnić przetrwanie im obojgu. W pewnym momencie większość ludzi usiadłaby i powiedziała: „Dłużej już nie dam rady”, ale nie ona. Mało tego, zajmując się nim, całkowicie zapomniała o sobie.

Podejrzewał, że była odwodniona, bo nie zauważył, żeby przez cały ten czas oddaliła się gdzieś za potrzebą, a od kiedy odzyskał przytomność, cały czas śledził jej poczynania, chociażby nasłuchując, co robiła, kiedy znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku. Wypiła tylko kilka łyków wody, tyrajac przez cały dzień.

Za to on starał się uzupełnić stracone płyny. Pił co jakiś czas, choć może w niewielkich ilościach, za każdym razem, kiedy w butelce po płynie do płukania jamy ustnej stopił się śnieg, a potem dokładał do środka nową porcję śniegu, znajdującego się w zasięgu jego ręki. W międzyczasie przekręcił się z bólem na bok i wysikał - uważając,

by celować z dala od miejsca, skąd brał śnieg - a Bailey była tak skąpiona na swojej pracy, że niczego nie zauważyła.

Była wycieńczona, więc postanowił, że pozwoli jej trochę pospać, zanim obudzi ją na jedzenie i picie. Trzymanie jej w ramionach nie było dla niego niewygodą. Mimo warstwy dzielących ich ubrań, czuł sprężystość jej ciała, jędrność piersi. Jak na jego gust była może odrobinę za szczupła, ale jej mięśnie były dowodem na to, że trzymała niską wagę dzięki ćwiczeniom, nie głodówce.

Masa mięśniowa pomoże jej w utrzymaniu ciepła tej nocy, ale i tak będzie jej trudniej walczyć z zimnem niż jemu. Był to kolejny powód, dla którego pozwalał jej spać teraz, dopóki mogła. Temperatura spadnie, a im będzie jeszcze zimniej, mimo tych licznych ubrań, którymi byli okryci. Będą dzielić się ciepłem własnych ciał, więc jakoś da się wytrzymać, aczkolwiek podejrzewał, że nad ranem będzie jakieś minus dwadzieścia stopni. Szalas stanowił pewną ochronę przed wiejącym mroźnym wiatrem, ale nie był szczelny. Zdaje się, że nie miał wyjścia - będzie musiał przytulać się z nią przez całą noc.

To dopiero katorga.

Nie mógłby wykorzystać tej wymuszonej przez sytuację bliskości, nawet gdyby pozwalał mu na to jego stan fizyczny. Nic na siłę; wystarczy, że spędzą noc w swoich ramionach - dosłownie. Nawet gdyby zostali ocaleni z samego rana, w co wątpił, ta noc, podczas której będą razem spać, nawzajem się ogrzewać, by pozostać przy życiu, rozmawiać w ciemności przez długie godziny, połączy ich już na zawsze. Nie ma mowy, żeby wróciła potem do swojej poprzedniej oziębłości. Nie pozwoli jej na to.

Cam nie zabiegał o wiele kobiet; tak naprawdę, nigdy nie musiał tego robić. Większość pilotów nie musiała, no, chyba że byli jacyś wyjątkowo nieurodziwi. Wychował się w Teksasie; w szkole średniej grał w futbol, co wystarczyło, by cieszyć się popularnością wśród dziewczyn. Po szkole poszedł prosto do Air Force Academy - fajny mundur, całe to zachowanie macho - więc z dziewczynami też nie było problemu. Potem poszedł do szkoły lotniczej, dostał swoje skrzydełka i zaczął piąć się w górę. Do tego czasu był już żonaty, z córką pułkownika, więc nie uganiał się za spódniczkami. Potem, po zakończeniu kariery wojskowej i rozwodzie, niewiele się zmieniło. Teraz był pilotem i właścicielem firmy, i choć nie był takim amantem jak Bret, kiedy miał ochotę na seks, zwykle nie było problemu ze znalezieniem chętnej kobiety.

Jednak Bailey nie była łatwym przypadkiem. Nie wydawała się zakłopotana jego erekcją, ale też nie okazała nią najmniejszego zainteresowania. Ponieważ była wcześniej mężatka, zakładał, że nie jest lesbijka, więc albo absolutnie nie była nim zainteresowana, albo to wina tego cholernego muru, który wokół siebie wybudowała. Tak czy siak, stanowiła wyzwanie dla takiego jak on drapieżcy.

Oceniając, że minęła już jakaś godzina, od kiedy zasnęła, włączył lampkę, żeby go widziała i się nie przestraszyła, po czym delikatnie nią potrząsnął.

- Bailey, pora coś zjeść.

Ocknęła się na moment, ale kiedy tylko przestał nią potrząsać, ponownie odpłynęła w sen. Znowu nią potrząsnął, tym razem mocniej.

- Obudź się, skarbie, nawet jeśli nie chcesz jeść, musisz napić się wody.

Mrugając, powoli otworzyła oczy, i przez chwilę rozglądała się wokół, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Potem utkwiała wzrok w jego twarzy i poczuł, jak pod stosem leżących na nich ubrań zacisnęła dłoń na jego nadgarstku.

- Justice?

- Cam. Teraz, kiedy sypiamy razem, myślę, że powinnaś mówić mi po imieniu.

Na jej usta wypłynął senny uśmiech.

- Nie bądź natarczywy. W tych sprawach nie można się spieszyć.

Uważnie przyglądał się jej twarzy w słabym świetle lampki. Nie mógł stwierdzić tego na pewno, ale wydawało mu się, że ciągle była blada. Miała opuchliznę na wysokości prawej kości policzkowej i ciemny siniec pod okiem. Ona też odniosła obrażenia, a mimo to cały czas coś robiła.

- Masz podbite oko - powiedział, wyjmując rękę spod przykrycia, żeby delikatnie dotknąć jej policzka.

- Co z tego? Ty masz podbite oboje oczu.

- Nie pierwszy raz.

- Jestem taka zmęczona - Ziewnęła. - Czemu mnie obudziłeś?

- Musisz się napić; jesteś odwodniona. I musisz coś zjeść, o ile jesteś w stanie.

- To ty straciłeś mnóstwo krwi, nie ja. Potrzebujesz wody bardziej ode mnie.

- Ja popijałem wodę przez cały dzień, za każdym razem, jak tylko śnieg się stopił. Nie kłóć się ze mną, tylko pij. - Wyciągnął butelkę z jej stałego miejsca przy jego biodrze. Patrzył, jak Bailey posłusznie przełknęła kilka łyków, ale była tak wyczerpana, że nawet picie stanowiło dla niej duży wysiłek. Butelka przechyliła się w jej ręce, szybko więc zabrał ją i zakręcił, żeby zapobiec rozlaniu cennego płynu.

- Bardzo dobrze. - Co powiesz na resztę snickersa? Możemy zjeść na spółkę, jeśli sama nie dasz rady.

- Chcę spać - powiedziała płacząc. - Boli mnie głowa.

- Wiem, skarbie. Pamiętasz, jak mówiłem, żebyśmy wzięli aspirynę? Nie możesz wziąć aspiryny na pusty żołądek. Gryź. - Przystawił jej batonik do ust i odgryzła niewielki kawałek. Zaczekał, aż połknie, dopiero wtedy sam też odgryzł kawałek. Potem namówił ją na kolejny kęs. Jeszcze chwila i było po batoniku.

Następnie musiał otworzyć apteczkę, którą umieściła razem z nimi w szalasię; czynność ta wymagała od niego uniesienia się na łokciu. Wszystkie mięśnie jego ciała protestowały przeciwko podjęciu jakiegokolwiek wysiłku, ale najbardziej dokuczała mu głowa. Znieruchomiał na moment, walcząc z mdłościami, dopóki pulsujący ból w skroniach odrobinę nie zelżał.

Kiedy otworzył łzawiące z bólu oczy, zobaczył, że ona znowu przysnęła.

- Bailey, obudź się. Aspiryna.

Kolejny raz, z wysiłkiem otworzyła oczy. Pogmerał w apteczce, dopóki nie znalazł aspiryny, zapakowanej po dwie tabletki w oddzielne, kwadratowe saszetki. Zębami otworzył oba opakowania, połknął dwie tabletki, kolejne dwie podał Bailey. Oboje pociągnęli po łyku wody, żeby popić lek, po czym ponownie schował butelkę pod przykrycie, żeby woda nie zamarzała w ciągu nocy.

Wyłączył światło i już w ciemności przekręcił ją w ten sposób, by leżeli twarzą w twarz, spleceni nogami. Przypomniał sobie, jak wcześniej przykryła ich głowy, i też narzucił im na twarze jakiś materiał. Dzięki temu, powietrze, którym oddychali, nie było aż tak lodowato zimne, jak to na zewnątrz.

- Dobranoc - zamruczała niewyraźnie, przysuwając się bliżej i wtulając twarz w jego ramię.

- Dobranoc - odpowiedział. Pocałował ją w czoło, przerzucił rękę przez jej biodro i umościł się, również próbując zasnąć.

Rozdział 14

Bailey obudziła się z niespokojnego snu, cała się trzęsąc z zimna. Wszystko ją bolało i czuła się tragicznie. Otaczały ją kompletne ciemności i spanikowałaby, gdyby wyraźnie nie czuła, że obejmują ją męskie ramiona. Gdzieś na poziomie podświadomości rozpoznała jego zapach, dotyk, i wiedziała, że nie ma powodu do niepokoju.

A może jednak był, skoro jego lewa dłoń powędrowała pod gumkę zarówno spodni dresowych, jak i majtek, i leżała na jej pośladku.

Ale zaraz uświadomiła sobie, że sama też włożyła mu dłonie pod koszulę, spragniona ciepła jego skóry.

Choć byli przykryci kilkoma warstwami ubrań, nie chroniło ich to w pełni przed lodowatym powietrzem i czuła przechodzące ją po plecach dreszcze. Miała jakąś szparę za plecami? Sięgnęła ręką do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie ma odkrytych pleców.

- Nie śpisz? - zapytał Cam; mówił cicho, żeby jej nie obudzić, gdyby jednak spała. Czuła leciutkie wibracje w jego klatce piersiowej, zupełnie jakby mrucał. Sprawilo to, że miała ochotę przysunąć się jeszcze bliżej, o ile było to w ogóle możliwe.

- Zimno mi - wymamrotała. - I mógłbyś zabrać tę rękę, bardzo cię proszę?

- Którą rękę? Tę? - Poruszył palcami, które znajdowały się na jej pupie.

- Justice! - Spojrzała na niego karcąco spod zmarszczonych brwi, choć w tych ciemnościach nie mógł tego widzieć.

- Mam wstrząśnienie mózgu, zapomniałaś? Nie odpowiadam za swoje czyny ani za czyny mojej ręki, która działała z własnej woli i bez mojej wiedzy.

Prychnęła drwiąco, żeby ukryć uśmiech. Uświadomiła sobie, że leżenie z Camem w ten sposób w ciemnościach było bardzo zmysłowe. Robili to, żeby przetrwać, ale jednocześnie okoliczności, w których się znaleźli, sprawiły, że wytworzyła się między nimi swego rodzaju bliskość. Jej wrodzona ostrożność zaczęła bić na alarm. Jeśli nie będzie uważać, może ocknąć się na prostej drodze do jednego z tych szybkich

związków, które odbiły się już czkawką wielu ludziom, nie wyłączając jej rodziców. Ponieważ przekonała się, jak błędne osobiste decyzje wpływają niekorzystnie na całą rodzinę, zawsze bardzo się starała nie dopuścić do tego, by jej emocje wzięły górę nad rozumem.

Bailey nie podejmowała pochopnych decyzji ani w przypadku finansów, ani jeśli chodziło o jej życie osobiste. Nie знаła Cama Justice'a; to znaczy nie znała go tak naprawdę, bo dotychczas nie łączyły ich zażyłe stosunki. Wątpiła, żeby zmienił się jakoś znacznie w ciągu ostatnich dwunastu godzin i wiedziała na pewno, że ona się nie zmieniła. Przejście od sytuacji, w której ledwo się nawzajem tolerowali, do sypiania razem - tylko w dosłownym znaczeniu tego słowa, oczywiście - w tak krótkim czasie, samo w sobie nie mieściło się w głowie, i nie musiała do tego jeszcze dokładać głupich, podjętych pod wpływem chwili, decyzji.

Tak więc, zamiast się roześmiać, powiedziała:

- Zabieraj albo ją stracisz.

- Co, co? Użyj jej albo ją stracisz? - Wydawał się rozbawiony, ale zabrał rękę, przesunął ją pod jej koszulę. Nie protestowała; w końcu sama nadal ogrzewała sobie dłonie na jego ciele.

Miło było go dotykać. Myśl ta uruchomiła kolejny alarm w jej głowie. Był wysoki i szczupły, ale muskularny. Nie był przystojny, ale jego twarde, męskie rysy twarzy bardzo jej się podobały. Nagle wyobraziła sobie tę twarz nad sobą w jej łóżku, jego silne ręce podparte po obu jej bokach, swoje nogi obejmujące jego biodra...

Gwałtownie odsunęła od siebie te fantazje. Nie zapuszczaj się tam. Nie aprobowała działań pod wpływem pociągu seksualnego, bo nie było dobrze, kiedy to hormony podejmowały decyzje zamiast mózgu.

Im silniejszy odczuwała pociąg seksualny, tym bardziej starała się kontrolować. Właściwie to dokładała starań, żeby unikać mężczyzn, którzy by ją silnie pociągali. Nigdy nie miała namiętnego romansu, nie była zakochana, i nie zamierzała tego zmieniać teraz. Miłość i namiętność potrafiły odebrać ludziom rozum.

Bolały ją plecy i nogi, było jej niewygodnie. Przesunęła się, szukając lepszej pozycji. Po wczorajszym dniu pewnie była cała w siniakach, ale to normalne po przeżyciu katastrofy lotniczej. Przeszedł ją kolejny dreszcz.

- Która godzina? - zapytała. Kiedy zrobi się jasno, będzie mogła się ruszyć, a i temperatura zacznie rosnać.

Uniósł lewą rękę i nacisnął guzik z boku tarczy zegarka, żeby ją podświetlić.

- Dochodzi kwadrans po czwartej. Spaliśmy jakieś cztery godziny. Jak się czujesz?

Pytał, jak ona się czuje? To on miał rozciętą głowę, prawie wykrwawił się na śmierć i potwornie wyziębił. Doznał wstrząśnienia mózgu i ledwo mógł się ruszać; wątpiła, czy byłby w stanie pokonać te dziesięć metrów bez jej pomocy. Może takie dziwne oderwanie od rzeczywistości wynikało po prostu z błędu w kodzie genetycznym facetów.

- Boli mnie głowa, praktycznie wszystkie mięśnie i jest mi zimno - powiedziała krótko. - A tak poza tym wszystko w porządku. A ty jak się czujesz?

Zamiast odpowiedzieć, dotknął jej twarzy; jego palce były zimne w zetknięciu z jej skórą.

- Chyba masz gorączkę. Mówisz, że ci zimno, ale jesteś rozpalona. Pewnie dlatego aż tak bardzo nie zmarzłem - oddawałaś mi swoje ciepło.

- Nie mam gorączki - odparła, irracjonalnie oburzona jego sugestią.

- Musiałabym być chora, żeby mieć gorączkę, a nie jestem. Chora na jakąś prawdziwą chorobę, choroba wysokościowa to co innego, zresztą według tej broszurki z apteczki choroba wysokościowa nie wywołuje gorączki. Powoduje ból i zawroty głowy, które owszem, mam. Miałam. Teraz nie kręci mi się w głowie, choć może to dlatego, że nie stoję.

Nie mogła sobie pozwolić na chorowanie. Miała swoje plany. Jechała na wakacje. Jak tylko ich uratują, pojedzie na spływ. Nie zamierzała pozwolić, żeby jakiś głupi wirus jej w tym przeszkodził.

- Myślę, że jednak masz gorączkę. - Choć nie chciała przyjąć tego do wiadomości, on nadal drażył temat. - Czy ostatnio mogłaś się czymś zarazić?

- Nie, i gdybym miała jakiegoś wirusa, też byś się już nim zaraził, bo piliśmy z tej samej butelki, więc lepiej dla ciebie, żebym nie miała. - Zirytowana, przekreśliła się na prawą stronę, żeby nie musieć dłużej na niego patrzeć. Kiedy to zrobiła, jej prawą rękę przeszył ostry ból. Co jest?

- Cholera - mruknęła, po czym powiedziała to jeszcze raz, głośniej. - Cholera!

- Co jest? Coś ci się stało? - Włączył lampkę, na chwilę ją oślepiając.

- Masz szczęście. To nie wirus. Rano, to znaczy wczoraj, miałam wbity w ramię kawałek metalu. Wyciągnęłam go i potem o tym zapomniałam. Teraz boli mnie ręka. Chyba zrobiło się zakażenie - stwierdziła ponuro. Okej, a więc miała gorączkę. Niech to szlag.

- Innymi słowy, zajmowałaś się mną i zapomniałaś zająć się sobą.
- Jego głos był surowy. - Która ręka?

- Prawa.

- Pokaż.

- To może poczekać, aż się rozjaśni. Tutaj nie możemy nawet usiąść, więc...

Zaczął rozpinać jej koszulę. Widząc, że z nim nie wygra, odepchnęła jego ręce i sama zajęła się guzikami.

- Dobra. Nie sądzę, żeby miało zbawić mnie tych parę godzin, ale jeśli zaaplikowanie mi maści z antybiotykiem i przyklejenie plasterka sprawi, że poczujesz się lepiej...

- Boże, ale z ciebie maruda. Zawsze tak z tobą jest po przebudzeniu?

- Nie, tylko wtedy, kiedy mam gorączkę - odburknęła, kiedy wyswobodziła się już z pierwszej koszuli i ściągnęła kolejną. - Cholera! Nie mam czasu, żeby chorować.

- Tak z ciekawości - powiedział, przyglądając się jej z zainteresowaniem - ile masz na sobie koszul?

- Trzy czy cztery. Było mi zimno, a moją wspaniałą ocieplaną kamizelkę oddałam tobie.

- Nie myśl, że nie byłem ci wdzięczny.

- Ale kadzisz, Justice - mruknęła. - Byłeś ledwo przytomny, nie wiedziałeś, co się dzieje.

Kiedy została jej już tylko ostatnia koszula, zawahała się. Nie miała na sobie stanika, a nie chciała, żeby skorzystał z okazji i przypadkiem za dużo zobaczyć. Postanowiła przekręcić się na brzuch. Biorąc pod uwagę ciężar przykrycia, łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. W końcu, czując się jak ryba wyrzucona na brzeg strumienia, ułożyła się na brzuchu i wyciągnęła bolącą rękę z rękawa.

- Proszę - wymamrotała w koc termiczny.

- Do diabła, Bailey, nawet tego nie oczyściłaś! - W jego głosie brzmiała irytacja.

- Nie, bo byłem zajęta czym innym, przykładowo tym, żeby nie dopuścić, abyś wykrwawił się na śmierć, a potem tym, abyśmy oboje

tu nie zamarzli - powiedziała sarkastycznie, zirytowana równie mocno jak on. - Następnym razem inaczej sobie ustalę priorytety.

- Gdzie masz te nawilżane chusteczki?

Wymacała lewą ręką paczkę i podała mu ją nad swoimi plecami.

- Masz.

Chusteczka była zimna, ale przyjemnie było ją czuć na ręce. Skrzywiła się, kiedy zaczął oczyszczać ranę i poczuła ból. Jęknęła.

- Masz wrażenie, jakby coś tam było?

- Tak, ale...

- Bo i owszem, jest. Wyciągnęłaś większy kawałek, a zostało jeszcze to. Przypomina trochę igłę... trzymaj się... mam go.

Zacisnęła z bólu zęby. Uciskał teraz mocno jej triceps, żeby z rany leciała krew, którą ocierał wolną ręką. Okropnie ją bolało, ale skoro był cicho, kiedy szyla mu głowę, ona mogła być cicho, kiedy on zajmował się jej ręką.

- Skóra jest rozpalona i masz lekką opuchliznę - oznajmił. - Tak, myślę, że to jest przyczyna twojej gorączki. Ale nie widzę, żeby zrobił ci się rumień. - Poczua chłód maści, a potem lekki nacisk, kiedy przyklejał jej plaster z opatrunkiem. - Miejmy nadzieję, że to wystarczy, żeby powstrzymać zakażenie.

Z wysiłkiem włożyła rękę z powrotem w rękaw i zapięła koszulę, cały czas plecami do niego. Myślała żeby wziąć ibuprofen, który pomógłby jej obniżyć gorączkę, dzięki czemu poczułaby się lepiej, ale postanowiła tego nie robić. Gorączka nie była wysoka, poza tym była bronią, którą jej układ odpornościowy walczył z infekcją.

- Wypij wodę do końca - polecił, wyciągając butelkę. - Nie dyskutuj ze mną. Masz gorączkę, grozi ci poważne odwodnienie, jeśli nie będziesz piła.

Nie sprzeczała się; wypila wodę bez słowa. Niebawem się rozwidni, wtedy roztopią nową porcję śniegu. Teraz chciała odpocząć. I się rozgrzać.

Przekreśliła się na bok, przyciągając nogi do ciała. Justice przykrywał ją coraz to nowymi ubraniami, aż w końcu stos, pod którym leżała, zrobił się tak ciężki, że ledwo mogła się ruszyć. Potem objął ją ręką w pasie i przyciągnął do siebie, tak blisko, jak tylko się dało; jej plecy dotykały jego klatki piersiowej, pośladki brzucha, uda przywarły do jego ud.

Leżenie na łyżeczkę było... przyjemne, pomyślała. I dawało zaskakująco dużo ciepła. Z powodzeniem wytrzyma tak te kilka godzin pozostałe do świtu.

Ale dobrze, że był ranny, a jeszcze lepiej, że najprawdopodobniej już jutro zostaną uratowani, bo czuła, że powolutku jej opór zaczyna jakby słabnąć.

Rozdział 15

Seth Wingate nie był rannym ptaszkiem, ale nie stanowiło to problemu następnego ranka, bowiem w ogóle nie poszedł spać. Gdyby poprzedni wieczór spędził tak jak zwykle, około dziesiątej trzydzieści, może jedenastej, zjawiłby się w którymś z najmodniejszych klubów nocnych Seattle, a około północy przeniósłby się do innego. Po drodze poderwałby jakąś panienkę, niewykluczone, że spaliłby blanta, bzyknał panienkę, jeśli miałby taką ochotę, schlał się i wrócił do domu przed świtem, gdzie, jeśli nie udałoby mu się dotrzeć do łóżka, zasnąłby na kanapie. Byłoby tak, gdyby trzymał się swojego zwykłego grafiku... Jednak stało się inaczej.

Zamiast wyjść na miasto, został w domu. Wszystkie lokalne stacje trąbiły o zaginionym samolocie. Dzwoniło do niego paru dziennikarzy zarówno z prasy, jak i z telewizji. Tamzin dzwoniła dwa razy, za każdym razem nagrywając się na sekretarkę, ale na jej telefony również nie odpowiedział. Nie chciał rozmawiać z tą idiotką; nie mógł przewidzieć, z jakim debilizmem może jeszcze wyskoczyć. Już wystarczająco popisała się głupota, zostawiając mu te wiadomości: „Zadzwoń do mnie, jak wrócisz do domu. Jak szybko możesz załatwić, żebyśmy odzyskali nasze pieniądze? A przy okazji - dziękuję. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale jesteś genialny!”

Wysyłała mu także SMS-y, co wkurzało go jeszcze bardziej. W końcu wyłączył oba telefony. Będzie musiał pozbyć się automatycznej sekretarki i kupić nową; ta była cyfrowa, więc nawet jeśli skasuje wiadomości, nie miał pewności, czy jakiś sądowy geniusz komputerowy nie będzie potrafił jakimś cudem ich odzyskać. Lepiej być ostrożnym.

To było dla niego coś nowego; do tej pory słowo „ostrożny” w ogóle nie figurowało w jego słowniku.

Podobnie słowo „trzeźwy”, które również doszło wczoraj. Musiał się napić albo przypalić - cokolwiek - ale nie odważył się nawet na jednego, rozluźniającego drinka. Jeśli władze, kimkolwiek ich przedstawiciele będą w tym przypadku, zapukają do jego drzwi i zaczną zadawać pytania na temat jego macochy i rozbitego samolotu, powinien się mieć na baczności. Często pozwalał, by złość i alkohol prowokowały go do robienia głupot. Teraz musiał uważać na każdy swój krok, jeśli nie chciał znaleźć się po szyję w gównie.

Noc upłynęła mu na chodzeniu w tę i z powrotem. Krażył po swoim ogromnym, luksusowym mieszkaniu, przyglądając się wszystkim znajdującym się w nim przedmiotom, jakby należały do kogoś obcego. Snuł się niczym zjawa szukająca swojej duszy, walcząc z pragnieniem, żeby się napić, stawiając czoła samemu sobie.

Kiedy nadszedł ranek, czuł się tak osłabiony, nierealny, jakby naprawdę był zjawą. Nigdy wcześniej nie czuł się równie niezdolny do działania czegokolwiek jak teraz, ale jednocześnie nigdy wcześniej ta potrzeba nie była równie silna. Ziewając, poczuł, że dotarł do punktu, w którym nie ma już odwrotu. Jeśli nie zdecyduje się teraz na działanie, nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał możliwość, czy też wolę, by to zrobić.

Kiedy w końcu zrobiło się jasno i na południowym wschodzie wyłonił się piękny, ośnieżony szczyt Mount Rainier, wiedział już, co trzeba zrobić.

Najpierw poszedł do kuchni zobaczyć, czy znajdzie się coś na śniadanie. Rzadko jadał w domu, więc nie spodziewał się cudów. W lodówce był spleśniały ser, którego nigdy nawet nie otworzył; wyrzucił go. Zresztą nie było chleba testowego. Miał za to trochę kawy, więc zaparzył dzbanek. W szafce było pół opakowania rozmiękłych krakersów, a w misce jabłko, które jeszcze nie całkiem zgniło. Jabłko i krakersy pomogły mu zwalczyć ssanie w żołądku, a dzięki kawie czuł się może nie rześki, ale na pewno mniej wyczerpany, co musiało mu wystarczyć.

Wziął prysznic, ogolił się i włożył najbardziej konserwatywny ze swoich trzech garniturów. Miał całe mnóstwo sportowych ubrań, ciuchów na imprezę, na jacht, ale przez większość życia unikał sytuacji, kiedy wypadało włożyć tradycyjny garnitur, więc teraz nie miał z czego wybierać. Jego ojciec z kolei prawdopodobnie posiadał z pięćdzie-

siąt garniturów. Zastanawiał się, co ta suka Bailey z nimi zrobiła. Z pewnością je wyrzuciła.

Przyjrzał się sobie w lustrze, tak jak to robił poprzedniego dnia. Miał podkrążone oczy i... obcy wyraz twarzy. Tylko tak mógł to opisać. Nawet we własnych oczach nie wyglądał wcale jak on.

Potem wsiadł do samochodu i zrobił coś, czego przysiągł nigdy nie zrobić: pojechał do siedziby głównej Wingate Group, dołączając do innych lemingów.

Był dosyć zaskoczony, a także zirytowany, kiedy strażnicy odmówili przepuszczenia go dalej, ponieważ nie miał identyfikatora pracownika. To był tylko biurowiec, nie Biały Dom. Kiedy jego ojciec żył, Seth mógł tu wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chciał, choć inna sprawa, że wcale nie miał na to ochoty. Zdaje się, że ostatni raz był tu jakieś... pięć, sześć lat temu, może nawet dawniej. Z pewnością nie znał żadnego z tych strażników.

Rozglądał się, kiedy jeden ze strażników dzwonił do W. Granta Siebolda, dyrektora generalnego. Kiedy Seth dorastał, Siebold był dla niego „wujkiem Grantem”, ale to były dawne dzieje. Nie widział się z Grantem ani z nim nie rozmawiał od pogrzebu ojca, zresztą od tamtej pory ten sukinsyn praktycznie wlaził Bailey w tyłek, był z nią tak blisko, że nie miało nawet sensu z nim gadać. Ze swego rodzaju ponurym rozbawieniem Seth pomyślał, że postawa Granta prawdopodobnie ulegnie gwałtownej zmianie, teraz kiedy Bailey wypadła z gry i nie kontrolowała już tych wszystkich milionów.

W końcu dostał zielone światło; dali mu plakietkę gościa, którą wpiął w kieszonkę na piersi i wskazówki, jak dotrzeć do gabinetu pana Siebolda - jakby potrzebował wskazówek - przecież kiedyś był to gabinet jego ojca.

Jakkolwiek zmienił się sam układ gabinetu z przyległościami, z windy wychodziło się do przestronnego foyer, połączonego z poczekalnią, gdzie stało kilka wygodnych krzeseł, w ścianę wbudowano akwarium z tropikalnymi rybami, było mnóstwo zieleni i mnóstwo gazet i folderów. Zdaje się, że zazwyczaj trzeba tu długo czekać. Oko na to wszystko miała sprawiająca profesjonalne wrażenie kobieta dobrze po czterdziestce, której biurko znajdowało się obok rzeźbionych podwójnych drzwi. Zgodnie z tabliczką na biurku nazywała się Valerie Madison. Nigdy wcześniej jej nie widział. Ostatnim razem, kiedy miał przyjemność z sekretarką Granta, była to siwowłosa dama w okularach, dobrze

po pięćdziesiątce, która zawsze częstowała go cukierkami. Domyslał się, że teraz jest już pewnie na emeryturze lub nie żyje.

- Proszę usiąść - powiedziała Valerie Madison, podnosząc słuchawkę. - Zawiadomę asystentkę pana Siebolda, że pan przyszedł.

Och, a więc nie była sekretarką Granta? Teraz sekretarki - och, pardon, asystentki - miały swoje sekretarki?

Seth nie usiadł. Patrzył, jak w akwarium powoli unoszą się bąbelki, a ryby pływają bez celu. Niczego w ten sposób nie osiągały, nie dopływały donikąd, ale niestrudzenie krążyły po akwarium, jakby było to ich życiową misją. Były jednak zbyt głupie, żeby czuć się nieszczeniwe.

Za jego plecami dyskretnie zabręczał telefon sekretarki. Słyszał szmer jej głosu, zbyt cichy, żeby mógł wyróżnić poszczególne słowa. Odłożyła słuchawkę, wstała i otworzyła drzwi. Pożegnał ją skinieniem głowy i przeszedł do kolejnej poczekalni, kameralnej, bardziej komfortowej, która bardziej przypominała gustowny salon niż biuro. Ze wszystkich czterech rogów pokoju sączyła się łagodna muzyka, jakiś niuejdżowski chłam. Chybaby nie wyrobił, gdyby musiał tego słuchać przez cały dzień.

Kobieta, siedząca za zabytkowym, francuskim biurkiem, na którym znajdowała się rzeźbiona podstawka pod monitor, była trochę starsza i nieco bardziej krągła od swojej koleżanki, która została za drzwiami, ale równie profesjonalna. Szpakowate włosy miała spięte na karku - fryzura ta przypominała ósemkę - a jej niebieskie oczy były spokojne i rzeczowe.

- Proszę usiąść - powiedziała. - Pan Siebold przyjmie pana jak tylko skończy rozmawiać przez telefon.

Spojrzał na jej mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym nazwiskiem. Dinah Brown. Imię i nazwisko równie poważne jak ich właścicielka.

- Próbuję sobie przypomnieć, jak nazywała się poprzednia sekretarka Granta... - zaczął.

- Eleanor Glades.

- Pani Glades! - Pstryknął palcami. - Zgadza się. Zawsze częstowała mnie cukierkami. Kiedy przeszła na emeryturę?

- Nie przeszła - odrzekła Dinah Brown. - Zmarła na atak serca, dwanaście lat temu.

Dwanaście lat temu - i nic o tym nie wiedział. Ale skąd miał wiedzieć? Dziwne, że ojciec o tym nie wspomniał, nawet jeśli nie zrobiła tego matka. Sieboldowie byli ich dobrymi przyjaciółmi, a śmierć sekretarki na pewno wstrząsnęła Grantem.

Choć może i o tym wspominali, tyle że on ich nie słuchał. Bardzo często tak było. Właściwie opanował tę sztukę do perfekcji.

- Może pan wejść - oświadczyła, wstając i otwierając mu drzwi.

- Panie Siebold, pan Wingate do pana.

Seth wszedł do gabinetu, który kiedyś był gabinetem jego ojca - w każdym razie wydawało mu się, że to ten sam gabinet; przecież znajdował się w tym samym miejscu. Cała reszta zmieniła się tak bardzo, że nie dałby sobie ręki uciąć, że to rzeczywiście ten sam gabinet. Jego ojciec był zwolennikiem prostego, funkcjonalnego stylu. Nie lubił zbędnych dodatków, preferował skórzane meble. Gabinet Granta Siebolda był urządzony w podobnym tonie jak przylegająca do niego poczekalnia - komfortowy i stylowy, meble z eleganckimi obiciami - ale na szczęście nie grała tu ta niuejdżowska muzyka.

- Seth. - Grant Siebold podniósł się zza biurka; nadal trzymał formę, był tak szczupły, że prawie chudy. Trochę wyłysiał, znacznie posiwiiał. Jego spojrzenie było bystre, przenikliwe. - Miałeś jakieś wieści o Bailey?

Trochę go zaskoczył tym pytaniem, a także słyszalną w głosie prawdziwą troską. Seth automatycznie założył, że jego własną niechęć do Bailey podzielali wszyscy starzy przyjaciele i znajomi ojca, przez wzgląd na jego matkę, jeśli nie z powodu tego, w jaki sposób Bailey zdobyła kontrolę nad tą olbrzymią fortuną - przez łóżko. Wiedział, że od śmierci jego ojca jej życie towarzyskie prawie nie istniało, co go bardzo cieszyło.

- Żadnych - odparł krótko.

- Fatalna sprawa. Prawie całą noc nie spałem, licząc, że pojawi się coś nowego - rzekł Grant, wskazując mu ręką jedno z krzeseł. - Usiądź. Napijesz się kawy?

- Tak, dziękuję. - Seth uznał, że nie zaszkodzi mu kolejna dawka kofeiny. Usiadł. - Piję czarną. - Grant nie podał mu ręki; raczej nie było to przeoczenie tylko celowy zabieg. W świecie biznesu uściski rąk były równie automatyczne jak oddychanie. Seth wątpił, by Grant nie przywitał się z nim, bo uważał go za starego przyjaciela, prawie

syna; nie, subtelne przesłanie było takie, że Grant bynajmniej nie cieszy się z ich spotkania.

Dopiero kiedy w jego ręce znalazła się filiżanka kawy, a Grant usadowił się z powrotem za biurkiem, przeszedł do sedna sprawy.

- Teraz, kiedy Bailey nie żyje...

- Nie żyje? - zapytał Grant, unosząc brwi. - Myślałem, że nie miałaś o niej żadnych wieści.

- Nie miałem. Ale to chyba oczywiste. Samolot zniknął, a oni razem z nim. Gdyby, mimo usterki mechanicznej, pilot zdołał посадzić samolot na jakimś prowizorycznym pasie startowym, jakiejś drodze albo polu, dowiedzielibyśmy się o tym. Skontaktowaliby się przez radio. Ale się nie odezwali, a to znaczy, że samolot się rozbił, a oni nie żyją

- Sąd nie widzi tego w ten sposób - stwierdził spokojnie Grant.

- Dopóki śmierć Bailey nie zostanie potwierdzona albo dopóki nie zostanie uznana za zmarłą po upływie odpowiednio długiego czasu, w świetle prawa nadal zarządza twoim funduszem powierniczym.

Seth widział to w twarzy Granta: Sądził, że on przyszedł tu, żeby dowiedzieć się, jak szybko uzyska kontrolę nad swoimi pieniędzmi, które częściowo były zamrożone w akcjach Wingate Group. Grant był też jednym z powierników funduszu, ale występował tylko w charakterze doradcy; wszystkie ostateczne decyzje należały do Bailey.

- Jak może zarządzać, skoro jej tu nie ma - powiedział Seth, starając się, by głos nie zdradził jego irytacji.

- Nie martw się. Wszystko jest tak ustawione, że nadal będziesz dostawać swoje kieszonkowe.

Kieszonkowe? Na dźwięk tego słowa zrobiło mu się gorąco. Miał trzydzieści pięć lat, a traktowano go jak dziesięciolatka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego upokorzenia; postrzegał fundusz powierniczy jako swoje prawowite dziedzictwo, nie kieszonkowe.

- Chcę, żeby został przeprowadzony audyt - usłyszał swoje słowa. - Chcę wiedzieć, ile ta suka zdążyła wyprowadzić.

- Absolutnie nic - warknął rozeźlony Grant, mrużąc oczy. - Co więcej, dzięki niej fundusz wypracował całkiem spory zysk. Jak myślisz, dlaczego twój ojciec ją wybrał?

- Bo kompletnie go omotała! - odparował Seth.

- Przeciwnie, od samego początku to był wyłącznie jego pomysł! Musiał ją do tego namawiać, do tego, żeby za niego wyszła, do całej

tej... - Grant urwał, kręcąc głową. - Nieważne. Skoro Jim ci nie powiedział o swoim planie, ja z pewnością tego nie zrobię, bo on znał cię lepiej, niż ja kiedykolwiek będę. Powiem tylko tyle: Bailey dba o twoje pieniądze równie dobrze, jak o własne, a to chyba o czymś świadczy. Jest jednym z najostrożniejszych inwestorów, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia, i pomijając comiesięczne wypłaty dla ciebie i Tamzin, nie uszczknęła z funduszu ani centa.

Seth pomiął sprawę pieniędzy, skupiając się na czymś innym.

- Planie? Jakim planie?

- Jak powiedziałem, nie leży w mojej gestii, żeby ci o tym mówić.

Dobrze, jeśli to już wszystko...

- Nie, nie wszystko. - Seth wpatrywał się w swoją kawę, wściekły, że odbiegł od tematu, z którym tu przyszedł. Nie przyszedł, żeby rozmawiać o Bailey czy pytać o swoje pieniądze. Wahał się chwilę, myśląc, w jaki najlepszy sposób poruszyć tę sprawę, ale nie przyszło mu do głowy nic błyskotliwego. Musiał po prostu to powiedzieć. Drażniła go ta konieczność, ale wiedział, że teraz albo nigdy.

- Chciałbym zacząć pracować w firmie... jeśli jest jakiś wakat. - Było mu strasznie nie w smak, że musiał o to prosić. To była firma jego ojca, więc powinien mieć automatycznie zapewnione tutaj miejsce, ale z własnej woli odciął się swego czasu od tego wszystkiego, toteż teraz nic nie było pewnikiem.

Grant nie odpowiedział od razu. Odchylił się w swoim fotelu, a z jego przenikliwego spojrzenia nie dało się niczego wyczytać.

- Jakim stanowiskiem byłbyś zainteresowany?

Seth chciał już powiedzieć, że stanowisko wicedyrektora całkiem by mu odpowiadało, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zdawał sobie sprawę, że to on był na pozycji proszącego, a nie wyrobił sobie wcześniej dobrej reputacji, na której mógłby teraz bazować.

- Jakimkolwiek - odparł w końcu.

- W takim razie, od jutra możesz zacząć w mail roomie.

Zrobiło mu się zimno. Mail roomie? Nie spodziewał się narożnego gabinetu, ale jakiegoś się spodziewał... a przynajmniej własnego boksu. Do diabła, może od razu zróbcie ze mnie sprzątacza? Uśmiechnął się ponuro, gdy uświadomił sobie, że chyba jednak nie zrobią.

- Domyślam się, że sprzątaniami zajmują się profesjonaliści?

- Dokładnie. Jeśli poważnie myślisz o tym, żeby tu pracować, musisz poważnie podchodzić do pracy, jakkolwiek by ona była. Jeśli

pokpisz sprawę, jeśli się spóźnisz albo w ogóle się nie pojawisz, będę wiedział, że jak zwykle się opierdalsz. Mój czas jest cenny. Nie widzę powodu, żebym miał go na ciebie marnować, dopóki nie udowodnisz, że nie będzie to czas stracony.

- Rozumiem - przyznał niechętnie Seth. Był mocno niezadowolony, że znalazł się w położeniu, kiedy musi o coś prosić, ale sam do tego doprowadził; nie było nikogo, na kogo mógłby zwalić winę. - Dziękuję. - Odstawił filiżankę na biurko i wstał; Grant wyraźnie dał do zrozumienia, że spotkanie skończone.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Grant.

Seth zastygł, czekając.

- Co cię do tego skłoniło?

To wywołało kolejny ponury uśmiech, z domieszką goryczy.

- Spojrzałem w lustro.

Rozdział 16

Bailey odsunęła worek z ubraniami zasłaniający wejście do szałasu i zaczęła gramolić się ku szaremu światłu poranka. Zatrzymała się, z jedną ręką w śniegu, patrząc na otaczającą ją biel.

- Cholera.

- Co jest? - zapytał Justice zza jej pleców.

- Napadało jeszcze śniegu - jęknęła. - I zasypało samolot. - Nie całkiem, lecz prawie. Śniegowa pokrywa utrudniała wypatrzenie ich z powietrza, nawet gdyby gór nie spowiły mgliste chmury, ale spowiły. Widoczność nie była większa niż na pięćdziesiąt metrów. Ten najnowszy rozwój wypadków był niczym posypywanie rany solą. Dlaczego nie napłynęła fala cieplejszego powietrza, czemu nie wiał jakiś przyjemny, suchy i ciepły wiatr, który stopiłby trochę śniegu i czekanie na ratunek byłoby choć trochę znośniejsze? Była przemarznięta, marzyła o cieple. Ciągle bolała ją głowa; właściwie bolało ją całe ciało. Nadal miała gorączkę. Nie mogła się doczekać, żeby uratowali ich wreszcie z tych przeklętych gór, a tu, proszę bardzo - napadało jeszcze śniegu. Świetnie.

Tuż przed świtem zapadła w niespokojną drzemkę. Teraz słońce było już wysoko, przysłonięte przez chmury, a ją pilnie wzywała natura. Tak samo Justice'a, i była rozdarta pomiędzy koniecznością udzielenia mu pomocy a własnymi potrzebami. W końcu uznała, że dłużej nie wytrzyma.

- Zaraz wracam! - zawołała, kierując się pospiesznie na tyle, na ile mogła, głębiej między drzewa. Kiedy wróciła, okazało się, że sam sobie poradził; opierał się o drzewo, plecami do niej.

Zatrzymała się, dając mu chwilę prywatności. Przejście paru kroków bardzo ją wyczerpało i zamknęła oczy. Z niepokojem uświadomiła sobie, w jak bardzo kiepskim była stanie - może nie śmiertelnie chora, ale naprawdę osłabiona. Miała gorączkę, było jej zimno, cierpiała na chorobę wysokościową, nie miała dość jedzenia ani picia, więc raczej nie czuła się na siłach, żeby wiele dzisiaj zdziałać. Całe szczęście, nie było takiej potrzeby. Mogli zjeść kolejny batonik, pić stopiony śnieg i czekać w szałasie, aż odnajdzie ich ekipa poszukiwawcza.

Justice miał się lepiej niż wczoraj. Udało mu się zrobić kilka kroków o własnych siłach, ale nadal wyglądał okropnie z ogromnym bandażem na głowie, podpuchniętymi oczami i mnóstwem siniaków oraz zadrapań. On też nadawał się głównie do tego, żeby wypoczywać w szałasie.

Była trochę oburzona na tę jawną niesprawiedliwość, że to ona gorączkowała - przecież to on miał rozciętą głowę, doznał wstrząśnienia mózgu i był obiektem eksperymentów chirurgicznych, podczas gdy jedyne, co ją spotkało, to drobne skaleczenie. Gdzie tu konsekwencja? Poniewczasie żałowała, że nie polała sobie skaleczonej ręki płynem do płukania jamy ustnej.

- Możesz już otworzyć oczy - powiedział Justice i powoli to zrobiła.

Podpierał się o drzewo, ale widać było, że nawet to kosztowało go wiele wysiłku. Z jego ust wypływały białe obłoczki pary i wyraźnie drżał. Jego jedyne buty, bez cholewek, w ogóle nie chroniły go przed śniegiem. Jego spodnie były cienkie, garniturowe. Nie miał nawet T-shirta, w charakterze dodatkowej warstwy pod białą koszulą do garnituru. Owinął sobie szyję i ramiona kilkoma z jej koszul, ale poza tym niewiele mógł zrobić, by zabezpieczyć się przed zimnem. Jego widok tylko przypominał jej, że to ona będzie musiała zatroszczyć się o nich oboje.

Powoli, ostrożnie podeszła do niego na miękkich nogach; zarzuciła jego rękę na swoje ramiona, sama objęła go w pasie, przytrzymując za pasek, na wypadek, gdyby miał zamiar się przewrócić.

- Wracamy do szałasu. Jak twoja głowa?

- Boli. A twoja?

- Tak samo. Widzisz podwójnie, masz mdłości?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Opierając się na jej ramieniu, drugą ręką przytrzymując się drzew, stawiał z wysiłkiem kolejne kroki. Czasami chwiały się, a wtedy musiała mocniej go trzymać, dopóki nie odzyskał kontroli nad nogami, ale ogólnie rzecz biorąc, cały proces nie był aż tak wyczerpujący ani czasochłonny jak poprzedniego dnia.

Raz przystanął na dłużej i unosił głowę, żeby przyjrzeć się otaczającym ich górcom. Była pewna, że czegoś nasłuchiwał, ale ona słyszała tylko to, co słyszała od samego początku: świst wiatru hulającego po górach.

- Słyszysz coś?

- Nie.

Wyłapała ponurą nutę w jego głosie.

- Do tej pory powinniśmy słyszeć już helikoptery, prawda?

- Miałem nadzieję, że tak będzie. Pogoda mogła ich jednak opóźnić. Napadało śniegu, więc przeszedł jakiś front atmosferyczny. Patrząc na to wszystko realnie, pewnie najwcześniej zjawia się tu koło południa. - Zadrżał z zimna, a potem powiedział coś prozaicznego: - Nie ma sensu, żebyśmy stali tu i marzli, skoro nic nie możemy zrobić.

Bailey całkowicie się z nim zgodziła i pomogła pokonać kilka ostatnich kroków dzielących ich od szałasu. Kiedy wczółgał się do środka, poprosiła:

- Daj mi butelkę, to napelnię ją śniegiem. Jesteś gotowy na śniadanie?

- A co mamy? - Mimo że podkrążone i zapuchnięte, jego szare oczy błyszczały rozbawione.

- To samo co wczoraj na kolację: batonik. Właściwie, to zostały mi jeszcze trzy, więc możemy zjeść po całym, jeśli chcesz.

Milczał przez chwilę, a wyraz jego twarzy zrobił się poważny.

- Lepiej podzielmy je na kilka mniejszych porcji - odezwał się w końcu. - Tak na wszelki wypadek.

Na wypadek, gdyby ich dzisiaj nie odnaleźli. Myśl ta była przytłaczająca. Kolejna noc w górach, w ciemności i zimnie? Nie spędzili

w kompletnych ciemnościach całej nocy, ale musieli oszczędnie korzystać z jej małej lampki. Świadomość, że nie wiadomo, ile jeszcze czasu upłynie, zanim dotrą do nich ratownicy, wytrącała ją z równowagi. A jeśli jutro też ich nie odnajdą?

W milczeniu wzięła butelkę i zaczęła nakładać śnieg za pomocą karty do pokera. Na ręce włożyła skarpetki, przez co trochę opornie jej to szło, ale za nic na świecie nie chciała się tak wyziębic jak wczoraj.

Zadanie nie było jakoś bardzo skomplikowane, właściwie było niczym w porównaniu z wczorajszą harówką, ale i tak ją wyczerpało. Wgramoliła się z powrotem do szałas, gdzie było zdecydowanie cieplej niż na zewnątrz; czy to dlatego, że nie hulał tu wiatr, czy sprawiała to ciepło ich ciał, nie miało dla niej znaczenia. Liczyło się tylko to, że było cieplej.

W środku było mroczno, ale nie ciemno, bo przez szczeliny przedostawało się światło. W związku z tym nie musiała włączać lampki, żeby znaleźć batony. Umierała z głodu, ale kiedy przeżuwała pierwszy odgryziony kawałek z jej połówki batonika, nagle straciła apetyt i jedzenie zaczęło rosnać jej w ustach. Zwalczyła mdłości i zdołała jakoś przełknąć, ale resztę batona zawinęła w papierek i schowała z powrotem do plastikowej torebki.

- Nie jesteś głodna? - zapytał, marszcząc brwi.

- Byłam, dopóki nie zaczęłam jeść. Spróbuję zjeść za jakiś czas.
- Miała niesmak w ustach, więc gmerała w rzeczach, póki nie znalazła opakowania z jednorazowymi szczoteczkami. Wyjęła dwie - jedną włożyła sobie do ust, drugą podała jemu. - Masz.

- Co to? - zapytał, patrząc spod zmarszczonych brwi na różową porcję pasty pod kapsułką ochronną, jakby było to żywe stworzenie.

- Szczoteczka jednorazowa. Możesz z niej korzystać bez użycia wody. Szalas jest za mały na poranne oddechy, zwłaszcza w połączeniu z wczorajszymi, więc zabieraj się do mycia zębów.

Uśmiechnął się lekko, biorąc małą szczoteczkę. Bailey była bardzo zadowolona z miętowej świeżości w ustach. Gdyby jeszcze tylko mogła wziąć gorący prysznic...

Śnij dalej, powiedziała sobie, rozciągając obolałe ciało na wyściółce z gąbki i przykrywając się nakryciem z ubrań. Ubrania chroniłyby ich lepiej, gdyby były równo ułożone, ale była zbyt zmęczona i osłabiona, żeby teraz się z tym szamotać. Justice położył się obok niej,

a następnie przyciągnął ją do siebie i poprawił przykrycie, żeby nie dzieliło ich nic, oprócz ubrań, które mieli na sobie.

Jakie to dziwne, że wystarczyła jedna noc, by popadli w swego rodzaju rutynę. Wiedzieli już - i automatycznie do tego dążyli - w jakiej pozycji najlepiej do siebie pasują i jest im najlepiej. Był od niej jakieś piętnaście centymetrów wyższy, więc kiedy leżała do niego plecami, byli niemal idealnymi łyżeczkami. Obejmował ją ręką w pasie, a jego łąknąca ciepła dłoń spoczywała pod koszulą na jej brzuchu. Jakie to dziwne, pomyślała, jak szybko sytuacja, w której się znaleźli, doprowadziła do powstania między nimi poufałości, swego rodzaju bliskości, choć przypuszczała, że był to po prostu mechanizm przetrwania. Razem mieli większe szanse na pozostanie przy życiu niż oddzielnie.

- Możemy pograć w karty - powiedziała, myśląc o godzinach przed nimi.

- Albo możemy po prostu poleżeć - odparł.

- Brzmi nieźle. - Szczerze mówiąc, nie miała na nic innego ochoty. Po kolejnej chwili ciszy, poczuła, że odpływa w sen.

Cam nie sądził, żeby Bailey miała wyższą gorączkę niż wcześniej, ale wyraźnie nie było z nią najlepiej. Kiedy się obudzi, sprawdzi, czy nie babrze się jej skaleczenie. Miał nadzieję, że maść z antybiotykiem i gorączka załatwią sprawę, bo gdyby dostała posocznicy, ich sytuacja z podbramkowej zrobiłaby się krytyczna. Tymczasem sen był dla niej najlepszą opcją - dla nich obojga. Spalą mniej kalorii, zużyją mniej jedzenia i wody.

Naprawdę myślał, że do tej pory awaryjny nadajnik pozycji sprowadzi do nich helikopter, ale sprawę komplikowała pogoda. Oczywiście helikopter nie mógł wylądować na tym podłożu, ale mógł wskazać ich dokładną lokalizację ekipie poszukiwawczej, a także zrzucić im najpotrzebniejsze rzeczy. Dzięki stosom ubrań, nie cierpieli aż tak bardzo zimna, ale przydałyby się im kuchenka turystyczna, butelki z wodą i więcej batonów energetycznych.

To mu przypomniało o batonach, które włożył wczoraj rano do kieszeni marynarki. Nie wiedział, gdzie się podziała, ale dobrze byłoby ją mieć. Problem w tym, że żadne z nich nie było w stanie ruszyć na poszukiwania, a nawet gdyby znaleźli marynarkę, batony mogły wcześniej wypaść. Oczywiście, gdyby zostali dzisiaj uratowani, nie musiałby zawracać sobie głowy ani marynarką, ani batonami.

Ocecił, że zasadniczo nie było z nim źle. Osłabiła go utrata krwi i głowa bolała jak diabli, ale poza tym nic mu nie dolegało, więc najwyraźniej nie odniósł żadnych innych obrażeń. Przypuszczał, że w przeciwnym wypadku nie przeżyłby nocy. Nie miał gorączki - najwyższy stan podgorączkowy. Dzień odpoczynku, trochę jedzenia i wody, i będzie jak nowy.

Ale za to martwił się o Bailey. Choroba wysokościowa tak samo jak zakażona rana mogła okazać się groźna. Najgorsze było to, że poczuła się gorzej dlatego, że zamiast zająć się sobą, zajmowała się nim.

Ponieważ nie mógł zrobić nic więcej, po prostu trzymał ją w ramionach, kiedy spała. Słuchał jej oddechu, sprawdzał, czy nie podnosi się gorączka. Nasłuchiwał też łopotu śmigieł helikoptera, modląc się, by jak najszybciej jakiś nadleciał.

Rozdział 17

Bret siedział przez całą noc w biurze; od czasu do czasu kładł głowę na biurku, zapadając w krótką drzemkę. Karen pojechała do domu, żeby się przebrać i przywieźć coś do jedzenia; wróciła w dżinsach i T-shircie, niosąc chińszczyznę na wynos. Razem z nią wszedł jej brodaty, zakolczykowany, wytatuowany chłopak w skórach, który, jak się okazało, miał na imię Larry.

Najwyraźniej Larry przyjechał, żeby opiekować się Karen, bo kiedy tylko chciała, przynosił jej kawę, masował jej kark i ramiona, przytulał ją, gdy płakała. Karen, zwykle taka twardzielka, była zdruzgotana możliwością, że Cam zginął.

Ich małe lotnisko zazwyczaj było zamknięte o północy, ale wieści o zaginięciu samolotu z Camem sprawiły, że kręcili się po nim ludzie. Nie wyobrażali sobie, że mogliby pójść do domu, jakby nic się nie stało, że mogliby zachowywać się jakby nigdy nic, póki nie dowiedzą się, co dokładnie zaszło. Główny mechanik, Dennis, chodził przybity w tę i z powrotem, zastanawiając się czy na pewno niczego nie przeoczył podczas rutynowego przeglądu.

Omówili szczegółowo sytuację podczas jedzenia. Wszyscy wydawali się przekonani, że przyczyną musiała być jakaś usterka mecha-

niczna; warunki pogodowe może nie były idealne, ale nie na tyle złe, żeby mieć jakiś znaczny wpływ na samolot. Cam nie popełniał błędów w powietrzu; nie odczytał błędnie wskazań wysokościomierza ani nie zapomniał, jak wysokie były góry. Nie lubił szarżować, był skrupulatny i opanowany. Więc albo stało się coś z nim, na przykład stracił przytomność, albo musiało chodzić o usterkę.

Kiedy rozbijał się mały samolot, owszem, szukano go, ale działania nie były zakrojone na aż tak szeroką skalę, jak w przypadku katastrofy samolotu rejsowego. Nawet nie będą nimi kierować z Seattle, więc Bret nie miał pojęcia, czemu wszyscy tkwili na terminalu, no, chyba że, tak jak i jemu, nerwy nie pozwalały im spać i stwierdzili, że równie dobrze mogą spędzić noc tutaj.

Znał procedurę. Najpierw trzeba było zlokalizować samolot. Nikt nie wysyłał ekip poszukiwawczych w ciemno, bo obszar, jaki musieliby sprawdzić, byłby zbyt rozległy. Ale czekanie w niewiedzy, co tak naprawdę się stało, było dobijające.

Około dziewiątej rano, kiedy wszyscy ciągnęli już ostatkiem sił, Karen odebrała telefon. Poblądła lekko, po czym przełknęła ślinę, próbując się opanować.

- Do ciebie - powiedziała do Breta, przytłumionym głosem.

- Brat pani Wingate.

Bret skrzywił się i poszedł do swojego gabinetu, żeby odebrać telefon.

- Bret Larsen.

- Mówi Logan Tillman, brat Bailey Wingate. Co się dzieje, do cholery! - ryknął głos w słuchawce. - Nie możemy się tutaj niczego dowiedzieć, a kiedy zadzwoniłem do domu Bailey, żeby sprawdzić, czy przypadkiem tam ktoś coś wie, odebrała jej pasierbica i powiedziała, że moja siostra dostała, co jej się należało. Co to znaczy! Czy jest możliwe, że ktoś majstrował przy samolocie, że to nie był wypadek?

Pytania, wystrzeliwane niczym z karabinu maszynowego, zaskoczyły Breta.

- Powoli. Nikt nie sugerował ewentualności, że ktoś mógł celowo majstrować przy samolocie. Nie wiem, co Tamzin miała na myśli, ale zapewne chodziło jej o coś innego. - Katem oka zauważył, jak w drzwiach jego gabinetu stanęła Karen, nawet nie próbując ukryć tego, że przysłuchuje się rozmowie. Dennis i jeszcze dwie inne osoby też wpadli do biura, żeby się dowiedzieć czy nie było jakichś wieści.

- Co nie zmienia faktu, że powiedziała, co powiedziała. - Logan Tillman był tak wściekły, że w ogóle nie panował nad głosem. - I jeszcze coś o tym, że tylko idioci stają jej bratu na drodze.

Bret zmarszczył nos.

- Tamzin nie jest, jakby to powiedzieć, zbyt rozgarnięta. Mówi, co jej ślina na język przyniesie, nieważne, czy ma to pokrycie w rzeczywistości, czy nie. Na tym etapie nie podejrzewamy żadnego sabotażu ani niczego takiego. Gdzie pan teraz jest?

- W Denver. Mieliśmy się tu spotkać z Bailey.

- Zatrzymał się pan w hotelu?

- Nie, całą noc siedzieliśmy na lotnisku, mieliśmy nadzieję, że...
- urwał.

- Tak, my też spędziliśmy noc tutaj. Proszę mnie posłuchać. Jedźcie do hotelu, odpocznijcie. To, że się wykończycie, w niczym nie pomoże. Tak, wiem, powinienem zastosować się do swojej rady. Niech mi pan zostawi swój numer komórki, zadzwonię natychmiast, jak tylko czegoś się dowiem. Podam panu swój numer. Proszę dzwonić o dowolnej porze. - Podyktował swój numer, potem zanotował numer telefonu Logana. - Proszę nie tracić nadziei. Cam, to mój partner. Już nieraz wychodził obronną ręką z trudnej sytuacji. Jest najlepszy.

Bret rozłączył się i oparł głowę na dłoniach. Boże, był wykończony. Gdyby tylko mógł coś zrobić, cokolwiek. Wszystko byłoby lepsze od biernego czekania, ale niestety tylko to mógł robić, tak samo jak wszyscy pozostali.

- To możliwe - powiedziała Karen od drzwi.

Bret uniósł głowę.

- Co jest możliwe?

- Że ktoś celowo majstrował przy samolocie. Wiesz, że przedwczoraj dzwonił Seth Wingate, żeby zapytać, kiedy pani Wingate wylatuje. Nigdy wcześniej tego nie robił. - Miała wysuniętą szczękę, płonęły jej oczy.

- Uważaj na to, co mówisz - ostrzegł Bret. - Nie mamy żadnych dowodów, że coś było robione przy samolocie. Gdyby tak faktycznie było, myślisz, że Tamzin by o tym rozpowiadała?

- Jak sam powiedziałeś, szefie, Tamzin nie jest szczególnie bystra. Podczas rozmowy mogła być pod wpływem dowolnych substancji, legalnych czy nielegalnych. Możliwe więc, że mówiła prawdę.

Szefie. Słowo to zawisło w powietrzu niczym ognisty miecz. Tytuł ten miała zarezerwowany dla Cama; był to jeden ze sposobów, w jaki mogła dopiec Bretowi w ich słownych potyczkach. Bret zacisnął pięści i odwrócił się do okna, w które wpatrywał się niewidzącym wzrokiem.

Drzemali przez cały dzień, wychodząc z szalasu tylko wtedy, kiedy było to konieczne: gdy musieli napęlić butelkę nowym śniegiem lub zmuszała ich do tego potrzeba fizjologiczna. Bailey miała wrażenie, że za każdym razem, kiedy się budziła, Justice poił ją wodą; sama prosiła go niezmiennie, żeby też wypił swój przydział. W pewnym momencie zaczął nalegać, żeby zamienili się miejscami, żeby ona leżała bardziej pod ścianą, a on bliżej wejścia. Nie rozumiała, co za różnica, gdzie kto leży, ale wgramoliła się pierwsza do szalasu, pozwalając, by zajął miejsce z drugiej strony.

Zrozumiała, o co mu chodziło, kiedy wyczołgał się, aby napęlić butelkę śniegiem.

- Ja powinnam to robić - zaprotestowała, kiedy wrócił. - Zamieniamy się z powrotem.

- Nie - odparł spokojnie. - Nic mi nie jest, jestem tylko osłabiony. Nie powinnaś się forsować. Musisz pozwolić twojemu ciału przystosować się do tej wysokości.

Już miała zapytać po co, skoro ich uratują, ale uświadomiła sobie, że nadal nie słyszeli łopotania śmigła helikoptera, na co tak czekali. Robiło się coraz później i zaczynała oswajać się z myślą, że czeka ich kolejna noc w górach. Chciało jej się od tego płakać, ale zdawała sobie sprawę, że to bez sensu; poza tym nie powinna się dodatkowo odwadniać.

- Masz wstrząśnienie mózgu - powiedziała do Justice'a. - Też powinieneś się oszczędzać.

- Ale ja nie mam gorączki. Poza tym nie idę uprawiać biegów, wierz mi.

Bailey trochę jeszcze marudziła, bo nadal wydawało jej się niesprawiedliwe, że to ona miała gorączkę, ale ponieważ była bardzo zmęczona, wkrótce ponownie zasnęła.

Późnym popołudniem Cam zakomenderował:

- Muszę obejrzyć twoją rękę, póki jest jeszcze widno.

Zmarszczyła brwi; skoro chciał skorzystać z tego, że jest jeszcze widno, oznaczało to, że cały zabieg odbędzie się na zewnątrz szalasu.

- Mam siedzieć rozebrana na zewnątrz?

- Trzeba ci zmienić opatrunek. Możesz mieć na sobie ciuchy, wystarczy, że pokażesz mi rękę.

Wygramolił się z szalasu, zabierając ze sobą apteczkę. Bailey jeszcze w szalacie wyswobodziła się częściowo ze swoich trzech koszul, wyciągając z rękawów rękę. Próbowwała przyjrzeć się ponad ramieniem, czy nie zrobił się jej na tricepsie rumień, ale w półmroku ciężko to było stwierdzić. Opatuliła się lepiej i również wydostała się na zewnątrz.

Nie miała na czym usiąść, tak by nie zamoczyć spodni, więc stała plecami do niego, podczas gdy on delikatnie odsłonił jej rękę i ściągnął opatrunek.

- Nie wygląda gorzej - ocenił ku jej uldze. - Nadal jest zaczerwienienie, ale się nie powiększa. - Dołożył na skaleczenie maści z antybiotykiem i przykleił nowy plaster z opatrunkiem. Potem wsunął jej rękę z powrotem w rękaw i zapiał guziki koszuli.

- Skoro już tu jesteśmy, chyba powinnam sprawdzić, jak tam twoja głowa - powiedziała.

- Mamy dość materiałów opatrunkowych, żeby zmienić opatrunek?

Dotknął grubego bandaża na swojej głowie.

Mieli, ale jeszcze tylko na jeden raz. Co będzie, jeśli jutro nie zostaną uratowani? Myśl ta sprawiła, że przeszedł ją zimny dreszcz, a może był to dreszcz spowodowany gorączką. Tak czy siak, myśl o spędzeniu trzeciej nocy w górach była przerażająca.

Niemniej opatrunek powinien zostać zmieniony.

- Tym razem nie muszę użyć ich aż tyle - odezwał się po namyśle.
- Na wierzchu i tak będzie bandaż elastyczny, żeby do rany na pewno nie przedostał się brud ani nic innego.

Ponieważ nie było gdzie usiąść, a on był znacznie od niej wyższy, nawet samo odwiniecie bandaża elastycznego przyszło jej z trudem. Wreszcie przyciągnął jeden z worków z ubraniami i ostrożnie przyklęknął na nim, podczas gdy ona nadal stała.

- Teraz lepiej?

- O wiele. - Delikatnie odwinęła bandaż do końca, mając nadzieję, że maść z antybiotykiem, którą posmarowała szwy, zapobiegała przyłgnięciu gazików do ciała. W kilku miejscach musiała jednak po-

ciągnąć, żeby je oderwać, ale nie było aż tak źle. W każdym razie nie krzyczał ani nie przeklinał, za co była mu bardzo wdzięczna.

Efekt jej interwencji lekarskiej wyglądał równie paskudnie jak sama rana, pomyślała, przygryzając wargę. Wokół dziurek od szwów, a także w wąskim rowku przez całą długość rozcięcia zaschła krew i Bailey zaniepokoiła się, czy szwy są wystarczająco ciasno założone. Potem uświadomiła sobie, że częściowo zesza opuchlizna, co spowodowało, że szwy się rozluźniły.

- Będziesz miał okropną bliznę - ostrzegła. - Może będziesz musiał sobie zrobić operację plastyczną.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Z powodu blizny?

- Nie jestem lekarzem, pamiętasz? Nie wygląda to za ładnie. - Czowała się zakłopotana, jakby oblała jakiś test, choć nie bardzo wiedziała, co innego mogła zrobić. Miała zostawić otwartą ranę i poczekać, aż zejdzie opuchlizna? Nie wydawało się to dobrym rozwiązaniem. Stworzyłoby to większe ryzyko zakażenia, poza tym po niezaszytej ranie chyba zostałyby większa blizna.

- Przeszkadza ci to? Blizna? - zapytał.

- Hej, to nie ja będę ją miała na głowie. Jeśli tobie to nie przeszkadza, to nie ma problemu.

Uśmiechnął się, kiedy gazikiem nasączonym alkoholem zmywała zaschniętą krew.

- Nie ma w tobie za wiele współczucia, co? Chodzi mi o to, czy przeszkadza ci ten widok?

- Nie będę na niego patrzeć, bo zaraz zabandażuję ci głowę. Ale generalnie blizny mi nie przeszkadzają jeśli o to pytasz. - Wzięła tubkę maści z antybiotykiem i wycisnęła na całą długość rozcięcia. Następnie przykryła ranę dwoma gazikami, które przykleiła do skóry pastkami przylepca, a na koniec obwiązała mu głowę bandażem elastycznym. - Proszę bardzo. Może nie jesteś zupełnie jak nowy, ale wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj.

- Dzięki tobie - powiedział, podnosząc się. Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc; trzymała go, póki nie stanął pewnie na nogach. Wtedy objął ją silnym ramieniem, uniósł jej brodę i pocałował.

Rozdział 18

Bailey zastygła, unieruchomiona w jego zaskakująco silnym uścisku. Nie lubiła radzić sobie w sytuacjach podszytych seksem. Tak dobrze im szło; czemu musiał to zepsuć, startując do niej? Był silniejszy, niż się spodziewała, zważywszy na jego stan, co oznaczało, że musiałyby włożyć trochę wysiłku w jego odepchnięcie, czego nie chciała robić z obawy, żeby się nie przewrócił, bo to nie byłoby dobre dla jego głowy...

Ale pocałunek był delikatny i krótki. Cam oderwał od niej zimne usta i uniósł głowę, zanim zdążyła cokolwiek zrobić.

- Dziękuję - szepnęła, uwalniając ją.

Stała tam, na zimnie, speszona. Teraz już zupełnie się pogubiła. Startował do niej czy nie? Jeśli tak, to była to najbardziej powściągliwa próba przystawiania się do niej, jaką kiedykolwiek przeżyła. A jeśli tym pocałunkiem zamierzał jej tylko podziękować, to, no cóż, wystarczyłoby, gdyby zrobił to słownie.

Pierwsza była skłonna przyznać, że nie bardzo potrafi wyłapywać seksualne sygnały, i uważała, że związki międzyludzkie były wystarczająco skomplikowane i bez sytuacji, gdy jedna czy też obie zainteresowane osoby działały, opierając się na błędnych założeniach. Według niej lepiej było zapytać i się upewnić, nawet jeśli nie tak zwykle się takie sprawy załatwiała. Otrząsnęła się i powróciła do pomagania mu w powrocie do szalasu; wcisnęła ramię pod jego lewą rękę i objęła go mocno oburącz w pasie.

- Przystawiasz się do mnie? - zapytała wprost, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi.

Spojrzał na nią łagodnie.

- Czemu pytasz?

- Bo nie wiem, co to było. Jeśli się przystawiasz, to od razu możesz zapomnieć o seksie. A jeśli nie, to zapomnij o tej rozmowie.

- Wierz mi, gdybym się do ciebie przystawiał, wiedziałabyś o tym. Chciałem ci tylko podziękować. - Roześmiał się.

- Wystarczyłoby, gdybyś powiedział „dziękuję”.

- A ty „proszę bardzo” - odparł ironicznie.

Zaczerwieniła się.

- Proszę bardzo. Przepraszam. Niepotrzebnie się ciskam. Nie chciałam.

- W porządku. - Kiedy pokonali już te cztery metry dzielące ich od szalasu, zabrał rękę z jej ramienia i zaprosił gestem, żeby weszła do szalasu pierwsza. Zrobiła to, pierwszy raz uświadamiając sobie, o ile łatwiej było wchodzić i wychodzić, kiedy w środku nikogo nie było.

- Czekaj... - powiedziała, ale on już zaczął gramolić się za nią. Podwinęła nogi, żeby dać mu jak najwięcej miejsca. Obrócił się, co nie było takie łatwe ze względu na jego długie nogi, a potem położył się na brzuchu i przyciągnął worek z ubraniami, żeby zasłonić wejście.

Umościli się, poprawiając stertę ubrań, żeby jak najszczelniej się okryć. Bailey westchnęła, kiedy jej obolałe ciało zaczęło się odprężać. Leżała na boku, twarzą do Cama. Po całym dniu, podczas którego głównie leżała lub drzemała, powinna być znudzona i pełna energii, ale ciągle była zmęczona i miała wrażenie, jakby do nóg i rąk miała dowiązane ciężarki. Do tego czuła się nieświeżo; o wiele gorzej być chorą i brudną niż chorą i czystą.

Opanowało ją przygnębienie.

- Czemu nie przylecieli po nas dzisiaj? - zapytała smutno.

Cam położył głowę na kawałku pianki, który służył mu za poduszkę. Leżeli twarzą w twarz, blisko siebie, w przebijającym się do szalasu słabym świetle zachodzącego słońca, świadomi zbliżającej się wielkimi krokami kolejnej zimnej nocy. Przyglądała się jego zmęczonej twarzy. Widziała jego podwinięte rzęsy, jednodniowy zarost na szczęce, ale wiedziała, że wkrótce wchłonie go mrok i zapadnie kompletna ciemność.

- Nie wiem... - powiedział po chwili. - Awaryjny nadajnik pozycji powinien naprowadzić helikopter prosto do nas.

- Może jest uszkodzony - zasugerowała, a kiedy dotarły do niej jej własne słowa, przeszły ją ciarki. Jeśli nikt nie wiedział, gdzie są...

- Nie powinien, zwłaszcza że samolot znowu aż tak bardzo nie ucierpiał.

- Aż tak bardzo nie ucierpiał? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Widziałeś go ostatnio? Odpadło lewe skrzydło! Razem z połową kabiny!

- Ale oboje żyjemy i większość samolotu jest w jednym kawałku. Widziałem takie katastrofy lotnicze, po których z samolotu zostawało jedynie parę skrawków stopionego metalu.

- Niewiele zostałyby i po nas, gdybyśmy walnęli centralnie w zboczne góry. - Na moment wróciła pamięcią do tych upiornych chwil, kiedy patrzyła na znajdujące się coraz bliżej postrzępione skały i myślała, że wkrótce zginie.

- Mniej więcej. Dlatego chciałem sprowadzić samolot do linii drzew. Spadaliśmy, nie można było tego w żaden sposób powstrzymać, ale to, czy posadzę samolot na drzewach, było kwestią życia i śmierci.

- Drzewa zamortyzowały uderzenie. - Wzdrygnęła się lekko, przypominając sobie niewiarygodną siłę, z jaką uderzyli w ziemię. Nie mogła sobie wyobrazić, jak by to było bez drzew, ale wiedziała, że nie uszliby z tego z życiem.

- Dokładnie. Ale nie chciałem wylądować na zbyt dużych i mocnych drzewach, musiałem posadzić samolot na tych mniejszych, najlepiej takich średnich, żeby były wystarczająco mocne, by nas wyhamować, i wystarczająco giętkie, by ustąpić.

- Świetny pomysł. Zadziałało.

- Chyba tak. Żyjemy.

Chciała mu powiedzieć, jak jej zaimponował, kiedy robił wszystko, by jak najlepiej wykorzystać prądy powietrzne, gdy z całych sił walczył z grawitacją, próbując dłużej utrzymać ich w powietrzu, ale nie była w stanie. Co gorsza, czuła, jak w jej oczach zaczynają się zbierać łzy. Nie była płacziwa z natury, choć czasem zdarzało jej się obudzić z policzkami mokrymi od łez, co ją strasznie irytowało. Nie wiedziała, co ją napadło teraz. Zaciśnęła zęby, aż końcu opanowała się na tyle, by powiedzieć, w miarę spokojnie:

- Ocaliłeś nam życie.

Nawet w półmroku jego czujnym oczom nic nie umknęło. Delikatnie odgarnął z jej twarzy zabłąkane pasemko włosów.

- A potem ty ocaliłaś mnie. Umarłbym, gdybyś nie zatamowała krwawienia. Chyba jesteśmy kwita.

Nagle poczuła dziwne, ale potężne pragnienie, by schować twarz w jego dłoni i ją pocałować. Co, u licha, się z nią dzieje? Najpierw łzy, teraz to? Może wzrosła jej gorączka. A może cierpiała na stres pourazowy. Po prostu miała rozstrojone nerwy po przeżyciu katastrofy lotniczej.

- Odbyłaś kiedyś trening survivalowy, czy coś w tym stylu? - zapytał zaciekawiony.

Zmiana tematu oderwała ją od rozmyślań, ale i tak musiała kilka razy przełknąć ślinę, zanim mogła znowu mówić, a serce waliło jej tak bardzo, jakby przed chwilą uniknęła jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa.

- Nie, czemu pytasz?

- Bo w tych trudnych okolicznościach, podejmowałam same rozsądne decyzje.

- Rozsądek to moje drugie imię - powiedziała i zaśmiała się nieco drwiąco. Na własnej skórze odczuła, do czego prowadzą nieprzemysłane decyzje. Jej rodzice, ulegając zachciankom albo dążąc do osiągnięcia jakiegoś celu, zupełnie nie zastanawiali się nad tym, jak druzgocące mogą być konsekwencje tych czynów dla ich dzieci. Nie chciała być taka sama. - To właśnie ze względu na mój zdrowy rozsądek Jim wybrał mnie, żebym sprawowała nadzór... - Urwała, nie chcąc zagłębiać się w swoje życie osobiste.

- Nad tą całą forszą? - dokończył za nią Cam i uśmiechnął się, gdy zaskoczona rozszerzyła oczy. - To żadna tajemnica. Nasza sekretarka mi o tym opowiedziała. To przerażająca kobieta, która zawarła pakt z diabłem i wie wszystko.

Bailey parsknęła śmiechem.

- Karen? Czekaaj, niech no tylko się dowie, że powiedziałaś, że zawarła pakt z diabłem!

- Do diabła! Znasz Karen? - Zaskoczony, uniósł się na łokciu i wpatrywał się w nią z konsternacją.

- Oczywiście, że znam Karen. Wingate Group od lat korzysta z usług J&L. Zanim wyszłam za Jima, to ja dzwoniłam do Karen, żeby zaklepać loty.

- Powiniennem był się domyślić - mruknął. - Cholera. Jeśli jej powiesz, będzie zamieniać moje życie w piekło, dopóki nie umrę albo nie przeczolgam się po rozżarzonych węglach w ramach przeprosin. - Ułożył się twarzą do góry. - Obiecuj mi, że jej nic nie pólniesz.

- Nie mów, że boisz się swojej sekretarki. - Parsknęła, zadowolona z odkrycia tej strony kapitana Justice'a. Widziała, że powstrzymywał uśmiech; podobało jej się, że rozpoznał i w głębi duszy doceniał korzyści płynące z posiadania sekretarki będącej silną kobietą.

- To ona wszystkim trzęsie - powiedział przesadnie ponuro. - Wie, gdzie co jest, jak co działa i ogólnie, co w trawie piszczy. Wszyst-

ko ma pod kontrolą. Ja i Bret musimy tylko stawić się w pracy, podpisać, gdzie nam każe, i usiąść za sterami samolotu.

- Możecie ją zwolnić - rzuciła prowokująco.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Prychnął - My, Teksaszczyki, nie jesteśmy głupi. Gdyby nie ona, pewnie miałbym na głowie o wiele więcej niż tylko podpisanie parę papierków.

- Jesteś z Teksasu?

- Nie mów mi, że straciłem akcent. - Ponownie przekreślił się na bok, kładąc głowę na podwiniętej ręce.

- Czytałam, że u pilotów dosyć często pojawia się ta tendencja do „zaciągania”, więc mógłbyś pochodzić z dowolnego miejsca.

- Syndrom Yeagera - zauważył. - Ale moje „zaciąganie” nie jest nabyte. Urodziłem się z nim. Zresztą Yeager pochodził z Zachodniej Wirginii, a ja jestem Teksaszczykiem z krwi i kości, a w tych dwóch stanach mówi się z dwoma zupełnie różnymi akcentami.

- Skoro tak twierdzisz - ustąpiła z wyraźnym powątpiewaniem.

- Jankeska. Trzeba mieć wrodzoną wrażliwość na melodię języka, żeby rozpoznać pewne niuanse.

Nie mogła się nie roześmiać, zwłaszcza że zachęcał ją do tego jego żartobliwy ton. Już miała mu powiedzieć, że „melodia języka” brzmi jak jakieś wyrażenie z Kamasutry, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Skoro nie chciała, żeby zapuszczał się na terytorium seksu, sama też nie mogła tego robić.

- A ty skąd jesteś? - zapytał.

- Urodziłam się w Kansas, ale mieszkałam w Ohio, Kalifornii, Oregonie, Maryland i Iowie.

- Jako dziecko, czy kiedy byłaś już dorosła?

- Głównie jako dziecko. Po skończeniu college'u wybrałam sobie miejsce, w którym osiadłam na stałe. - Zapuszczenie korzeni było przyjemne. Stabilizacja była przyjemna.

- Moi rodzice się nie przeprowadzali. Nadal mieszkają w Killeen.

- Gdzie to jest?

- Nie miałaś geografii w tych wszystkich szkołach, do których chodziłaś? To mniej więcej w połowie drogi między Dallas a San Antonio.

- Wybacz - mruknęła, przewracając oczami. - W szkołach, do których chodziłam, nie kładli jakiegoś szczególnego nacisku na geografie Teksasu.

- Obecny poziom ignorancji jest szokujący. Jak w szkole mogli nie uczyć o Teksasie?

- Nie mam pojęcia. Czyli dorastałeś w Killeen?

- Tak. Moi rodzice nadal mieszkają w tym samym domu, w którym się wychowywałem. Mam jednego brata i dwie siostry; wszyscy chodziliśmy do tej samej szkoły, częściowo uczyli nas ci sami nauczyciele. Ale za to często się przenosiłem, kiedy służyłem w siłach powietrznych. Poznawanie nowych miejsc było fajne, ale przeprowadzki same w sobie były strasznie męczące. Czemu tak często się przeprowadzałaś?

- Porozwodowy ping-pong - powiedziała. - Po co komu piłki, skoro mamy dzieci?

- To przykre. Masz rodzeństwo?

- O tak, do wyboru do koloru.

- Chcesz powiedzieć, że masz rodzeństwo różnych ras?

Zachichotała.

- Mam jednego brata i jedną siostrę, dwóch braci przyrodnych, których nigdy nie widziałam, trzy siostry przyrodnie, których nigdy nie widziałam, i całe mnóstwo przybranych braci i sióstr, których imion nie pamiętam i których w większości nie rozpoznałabym, nawet gdybyśmy na siebie wpadli. - Pomyślała, że rozpoznałaby rudowłosego gościa z dołkiem w podbródku, ale za nic nie mogła zapamiętać jego imienia. Był synem drugiego męża jej matki, jednym z paru synów, których miał z drugą żoną - jej matka była jego trzecią małżonką. Rozmyślanie o tym wszystkim tylko pogorszyło jej ból głowy.

- Jesteś blisko ze swoimi rodzonymi bratem i siostrą?

Zauważyła, że nie zapytał o jej rodziców, ale był bystrym facetem, więc nic dziwnego, że domyślił się, że nie ma sensu o to pytać.

- Z bratem, Loganem. Z nim i jego żoną Peaches miałam jechać na spływ. Z siostrą nie bardzo. Ma swoje życie.

Uświadomiła sobie, że czuła się teraz całkiem dobrze; nie fizycznie, ale psychicznie. Jutro dotrze do nich ekipa poszukiwawcza i cały ten koszmar się skończy. Nikomu nie życzyłaby udziału w katastrofie lotniczej, ale sądziła, że dzięki temu zdarzeniu pozyskała przyjaciela. Nie mogła się nadziwić, że nagle postrzega nadętego kapitana Justice'a jako przyjaciela, ale przekonała się, że wcale nie był aż takim dupkiem, za jakiego go miała. W sumie... był całkiem milutki.

- Zaspiesz - skomentował. - Poznają po twoim oddechu.

Zamruczała, potwierdzając. Przyciągnął ją do siebie, a ona ułożyła się wygodnie w jego ciepłych ramionach, zupełnie jakby zawsze w nich sypiała.

Rozdział 19

Trzeci poranek wstał jasny i słoneczny. Kiedy Cam wyczołgał się z szałas, odkrył, że ma znacznie więcej sił niż poprzedniego dnia, do tego zelżał mu ból głowy. Opuchlizna na powiekach też jakby się zmniejszyła. Nie czuł się na siłach, by wziąć udział w biegu przez płotki czy maratonie, ale chodził bez niczyjej pomocy, choć wolno, i nie musiał się niczego przytrzymywać.

Z Bailey też było lepiej. W nocy jej gorączka osiągnęła apogeum; Bailey cała się spociła, co nie było zbyt dobre w tej niskiej temperaturze. Zmusiła go, żeby przekręcił się na bok, twarzą w drugą stronę, ściągnęła wilgotne ubrania i wciągnęła suche. Żałował, że nie może trochę popodglądać. Po tym, gdy zamieniła się w posag, kiedy ją pocałował, nie chciał znowu jej wystraszyć. Z tego samego powodu starał się upewniać, że nie napiera na nią nabrzmiałym członkiem - kilka razy obudził się z potężną erekcją. Wszystko w swoim czasie...

Najpierw musieli wydostać się z tych cholernych gór.

Ich sytuacja żywnościowa zaczynała być krytyczna. Zostały im tylko dwa batony, a oni byli osłabieni. To, że oboje głównie spali przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, bardzo im pomogło, bo nie spalili aż tylu kalorii, ale jeśli ich dzisiaj nie odnajdą...

Nie zdradzał się przed Bailey, jak bardzo go niepokoiło, że ratownicy nie dotarli do nich wczoraj. Satelita powinien odebrać sygnał z ich awaryjnego nadajnika pozycji, i nawet jeśli przez cały dzień górskie szczyty były spowite przez chmury, ratownicy mogliby zostać zrzućeni gdzieś niżej, na jakimś bardziej przystępnym terenie, i wspiąć się do nich.

Problem w tym, że awaryjny nadajnik pozycji był zasilany przez baterie i mógł nadawać sygnał jedynie przez dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin. Wczoraj rano minęła doba, od kiedy tu byli,

teraz niedługo skończy się druga; jeśli sygnał nie został odebrany do tej pory, to już nie zostanie. Kiedy wczoraj nie przybyli po nich ratownicy, zaczął się martwić, że być może baterie były słabe i padły, zanim w ogóle został ogłoszony stan alarmowy.

Patrzył, jak Bailey wraca między drzewami do szałas; zatrzymała się przed wejściem i spojrzała na niego stanowczo.

- Musisz zostać jeszcze chwilę na zewnątrz - powiedziała tonem, który nie dawał mu żadnego wyboru. - Dłużej tego nie wytrzymam. Śmierdzą. Mam gdzieś, czy jest zimno, muszę się umyć i włożyć czyste ubrania. Kiedy skończę, ty też będziesz musiał się umyć.

- Przebrałaś się w czyste ciuchy zeszłej nocy - drażnił się z nią.
- A ja nie mam żadnych czystych ubrań.

- Sam jesteś sobie winien - odparła. - Nie wiem, jak wybierając się w podróż z noclegiem, mogłeś uznać, że wystarczy ci jedna zmiana ubrania.

- Zawsze zabieram tylko jedną zmianę. Może to dlatego.

- No cóż, powinieneś być bardziej przezorny. A gdybyś tak podczas śniadania wylał kawę na swoją czystą koszulę? Miałbyś przechla-pane.

Miał ochotę się roześmiać, ale nie zrobił tego. Może powstrzymała go jej sztywna, wyprostowana postawa, a może jej uparty wyraz twarzy. W każdym razie śmiesznie było słuchać, jak robi mu wykład o strojach. Może gdyby ciągle miała na sobie ten elegancki żakiet i spodnie, w których wsiadła na pokład samolotu, jej wykład nie byłby aż tak nie na miejscu, ale teraz wyglądała jak okręcona szmatami bezdomna.

Miała na sobie tyle rzeczy, że zupełnie straciła kształty, a ukoronowaniem tego wszystkiego była flanelowa koszula, którą obwiązała sobie głowę. Skarpetki na dłoniach też były niezłe. Ale z drugiej strony on cały był obwiązany jej koszulami i spodniami, ponieważ zwyczajnie się w nie nie mieścił. Podejrzewał, że wygląda jeszcze gorzej niż ona. I gdyby mógł wciągnąć jej skarpetki na swoje wielkie dłonie, toby to zrobił.

- Wygrałaś - powiedział z uśmiechem. - Powinienem zabrać więcej ubrań. Pójdę pomyszkować przy samolocie, więc nie musisz się spieszyć.

W jej zielonych oczach natychmiast pojawił się niepokój.

- Jesteś pewien, że masz dość siły...

- Jestem - przerwał jej. - Czuję się dzisiaj o wiele lepiej. - Okej, może „o wiele” było przesadą, ale nie sądził, by dalsze leżenie mu w czymś pomogło, a chciał sprawdzić kilka rzeczy.

- Zawołaj, gdyby zaczęło ci się kręcić w głowie albo coś - powiedziała po chwili wahania i kucnęła, żeby wpełznąć do szalasu.

Cam odwrócił się, oceniając wrak samolotu okiem pilota. Przeanalizował trajektorię lotu, zaznaczoną połamanymi drzewami i szczątkami. Zobaczył wystrzępioną, nagą skałę, o którą zahaczył skrzydłem; to pewnie tam je stracił. Potem samolot ostro przechylił się na prawo i mało brakowało, żeby zamiast na drzewach, wylądował bezpośrednio na skalistym podłożu, co skończyłoby się katastrofą.

Przeżyli również dlatego, że nie zapaliło się paliwo. Nieraz bywało tak, że samo zderzenie z ziemią było do przeżycia, ale pożar już nie. Nawet kiedy nie działał silnik, mogło dojść do zwarcia instalacji elektrycznej i zapłonu. Może Bailey zdołałaby się uratować, ale on na pewno nie.

Kadłub samolotu nie znajdował się bezpośrednio na ziemi; był podparty na złamanym, prawym skrzydle i nadziany na drzewo. Drzewo unieruchomiło samolot, nie pozwalając, by zaczął koziołkować. Tak długo jak drzewo wytrzyma, samolot nie zsunie się ze stoku. Miał wielką nadzieję, że nie złamie się, kiedy on dostanie się do kokpitu; to dopiero byłby pech.

Podciągnął się do czegoś, co kiedyś było fotelem drugiego pilota, zanim Bailey pozbawiła go skórzanego obicia i gąbki, zostawiając niewiele ponad sam szkielet. Zaczął od sprawdzenia awaryjnego nadajnika pozycji.

- Cholera - mruknął, wciskając włącznik. Nie paliła się dioda, czyli padły baterie. Pytanie brzmiało: czy satelita odebrał sygnał, zanim baterie się wyczerpały, czy baterie były zdechłe od samego początku? Awaryjne nadajniki pozycji sprawdzało się, zgodnie z przepisami, raz do roku. Baterie mogły paść dawno temu, bo prawda była taka, że poza coroczną inspekcją nikt nie zaglądał do tego cholerstwa.

Gdyby satelita odebrał sygnał, ekipa poszukiwawcza dotarłaby do nich wczoraj. Nie dotarła, i nie sądził, że jeszcze dotrze, w każdym razie nie na czas. Martwiło go, że nie słyszał żadnych samolotów Civil Air Patrol, żadnych helikopterów. Podał przez radio ich położenie, i choć nie spadli dokładnie w tamtym miejscu, byli na tyle blisko, żeby usłyszeć helikopter przeszukujący tamten sektor.

Wiedział, że zorganizowano poszukiwania. Nie było tak, że samolot może sobie zniknąć i nikt się tym nie zainteresuje. Ale gdzie, u licha, oni ich szukali?

Zastanawiał się, czy odebrano jego sygnał SOS. A jeśli nikt nie miał pojęcia, gdzie ich szukać? Można to było orientacyjnie określić na podstawie ilości paliwa i maksymalnego zasięgu lotu, ale wyznaczony w ten sposób obszar był niezwykle rozległy. Wychodziło na to, że najprawdopodobniej on i Bailey sami będą musieli się uratować, co o wiele łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

Wskaźniki były rozwalone, radio nie działało - żadna niespodzianka. Rozglądał się uważnie, szukając czegoś użytecznego, co Bailey przeoczyła, ale była bardzo skrupulatna. Jedyne, co mogłoby się im jeszcze przydać, to pasy bezpieczeństwa; wyciągnął je na całą długość, a potem odciął. Pasy były z mocnego tworzywa i można je wykorzystać do transportu ich dobytku. Nie mogli przecież spakować walizek Bailey i ciągnąć ich za sobą w dół zbocza, ale chyba uda mu się zrobić z pasów i jednej z walizek coś w rodzaju plecaka, do którego zapakują najpotrzebniejsze rzeczy.

Zniknęła latarka, którą zawsze ze sobą woził. Albo była gdzieś w pobliżu, tylko schowana pod nową warstwą śniegu, albo siła uderzenia wyrzuciła ją Bóg jeden wie jak daleko. Latarka bardzo by się im przydała, jeśli chcieli się stąd wydostać, ale szanse odnalezienia jej były nikłe.

Z tego samego powodu potrzebował też swojej marynarki i batonów, które były w jej kieszeni - batonów nawet bardziej od samej marynarki. Owszem, byłoby przyjemnie ją włożyć, ale może obejść się bez niej, tak jak to robił do tej pory; za to naprawdę bardzo potrzebowali wysokoenergetycznego pożywienia.

Teraz, kiedy wiedział, jaka czeka ich przeprawa, patrzył na wrak samolotu zupełnie innymi oczami. Ostry kawałek metalu czy szkła mógł posłużyć za prymitywny nóż, gdyby zgubił swój scyzoryk lub złamał ostrze. Zawsze dobrze jest mieć coś w zapasie. Może mógłby też skonstruować jakieś rakiety śnieżne, wykorzystując te same materiały, z których Bailey skleciła ich szałas; w teorii było to całkiem proste. Pytanie tylko, czy teren nie był zbyt ciężki, by decydować się na rakiety śnieżne, które same w sobie były dość niezgrabne.

Im niżej zejda, tym więcej jedzenia będą mieć do swojej dyspozycji. Był chłopakiem z Teksasu; dorastając, ciągle zastawiał pułapki na

króliki i wiewiórki. Potrafi ich wykarmić, ale potrzebowali jedzenia już teraz.

Przeszedł na drugą stronę samolotu. Było tu bardziej stromo, z połamaniem nagich skał, na szczęście przeplatających się z drzewami. Piał się w górę, drogą, którą wcześniej pokonał samolot, tylko w odwrotnym kierunku; czasami musiał się podciągać, nie mogąc znaleźć oparcia dla stóp.

Skrzypiący pod stopami śnieg wdzierał się do jego butów, mocząc skarpety i wyziębiając stopy. Nie ma mowy, żeby dał radę odbyć górską wędrowkę w butach od garnituru, ale nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Na razie mógł zignorować zimno; może Bailey jeszcze raz ogrzeje mu stopy o własne piersi. Dla takiej nagrody warto było trochę pocierpieć.

Na każdym kroku leżały szczątki: kawałki powyginanego metalu, fragmenty instalacji elektrycznej, także połamane gałęzie. Jeśli odcinki kabli były dość długie, by się do czegoś przydać, podnosił je, zwijał i chował do kieszeni. Znalazł wygięty zastrzał skrzydła, potem odkształcone drzwi od strony pilota. Patrząc na to wszystko, myślał o tym, że miał szczęście, wychodząc z tego ze stosunkowo niewielkimi obrażeniami. Trochę dalej z boku dostrzegł przysypane śniegiem jedno z kół samolotu.

Dotarł do drzewa, odartego z kory, z połamanymi gałęziami, które wyglądało, jakby trafił w nie piorun, tyle że te uszkodzenia były nowe i znajdowały się na wysokości jakichś ośmiu metrów. Rozejrzał się wokół, ale wypatrzył same niewielkie fragmenty samolotu, nigdzie nie dostrzegł straconego skrzydła.

Kierowany ciekawością, piał się wyżej, ale niczego nie znalazł. W końcu zimno zmusiło go do zawrócenia. Brakowało mu tchu i czuł się nieco chwiejnie, co nie było znowu takie dziwne, biorąc pod uwagę, ile stracił krwi. Dzięki temu jednak, że prawie przez dwie doby leżał, jego organizm miał czas przystosować się do wysokości.

Przystanął na moment dla nabrania orientacji. Pnąc się w górę, odbił trochę na lewo w stosunku do miejsca, w którym osiadł samolot; ich mały szalas znajdował się z prawej strony. Nie było widać Bailey, czyli nadal siedziała w środku, szorując się tymi swoimi chusteczkami nawilżanymi. Uśmiechnął się, zastanawiając, czy rzuciłaby wszystko i wybiegła nago, gdyby zawołał, że potrzebuje pomocy. Może i tak, ale

potem by go zabiła, więc odpuścił sobie ten pomysł. Zobaczy ją nago, ale w swoim czasie.

Przeniósł wzrok z szalasu w górę, szukając wierzchołka góry...

... i zobaczył skrzydło, jakieś czterdzieści metrów dalej.

- A niech to! - sapnął. Szukał skrzydła na lewo od wraku; automatycznie założył, że skoro to lewe skrzydło, to będzie po lewej stronie, i poprzestał na lokalizowaniu drzewa, w które uderzyło. Po oderwaniu skrzydło przekoziółkowało i zsunęło się prawą stroną. Leżało prawie w linii prostej za szalaszem, tyle że znacznie dalej, niż się zapuszczali.

Ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Kiedy dotarł na miejsce, był zmęczony, ale nie miał problemów z oddychaniem.

Podczas kraksy musiały działać niewyobrażalne siły. Metal giął się i skręcał niczym plastik, nity wychodziły jak z masła. Skrzydło po zderzeniu z drzewem zgięło się wpół, rozerwało się jego metalowe poszycie. Widział szkielet skrzydła, całe metry kabli zwisających z miejsca, gdzie skrzydło łączyło się z kadłubem, pęknięty zbiornik paliwowy.

Jego uwagę przykuło coś, co wyglądało jak balon, z którego zeszło powietrze. To coś zwisało z pękniętego zbiornika paliwowego.

Przeszły go ciarki, gdy dotarło do niego, co to znaczy. A potem ogarnął go gniew, tak silny, że na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Nie było żadnej usterki. To było umyślne działanie.

Rozdział 20

Kiedy Bailey wygramoliła się z szalasu, Cama nie było w pobliżu. Odświeżyła się na tyle, na ile się dało w tych warunkach, i choć nieco chwiejna, czuła się o wiele lepiej. Ciągłe dokuczał jej ból głowy, ale nie tak mocny jak przez ostatnie dwa dni. Zwalczyła gorączkę i nie bolały już jej mięśnie, tylko miejsca, w których była poobijana. Zawroty głowy i mdłości nie przeszły jej kompletnie, a do tego była osłabiona z głodu, ale ogólnie czuła znaczną poprawę swojego stanu fizycznego.

- Cam?! - krzyczała. Nie było odpowiedzi i poczuła ukłucie niepokoju. Był zbyt słaby, żeby się samodzielnie wypuszczać. A jeśli się przewrócił? Poszła po jego śladach do samolotu, zobaczyła, że go obszedł i też za niego zajrzała. Ale nadal go nie widziała. - Cam! - zawołała jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem. - Cam!

- Tutaj.

Jego głos dochodził gdzieś z góry. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła go schodzącego między drzewami.

- Co ty tam robisz?

- Szukałem skrzydła.

Co go obchodzi skrzydło? Przecież nie można przytwierdzić go z powrotem do samolotu i polecieć. Może to było takie jego zboczenie zawodowe - chciał wiedzieć, gdzie znajdowały się wszystkie części samolotu. Martwiło ją tylko, że odszedł tak daleko od szalasu, sam, w jego stanie, w butach od garnituru. Pewnie ma nogi mokre aż do kolan, a stopy lodowate.

Podenerwowana, zaczęła pisać się do niego - częściowo po to, by mu pomóc, gdyby tego potrzebował, ale również po to, żeby móc zacząć go ochrzaniać za jego nieostrożność. Jej rozdrażnienie rosło z każdym krokiem, bo też każdy z nich przychodził jej z trudem; musiała przytrzymać się drzew, praktycznie pełznąć po gałęziach, a raz natrafiła na ukrytą dziurę i jedna noga zapadła się jej w śnieg aż po udo. Krzyknęła przestraszona, i zaklęła:

- Cholera!

- Co się stało? - zapytał ostro Cam. Właśnie omijał jakąś nagą skałę i chwilowo nie było go widać.

- Wpadłam w dziurę! - odkrzyknęła, wykrzywając się w jego stronę, mimo że ze swojej pozycji nie mógł widzieć jej twarzy. Wydobyła nogę z dziury i otrzepała śnieg ze spodni. Trochę śniegu naszło jej do buta; czuła rozchodzące się po nodze zimno. Ściągnęła skarpetkę z prawej dłoni i zaczęła wygrzebywać śnieg z cholewki.

Cam wyłonił się zza skały; tak jak i ona, przytrzymywał się drzew.

- Skręciłaś kostkę?

- Nie, po prostu mam śnieg w bucie - odparła niezadowolona. Wyprostowała się, wciągnęła skarpetkę z powrotem na rękę i spojrzała na niego. To, co zobaczyła, sprawiło, że cała zeszytniała, przerażona.

Widziała już jego twarz chłodną i bez wyrazu, widziała, jak się uśmiechał rozbawiony, widziała diabelskie ogniki w jego oczach, kiedy robił jakąś ironiczną uwagę. Ale to, co widziała teraz, to była twarz innej osoby. Miał zaciśnięte usta, jego szare oczy były zwężone i płonęły takim gniewem, że aż przeszedł ją zimny dreszcz. Jego twarz była biała z wściekłości; na tym tle jego oczy robiły tym większe wrażenie. Pomyślała, że tak wygląda człowiek, który ma ochotę kogoś zabić.

- Co się stało? - Stała nieruchomo, patrząc, jak się do niej powoli zbliża.

Kiedy do niej dotarł, ujął ją za łokieć, odwrócił i pociągnął za sobą.

- Ktoś próbował nas zabić - powiedział wprost. - A raczej ktoś próbował zabić ciebie. Mnie tylko przy okazji.

Bailey potknęła się; była tak szokowana, że na chwilę odebrało jej mowę.

- Co? - wykrztusiła, nie mogąc w to uwierzyć. Serce waliło jej jak oszalałe.

Odzyskała równowagę, cały czas przytrzymywana przez niego za łokieć.

- To był sabotaż. Ktoś postarał się, żeby wskaźnik paliwa rejestrował więcej paliwa, niż rzeczywiście było w zbiorniku.

Jej myśli pobiegły w dwóch kierunkach. W jaki sposób ktoś oszukał urządzenia i dlaczego próbował ją zabić.

- Mnie? Ale jak to? Dlaczego... - Zasłoniła usta, żeby powstrzymać nieskładną paplaninę i wzięła głęboki oddech. - Jeszcze raz. Uważasz, że to sabotaż i że to ja jestem celem?

- Kiedy odpadło skrzydło, pękł zbiornik paliwa. - Urwał. - Wiesz, że zbiorniki paliwa są w skrzydłach, prawda?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - przyznała szczerze. - Nic mnie nie obchodzi, gdzie są, póki jest w nich paliwo. - Dotarli do szalasu i zatrzymali się; obojgu brakowało tchu z wysiłku.

Cam obrócił ją twarzą do siebie; teraz przytrzymywał ją za oba łokcie. Na jego zaciśnięte usta wypłynął na moment blady uśmiech, kiedy na nią spojrział.

- W zbiorniku paliwa był plastikowy worek. Absolutnie niewyszukana sztuczka. Napelniasz worek powietrzem i zamykasz, zajmując objętość zbiornika. Można w ten sposób oszukać zawór antyprzepełnieniowy: wykaże, że zbiornik jest pełen, kiedy w rzeczywistości

większość objętości zajmuje worek. Ponieważ jest plastikowy i przezroczysty, nie widać go, kiedy w zbiorniku jest paliwo.

- Ale... ale... dlaczego? - zapytała płaczącym głosem. To, czego doświadczyli do tej pory, było koszmarem, ale radziła sobie. Najpierw rozbił się samolot, potem to, czy przeżyją, zależało tylko od niej, ale dała sobie radę. Przettrzymała potworne zimno, upiorny wiatr, głód, chorobę wysokościową, gorączkę, nawet brak łazienki; ale nie była pewna, czy poradzi sobie z myślą, że ktoś usiłował ich zabić. - Dlaczego myślisz, że to mnie... - Miała zbyt ściśnięte gardło, żeby dokończyć.

- Bo w przeddzień do J&L dzwonił Seth Wingate i pytał, kiedy wylatujesz - wypalił bez ogródek. - Nigdy wcześniej tego nie robił.

Jego słowa były niczym cios między oczy.

- Seth... - Mimo jego wrogości, nigdy nie sądziła, że mógłby ją naprawdę skrzywdzić. Nigdy się go nie bała, choć wiedziała, jak łatwo tracił nad sobą panowanie. Nawet rozumiała wrogie nastawienie Setha i Tamzin do niej, bo gdyby była na ich miejscu, pewnie czułaby to samo. Jasne, że nie była tym zachwycona, ale rozumiała. Świadomość, że ktoś nienawidził jej tak bardzo, że próbował ją zabić, sprawiła, że żołądek podszedł jej do gardła. Nie była aniołkiem, ale też nie typem spod ciemnej gwiazdy, zasługującym na śmierć.

- Nie - bąknęła otepiale, kręcąc głową. Nie żeby mu nie wierzyła, ale trudno jej było to wszystko ogarnąć. - Och, nie... - Przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Sethem i jego nienawistne słowa: „Ty dziwko, zabiję cię”, gdy sprowokowana przez niego, postraszyła go możliwym obniżeniem jego comiesięcznych wypłat. Wcześniej nigdy nie reagowała na jego docinki czy oskarżenia, zwyczajnie je ignorując. Jeśli to podziałało na niego jak płachta na byka... sama była sobie winna.

Usiłowała znaleźć jakiś słaby punkt w teorii Cama, jakąś lukę w rozumowaniu.

- Ale... ale macie więcej samolotów... Skąd mógł wiedzieć, którym polecimy?

- Wystarczy mieć jakiegokolwiek pojęcie o samolotach, żeby się domyślić, którym polecimy do Denver. Learem nie, to nasz największy samolot, które wykorzystujemy do najdłuższych lotów przez cały kraj. Skyhawk nie osiąga wystarczającego pułapu, żeby przelecieć nad górami, więc zostaje albo skylane, albo mirage. Poleciałbym mirage'em,

ale był w naprawie... Teraz zastanawiam się, czy przypadkiem nie został celowo uszkodzony, żebyśmy musieli wziąć skylane'a.

- Nie rozumiem. Jaką mu to robiło różnicę?

- Może jest bardziej obeznany z cessnami. Wiem, że kiedyś chciał brać u Breta lekcje pilotażu, ale Bret skierował go do instruktora. Oczywiście to jeszcze nie dowód, ale pokazuje, że był zainteresowany tą tematyką. Do diabła, nie tak trudno jest zdobyć potrzebne informacje. Nie wiem, jak to załatwił, czy sam uszkodził mirage'a, czy gadał z Dennisem i dowiedział się, że mirage jest w naprawie. Jedyńy sposób, żeby dowiedzieć się, jak było naprawdę, to zapytać Dennisa... albo pójść prosto na policję, niech przeprowadzą śledztwo, i ten pomysł bardziej mi odpowiada.

- Kiedy nas odnajdą... - zaczęła, ale pokręcił głową.

- Bailey... nikt tu po nas nie przyjdzie. Nikt nawet nie wie, gdzie jesteśmy.

- A co z awaryjnym nadajnikiem pozycji? Mówiłeś, że...

- Nadajnik nie działa. Padły baterie. Może przy nim też majstrował. W każdym razie nie działa. Nie jestem nawet pewien, czy radio działało. To znaczy pod koniec. Owszem, na początku działało, ale jak się zastanowić, nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś przez nie słyszałem.

- Ale jak to możliwe? - zapytała. - Jak sprawić, żeby radio przestało działać w konkretnym momencie? I jak określić, gdzie będziemy, kiedy skończy się nam paliwo?

- Łatwo to było obliczyć. Są raporty pogodowe, wiadomo, jaki skylane ma zasięg, z jaką prędkością będę leciał w normalnych warunkach. Nie można było określić naszego położenia z dokładnością do paru metrów, ale wystarczy mieć trochę oleju w głowie, żeby wykombinować, jak duża powinna być plastikowa torebka, żeby zastąpić icks litrów paliwa, a ile tego paliwa powinno być realnie, żebyśmy dotarli do gór. - Uniósł głowę i rozejrzał się po otaczającym ich majestatycznym i niezwykle surowym krajobrazie. - Myślę, że to, żebyśmy dotarli do gór, było kluczowe dla tego planu; to musiało być jakieś nieprzystępne miejsce, gdzie ciężko będzie odnaleźć wrak samolotu, a być może nigdy się to nie uda. Hell's Canyon to idealne miejsce. Szlaki turystyczne otworzą dopiero za miesiąc, więc na razie nie ma w tych górach nikogo, kto mógłby zauważyć spadający samolot i poinformować o tym odpowiednie służby.

- Skąd wiesz, że to ja byłam celem? - zapytała zdławionym głosem. - Skąd wiesz, że nie chodziło o ciebie?

- Bo to Bret miał z tobą lecieć - powiedział. - Upierał się przy tym do samego końca. Karen zadzwoniła do mnie w ostatniej chwili, żebym go zastąpił, bo ten uparciuch nie chciał przyznać, że w jego stanie zdrowia nie powinien siadać za sterami. Przyjmij fakty do wiadomości, Bailey - dokończył, lekko zniecierpliwiony.

- Więc ty... - Znowu ścisnęła ją w gardle, do tego odczuwała mdłości. Przelknęła, usiłując zapanować nad swoim głosem. - Więc ty...

- Ja jestem tylko pechowcem, który miał zginąć z tobą.

Wzdrygnęła się na te słowa, a do jej oczu zaczęły się cisnąć łzy.

Nie rozplacze się. Nie rozplacze się.

- Cholera - westchnął gwałtownie, unosząc jej podbródek swoją zimną dłonią. - Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Zapewne on ma mnie za pechowca, ale ja na to tak nie patrzę.

Bailey zmusiła się do uśmiechu, choć przepełniał ją ból. Zrobiła to samo co zawsze - zamknęła swoje uczucia gdzieś głęboko w sobie.

- Nie krępuj się, ja też bym tak to nazwała. Miałeś pecha, zastępując przyjaciela. Prawie przez to zginąłeś.

- Można na to spojrzeć jeszcze z innej strony.

- Czyżby? Nie sądzę.

Była zupełnie nieprzygotowana na nagłą zmianę w wyrazie jego twarzy; gniew i wściekłość ustąpiły miejsca czemuś jeszcze bardziej niepokojącemu. Jego oczy płonęły, na ustach czaił się uśmiech drapieżnika zbliżającego się do swojej ofiary. Przemieścił dłoń na jej podbródku i teraz jego kciuk delikatnie uchylał jej dłonią wargę. - Gdybym prawie nie zginął - powiedział przeciągle - mógłbym się nigdy nie dowiedzieć, że ta zimna ryba, którą udawałaś, to tylko poza. Ale zostałaś zdemaskowana, skarbie, pogódź się z tym.

Rozdział 21

Bailey parsknęła, zadowolona z przejścia na nieco lżejszy temat.

- Skoro już o tym mowa, to wiedz, że miałam cię za okropnego sztywniaka. - Wiedziała, że temat usiłowania zabójstwa nie był skończony, ale potrzebowała trochę czasu, żeby to przetrwać i wyciszyć emocje.

- Co ty powiesz? - Skubnął jej dolną wargę, a potem się odsunął.
- Później o tym pogadamy. Wędrówka trochę potrwa, więc będziemy mieć mnóstwo czasu.

Rozejrzała się wokół; dziwne, ale w pewnym sensie zdążyła żyć się z tą okolicą i czuła się tu bezpiecznie. Niepokoiła ją myśl o wędrówce w nieznaną. Przede wszystkim - kwestia szalasu. Nie mogli go zabrać ze sobą, a sama myśl o budowaniu nowego schronienia była osłabiająca. Z drugiej strony brakowało im jedzenia. Jeśli nikt się po nich nie wybierał, musieli uratować się sami, a to oznaczało, że muszą się stąd ewakuować, zanim osłabną tak bardzo, że nie będą w stanie tego zrobić.

- Okej - powiedziała, prostując się. - Chodźmy się pakować.

Uśmiechnął się lekko.

- Nie tak szybko. Nie sądzę, żebym dzisiaj daleko zaszedł, poza tym po kolejnym dniu oboje będziemy lepiej zaaklimatyzowani.

- Jeśli będziemy czekać kolejny dzień, skończy nam się jedzenie, zanim w ogóle wyruszymy - zauważyła.

- Może nie, jeśli znajdziemy moją marynarkę. W kieszeni miałem dwa batony energetyczne. Nie mówiłem o tym wcześniej, bo żadne z nas nie było w stanie szukać marynarki. Poza tym spodziewałem się, że zostaniemy uratowani i nie będziemy ich potrzebować.

Dwa dodatkowe batony podwoiłyby zapas żywności, co ostatecznie mogło ich uratować od śmierci. Zresztą potrzebował marynarki, jakiegokolwiek okrycia wierzchniego, zanim wyruszą w drogę.

- Nie możesz iść w tych butach - stwierdziła zmartwiona.

Wzruszył ramionami.

- Muszę. Nie mam innych.

- Może da się temu jakoś zaradzić. Mamy skórę, którą zdjęłam z siedzeń i mnóstwo kabli, które można wykorzystać w charakterze sznurówek. Myślisz, że trudno będzie uszyć coś w rodzaju ochrania-czy na twoje buty?

- Pewnie trudniej, niż ci się zdaje - odparł. - Ale to znakomity pomysł. Dzisiejszy dzień przeznaczymy na przygotowania. Musimy pić tak dużo, jak to będzie możliwe, żeby się dobrze nawodnić, zanim wyruszymy. Gdybyśmy szybciej topili śnieg, moglibyśmy wypić więcej.

- Przydałoby się rozpałcić ognisko - przyznała z nutką żalu. Jedynym źródłem ciepła, jakim dysponowali, było ciepło wytwarzane przez ich ciała, które owszem, topiło śnieg naładowany do butelki po płynie do płukania jamy ustnej, tyle że niezbyt szybko. - Szkoda, że żadne z nas nie zabrało zapalek.

Uniósł głowę, zaświeciły mu się oczy. Odwrócił się i patrzył na samolot. Cała jego postawa krzyczała, że właśnie coś sobie przypomniał.

- Co? - zapytała niecierpliwie Bailey, kiedy się nie odzywał. - Tylko mi nie mów, że masz pudełko zapalek gdzieś w samolocie. Jeśli tak, przysięgam, że zabiorę ci wszystkie moje ubrania.

- To chyba najbardziej osobliwa groźba, jaką kiedykolwiek słyszałem - prychnął i ruszył do samolotu.

Bailey pognała za nim po skrzypiącym śniegu.

- Jak mi nie powiesz...!

- Na razie nie ma sensu, żebym ci mówił. Nie wiem, czy to w ogóle wypali.

- Co wypali?! - krzyknęła do jego pleców.

- Może uda mi się rozpałcić ogień za pomocą akumulatora. To wykonalne, nie może tylko być za bardzo rozładowany ani nie może być zbyt zimno. Ale niewykluczone, że akumulator padł albo jest uszkodzony. - Zaczął odciągać gałęzie, które utrudniały mu dostęp do samolotu.

Bailey też złapała gałąź i ciągnęła. W momencie zderzenia śmigła nie obracały się, toteż drzewa nie ucierpiały aż tak bardzo, jak mogłyby w przeciwnym wypadku, ale mniej odłamanych gałęzi oznaczało więcej pracy dla nich - nie tak łatwo było je oderwać. Przydałby się jej jakiś toporek.

- Możesz rozpałcić ogień od akumulatora? - zapytała, dysząc, kiedy odgięta gałąź wróciła na swoje miejsce. Zacisnęła zęby i zaatakowała jeszcze raz.

- Jasne. Akumulator jest źródłem energii elektrycznej, a energia elektryczna równa się ciepło. - Wyginał gałąź, póki jej nie odłamał, po czym odrzucił ją na bok - Oczywiście to uproszczenie, ale jeśli akumulator nie jest rozładowany, mogę przyłączyć kable do zacisków biegunowych i połączyć je kawałkiem przewodu, z którego ściągnę izolację. Przy odrobinie szczęścia i jeśli akumulator nie jest rozładowany, dojdzie do zwarcia i nagrzanym, nieizolowanym przewodem podpalą papier, albo podpałkę, jeśli znajdziemy odpowiednio suche drewno.

- Mamy papier - powiedziała szybko. - Zabrałam notatnik, parę książek i magazynów.

Przerwał pracę i spojrzał na nią.

- Po co? Jedną książkę jeszcze bym zrozumiał. Jechałaś na spływ. Bawiłem się w rafting, więc wiem, jakie to męczące. Człowiek jest zbyt wykończony, żeby czytać. A ten notatnik to po co?

- Czasami nie mogę spać.

- No coś ty? - Chrząknął, chwytając kolejną gałąź i ciągnąc. - Przez dwie ostatnie noce spałaś jak zabita.

- No tak, nie ma nic niezwykłego w okolicznościach, w których się znaleźliśmy - zadrwiła. - Tak się nudziłam, że aż mnie to uśpiło.

Zaśmiał się.

- Patrząc na to, ile spaliśmy wczoraj, dziwne, że spaliśmy także w nocy.

- Zasługa odniesionych obrażeń i ogólnego osłabienia.

Kiedy przedostali się w końcu do akumulatora, odetchnął z ulgą.

- Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku. Bałem się, że będzie inaczej, zważywszy na to, jak bardzo ucierpiał samolot.

- Możesz go wyjąć?

Pokręcił przecząco głową, patrząc na zasłaniający go częściowo powyginany metal.

- Musiałbym mieć nożyce do cięcia metalu. Ale jeśli uda mi się wsunąć tam dłoń, nie tracąc przy okazji palców...

- Ja to zrobię - powiedziała szybko, przysuwając się do niego. - Mam mniejsze dłonie od twoich.

- Ale słabsze - wytknął, opierając się ramieniem o drzewo i sięgając prawą ręką najdalej, jak mógł. Zauważyła wtedy, że jego paznokcie były sine z zimna. Skrzywiła się. Wiedziała, jakie to uczucie, być z gołymi rękami na tym zimnie i wietrze.

- Musisz ogrzać dłonie, jeśli nie chcesz dorobić się odmrożeń - upomniała go.

Wydał z siebie jedno z tych męskich burknięć, co mogło znaczyć zarówno „masz rację”, jak i „daj mi spokój”, a poza tym zupełnie ją zignorował. Nie mogła go zmusić, by ogrzał dłonie, więc po prostu zamilkła, krzyżując ręce na piersi. Nie było sensu tracić na niego energii. Kiedy się czymś zaaferował, na nic nie zwracał uwagi.

Wytrzymała w milczeniu jakieś trzy sekundy.

- Klasyczny przykład zatrucia testosteronem - stwierdziła.

Miał częściowo odwróconą głowę, ale widziała, jak jego policzek zmarszczył się w uśmiechu.

- Do mnie mówisz?

- Nie, do tego drzewa. Z takim samym efektem.

- Nic mi nie jest. Jeśli uda mi się rozpaść ogień, wtedy się ogrzeję.

Kierowana jakimś diabelskim podszeptem, mruknęła:

- Cóż, skoro jesteś tego pewien...

- Jestem.

- Bo pomyślałam, że mogłabym ogrzać ci dłonie w taki sam sposób, jak ogrzałam ci wcześniej stopy, ale skoro nie potrzebujesz, to w porządku.

Jej słowa zawisły w lodowatym powietrzu. Zastanawiała się, czy straciła rozum, ale ponieważ nie mogła ich cofnąć, starała się wyglądać jak najbardziej swobodnie.

Przerwał pracę, powoli wyciągnął rękę, wyprostował się i zwrócił do niej twarzą.

- Może odpowiedziałem zbyt pochopnie. Mam strasznie zgrabia-
łe ręce.

- W takim razie lepiej pospiesz się z tym ogniem - odparła weso-
ło, poganiając go ruchem ręki. - Ruchy, ruchy!

Spojrzał na nią wzrokiem mówiącym „jeszcze mi za to zapłacisz” i sięgnął z powrotem do wnętrza samolotu. Kąt, pod jakim samo-
lot był przechylony, bardzo to utrudniał, do tego jeszcze te gałęzie.
W końcu powiedział:

- Okej, musimy sobie wszystko przygotować, zanim spróbuję tej
sztuczki, bo nawet jeśli akumulator jeszcze działa, możemy nie dostać
drugiej szansy.

- Co musimy zrobić?

- Najpierw znaleźć miejsce, jak najlepiej osłonięte od wiatru, i ob-
łożyć palenisko kamieniami. Potem poszukać suchego drewna na roz-
pałkę. Myślę, że niektóre z tych mniejszych gałęzi, którymi uszczel-
niałaś szalasy, mogły już do tej pory przeschnąć. Nie sądzę, żeby dało
radę znaleźć coś suchszego. Jeśli weźmiesz to na siebie, ja zeskrobie
trochę kory wewnętrznej z tych drzew.

Problemem był wiatr; hulał beztrąsko po górach i nie było tu żad-
nych osłoniętych miejsc. Sfrustrowana, ostatecznie pootwierala swoje
walizki i ustawiła je pionowo, jedna obok drugiej, w niedomkniętym
okręgu, naprzeciwko szalasu. Nie było to idealne rozwiązanie, bo wa-

lizki nie mogły znajdować się zbyt blisko ognia, żeby się nie zajęły, zapewniały więc tylko częściową ochronę przed zawiewającym wiatrem.

Odgarnęła śnieg z wytyczonego obszaru, a potem Cam raz po raz wwiercał się śrubokrętem w zamarzniętą ziemię, rozbijając ją, by następnie móc ją wygrzebać zębami ciesielskiego młotka. Palenisko było głębokie zaledwie na paręnaście centymetrów, kiedy dotarł młotkiem do skały, ale musiało wystarczyć.

Wokół było całe mnóstwo kamieni, którymi można było je obłożyć. Zajął się tym Cam, podczas gdy Bailey szukała suchego drewna. Tak jak przewidział, najsuchsze były gałęzie składające się na konstrukcję szałasu. Za każdym razem, kiedy wyciągała gałązkę, wtykała w jej miejsce nową, świeżo odłamaną od drzewa. Musieli spędzić w szałasie jeszcze jedną noc, więc chciała, żeby pozostał szczelny.

Za pomocą scyzoryka Cam zerwał kawałek kory zewnętrznej z jednego z drzew, a potem zeszkrobywał korę wewnętrzną, póki nie pozyskał dwóch pełnych garści. Ostrożnie wyłożył palenisko zeszkrobaną korą i paroma zmiętymi kartkami wydartymi z notatnika, następnie położył małe gałązki, a na nich większe.

- Zielone gałęzie nie dają aż tak dużo ciepła, ale za to będą wolniej się spalać - powiedział.

O ile w ogóle zdołają je podpalić, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Jeśli wypali pomysł z akumulatorem, będą musieli jakoś przenieść płomień od samolotu do przygotowanego paleniska. Wiatr wcale nie zelżał, co znaczyło, że nie mógł po prostu zwinąć kartki papieru, podpalić jej i przynieść. Bailey opróżniła metalową apteczkę i mu ją podała. Śrubokrętem porobił w niej z jednej strony dziurki, dno wyłożył ziemią, którą wykopał, robiąc palenisko, posypał ją igliwem, a następnie zwinął kartkę papieru, do środka wtykając kawałek gazika.

Bailey patrzyła na to w milczeniu. Jakiś czas temu przestali rozmawiać, całkowicie pochłonięci pracą. Pozyskanie ognia było czymś niezmiernie ważnym. Sama myśl o tym, że będą mieć ogień, przyprawiła ją o błogi zawrót głowy.

Została kwestia kabli. Już wcześniej je uciął, teraz całkowicie usunął izolację z krótkiego kawałka i obnażył wszystkie końcówki dwóch dłuższych. Potem szybko połączył krótszy kawałek z dłuższymi, skręcając błyszczące miedziane druciki.

Razem podeszli do samolotu. Ona trzymała apteczkę, on przewody.

- Jeśli się uda, jeśli papier się zapali, zamkniesz pokrywę i zanie-
siesz apteczkę do ogniska - zarządził. - Odczepię kable od akumu-
latora, żebyśmy nie stracili za dużo energii; może będziemy musieli
zrobić to ponownie. Zwinięty papier spowolni spalanie, więc będziesz
miała wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do ogniska. Pójdiesz
i je podpalisz.

Skinęła głową. Serce waliło jej jak młotem. Proszę, niech się uda,
błagała w myślach. Tak bardzo potrzebowali ognia.

Stała obok Justice'a, przytrzymując jeden z przewodów izolowa-
nych w ten sposób, żeby nieizolowany drut dotykał czubka zwinięte-
go papieru. On musiał wcisnąć się pomiędzy drzewo a samolot, jakieś
trzydzieści centymetrów nad ziemią, żeby dosięgnąć do akumulatora
obiema dłońmi i podłączyć długie kable, jeden do dodatniego zacisku,
drugi do ujemnego. Kiedy skończył, pozostał na swoim miejscu, wpa-
trując się w trzymaną przez Bailey apteczkę.

Starła się opanować drżenie, trzymając goły przewód przy papierze.

- Ile to może potrwać?

- Daj parę minut.

To parę minut równie dobrze mogło być godziną. Czas włókł się
niemiłosiernie, kiedy wpatrywali się niecierpliwie w papier, czekając,
aż zobaczą smużkę dymu, brązowy ślad na papierze, modląc się, żeby
coś się wydarzyło.

- Proszę, proszę, proszę - mamrotała pod nosem. Nic się nie dzia-
ło. Zamknęła oczy, bo nie była w stanie dłużej patrzeć. Może jeśli nie
będzie patrzeć, papier zacznie się palić. Była to dziecinna nadzieja,
niemądra myśl, jakby to, że patrzyła, mogło powstrzymać papier
przed zapaleniem się.

- Bailey! - rzucił ostro Cam.

Zaskoczona, otworzyła oczy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła,
była cieniutka smużka dymu, delikatna niczym miraż. Wiła się nie-
pewnie, niezdecydowanie, atakowana przez wiatr. Ostrożnie zmieniała
nieco pozycję, przyciągając skrzyneczkę bardziej do siebie, by zapew-
nić lepszą ochronę przed wiatrem.

Brązowy ślad na papierze rozrastał się, docierając do wetkniętego
w środek gazika. Małeńki jęczyczek ognia zaczął lizać gazik. Krawę-
dzie papieru zaczęły się zwijać.

- Idź - powiedział Cam. Ostrożnie opuściła pokrywę, odwróciła się i poszła szybko do paleniska. Uklękła przed przygotowanym stosem gałęzi, ostrożnie otworzyła apteczkę, starając się jak najlepiej osłaniać wąty płomień. Papier spalił się już do połowy.

Uważnie wyjęła papier z apteczki, przykładając go palącym się końcem do warstwy z kory i papieru.

Płomyczek przeskoczył najpierw na papier, potem zajęła się kora. Płomyk robił się coraz większy i wkrótce zaczęły się palić również małe gałązki.

Zaczęła się śmiać, była tak uszczęśliwiona, że mało brakowało, aby z jej oczu popłynęły łzy. Odwróciła się; Cam szedł już w jej stronę, z szerokim uśmiechem na twarzy. Rozradowana, poderwała się i podbiegła do niego, rzucając się mu w ramiona. Uniósł ją i obrócił dookoła.

- Udało się! - krzyknęła, wczepiając się w jego szerokie ramiona, a nogi zarzucając mu na biodra, żeby lepiej się go przytrzymać.

Nic nie powiedział. Chwycił ją za pośladki i mocno przyciągnął do siebie, a ona poczuła jego twarde, napierający członek. Zaskoczona, uniosła wzrok, śmiech zamarł na jej ustach. Spojrzała w jego błyszczące, wygłodniałe oczy i wtedy ją pocałował.

Rozdział 22

Miał zimne usta, ale sam pocałunek był gorący, namiętny i natychmiast na nią podziałał. Gdzieś w jej podświadomości włączył się zwykły alarm, ale nie tak natarczywy jak zawsze, i po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, a może nawet po raz pierwszy w życiu, zignorowała go. Zarzuciła Camowi ręce na szyję. Rozchyliła szerzej usta, jej język, zachęcany przez jego, włączył się do zabawy.

Przepelniała ją dziwna mieszanina wyrzutów sumienia i przyjemności. Nie planowała tego, nie dążyła do pójścia tą drogą, ale teraz, kiedy się na niej znalazła, chciała nią pędzić.

Powinna zabrać nogi z jego bioder, wycofać się na mniej prowokującą seksualnie pozycję, ale nie zrobiła tego. Gwałtowna reakcja jego ciała była podniecająca, a świadomość przyjemności, która na nią czekała, jeśli tylko się rozluźni i ulegnie, kusiła niczym syrenia pieśń.

Poza tym bycie w jego ramionach zaspokajało podstawową, ludzką potrzebę fizycznego kontaktu z innym człowiekiem. Od tak dawna jej tego brakowało i nagle czuła, że nie może się dłużej tego wypierać.

Spała w jego objęciach, a on w jej, dwie noce z rzędu, i choć ich fizyczna bliskość została wymuszona przez sytuację, między nimi wytworzyła się szczególna więź, narodziło się zaufanie. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyła, nigdy zresztą tego nie chciała. Najlepszym sposobem nieokazywania emocji było trzymanie ludzi na dystans, poleganie wyłącznie na sobie; nauczyła się tego bardzo wcześnie i w bolesny sposób.

Ale on był tak blisko, był silny i ciepły, i nie chciała go puścić.

To on przerwał ich pocałunek i spojrzał na nią. Miał sińce pod oczami i podrapaną twarz, ale jego oczy iskrzyły, obiecując więcej. Jego dłonie, nadal ściskające jej pośladki, kierowały jej ciałem w ten sposób, by ocierało się leniwie o jego męskość. Serce waliło jej jak oszalałe, oddech zrobił się przerywany. Uśmiechnął się smutno. - Niechętnie to przerywam - powiedział przeciągle - ale zaraz upadnę.

Wpatrywała się w niego dobrą chwilę, zanim zrozumiała.

- Cholera! Zapomniałam! Przepraszam... - Mówiąc to, pospiesznie uwolniła go od swojego ciężaru, opuszczając nogi na ziemię i zaczerwieniła się, zawstydzona. Jak mogła zapomnieć, że był słaby? Jeszcze wczoraj nie mógł się poruszać o własnych siłach!

Zatoczył się lekko, a ona szybko wcisnęła swoje ramię pod jego pachę i objęła go w pasie.

- Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam - wymamrotała, prowadząc go do ogniska.

- A ja się cieszę, że zapomniałaś. Bardzo mi się podobało, ale cała krew, jaka mi jeszcze pozostała, odpłynęła na dół, i na chwilę zakręciło mi się w głowie. - Puścił do niej oko, kiedy pomagała mu usadzić się przy ogniu. Najlepiej na siedzisko nadawał się worek z ubraniami, którym zasłaniali wejście do szałas; wykorzystywali jej ubrania praktycznie do wszystkiego.

- Boże, ale przyjemnie - zamruczał, wyciągając dłonie do ognia, a Bailey nagle oprzytomniała i się rozejrzała.

O ogniu też zapomniała. Jak mogła? Tak się tym podekscytowała, że pobięła rzucić się mu w ramiona. Ale jak tylko ją pocałował, zapomniała o całym świecie. A gdyby płomień zaczął słabnąć i trzeba było poprzesuwać walizki, żeby lepiej zabezpieczyć go przed wia-

trem? Ogień był najważniejszy; powinna go pilnować, doglądać, chuchać i dmuchać, a nie wskakiwać na Justice'a, jakby to było rodeo.

- Kretynka ze mnie! - wymamrotała, patrząc na unoszący się dym, porywany przez wiatr. Gałęzie z igłami zaczęły się smętnie żarzyć i dym zrobił się ciężki, gęstszy niż gdyby mieli lepsze drewno, ale i tak cieszyli się, że w ogóle się paliło. - Powinnam była pilnować ognia.

- Ale wtedy byśmy się nie zabawili - zauważył. - Przestań się zadreć. Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za cały świat.

- Może i nie, ale gdyby ogień zgasł, żadne z nas nie byłoby w nastroju do zabawy. - Stojąc tak blisko, na ile się odważyła, ostrożnie wyciągnęła dłonie. Czuła ciepło ognia na twarzy, co było tak przyjemne, że prawie jęknęła. Ludzie przyjmowali niektóre rzeczy za pewnik, takie jak ciepło, jedzenie i woda. Nie sądziła, żeby jeszcze kiedyś wybrała się w podróż bez pudełka wodoodpornych zapalek, a także paru innych, niezbędnych rzeczy, jak na przykład telefon satelitarny. I bielizna termiczna. Do tego kilka tuzinów opakowań racji żywnościowych.

- Jakoś byśmy przeżyli. Przez dwa dni obchodziliśmy się bez ognia. Dzięki niemu jest nam po prostu trochę przyjemniej.

Może i tak, ale to, że mieli ogień, korzystnie wpływało na jej morale, które parę razy się już dzisiaj podłamało, a nie było jeszcze południa.

- Chociaż - ciągnął w zamyśleniu - żałuję, że nie przypomniałem sobie o akumulatorze wcześniej.

- Daj spokój. Nawet gdybyś sobie przypomniał, żadne z nas nie byłoby w stanie nic z tym zrobić - zauważyła. - Ty byłeś zbyt osłabiony, mnie dokuczala choroba wysokościowa.

- Gdybym wcześniej wiedział, jaka jest nagroda za rozpalenie ognia, włókiłbym moje nagie ciało po śniegu, byle dostać się do tego akumulatora.

Bailey wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Komiczny pomysł - ktoś miałby z własnej woli czołgać się nago przez śnieg dla pocałunku? Nie żeby było coś komicznego w jego nagim ciele; była przekonana, że jego obnażone ciało stanowiłoby przyjemny widok, sądząc po tym, co już widziała.

Zaczepił palec o gumkę jej spodni i pociągnął ją do tyłu.

- Siadaj - powiedział. - Musimy porozmawiać.

Jego głos był tak stanowczy, że zabrzmiało to zupełnie jak rozkaz. Bailey uniosła brwi.

- Mam stuknąć obcasami i zasalutować?

- Chłopcy będący pod moimi rozkazami nie widzieli w tym problemu.

- Ale ja nie jestem jednym z nich.

- Całe szczęście. Bo mam wobec ciebie pewne plany. Chcesz posłuchać? Jeśli tak, to siadaj.

Znowu pociągnął ją za spodnie i po chwili, oszołomiona, siedziała obok niego na wypełnionym ubraniami worku. Ich siedzisko było nierówne, ale ponieważ objął ją mocno ramieniem, nie zjeżdżała na jedną stronę.

- Jestem honorowy - oświadczył, patrząc na nią błyszczącym wzrokiem - więc daję ci teraz uczciwe ostrzeżenie. Ale prawdopodobnie nie zrobię tego więcej, więc się nie przyzwyczajaj.

Chciała zapytać odnośnie do czego ma być to ostrzeżenie, ale obawiała się, że zna odpowiedź. Może „obawiała” to złe słowo. Zdenerwowała się. Przeraziła. Ale przede wszystkim była podniecona.

- Kiedy myślałem jeszcze, że po nas przyjdą, robiłem, co w mojej mocy, żeby cię nie wystraszyć - rzekł tak swobodnie, jakby rozmawiali o pogodzie. - Wiedziałem, że z powrotem na swoim terenie, stając się ponownie panią własnego losu, będziesz mogła mnie unikać, jeśli zbyt szybko się pospieszę. Ale teraz wiem, że pomoc nie nadejdzie i że będę miał cię dla siebie przez kilka dni, może nawet tygodni. Uczciwość wymaga, żebym ci powiedział, że planuję pozbawić cię ubrań za dzień czy dwa, kiedy zejdziemy niżej, gdzie będzie nieco cieplej, będziemy silniejsi i ogólnie będziemy czuć się lepiej.

Bailey otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, ale po chwili je zamknęła, bo nie wiedziała co. Miała w głowie dziwną pustkę. Co powinna czuć? Myśleć? Jej zwykłe reakcje na podobne wyznania nie znajdowały zastosowania; absolutnie nic nie przychodziło jej do głowy. Jeszcze raz próbowała coś powiedzieć, ale znów skończyło się na tym, że tylko zamknęła usta. Powinna go ostudzić, jak to zwykle robiła, kiedy ludzie próbowali forsować jej mury obronne, i była zdezorientowana, bo nie mogła.

- Jest jakiś powód, dla którego udajesz gupika? - zapytał z uśmiechem, przekrzywiając głowę.

Z obawy, że nie potrafi powiedzieć nic logicznego, tylko pokręciła głową.

- Jakies pytania?

Miała ich z milion, ale o większość rzeczy nie mogła zapytać ani nawet ubrać ich w słowa. Ponownie pokręciła przecząco głową.

- W takim razie bierzemy się do przygotowań. Czeka nas dużo pracy.

Zaczął się podnosić, ale tym razem to Bailey przytrzymała go za pasek spodni.

- Zostawiłam ci w szalasię paczkę chusteczek nawilżanych i czystą bieliznę - oznajmiła. Była zadowolona, że powrócił jej głos, mimo że to, co mówiła, było zupełnie banalne. - Musisz się obmyć, jeśli nie chcesz dziś spać na dworze.

Pięć minut później z szalasu nadal dochodził jego śmiech.

Ponowne skupienie się na przyziemnych sprawach przyszło jej z niemalym wysiłkiem, dopingowała ją świadomość, ile trzeba jeszcze zrobić, zanim będą mogli spróbować ruszyć na dół.

Po pierwsze, jak powiedział Cam, musieli się porządnie nawodnić, co oznaczało, że musieli stopić tyle śniegu, ile zdołają. Kamienie, którymi obłożył palenisko, nagrzały się, ale nie na tyle mocno, żeby mogły stopić plastikową butelkę po płynie do płukania jamy ustnej; naładowała więc do niej śniegu i oparła ją o kamienie.

Po drugie, trzeba się zająć Camem - przynajmniej ona tak uważała. Był zupełnie nieprzygotowany do tych warunków pogodowych. Ona miała mnóstwo ciuchów, ale wszystkie były na niego za małe. Ale skoro miała ich dużo, a pojedyncze sztuki na niego nie pasowały, może dwie połączone będą pasować. Duży problem stanowiły jego buty, ale miała skórę, którą zdjęła z siedzeń. Musiała zrobić z niej coś w rodzaju ochraniaczy, które zapewnią odpowiednią izolację, nie dopuszczają, by do butów właściwych dostał się śnieg i dadzą mu lepszą przyczepność; prawdziwe wyzwanie, gdyż nie była szewcem. Wiedziała, że na pewno nie uda się skroić ich idealnie, ale też nie mogła pozwolić sobie na marnowanie skóry, tnąc ją na oko, na kawałki, które do niczego się nie nadadzą.

Wzięła notatnik i długopis, żeby sobie wszystko rozrysować, zaplanować, jak musi ciąć. Zaczęła szkicować, ale kartka pozostała pusta. Zamarzył tusz w długopisie. Sfrustrowana, także długopis przyłożyła do nagrzanego kamienia. Zobaczyła, że częściowo stopił się śnieg w butelce. Ogień to dobrodziejstwo dla człowieka, bez dwóch zdań.

Samolot był obiektem sabotażu i ciężko byłoby obalić teorię Cama na temat tego, kto za tym stał. Seth próbował ją zabić i kompletnie nie dbał o to, że przy okazji zabije również Cama. Nie mogła się z tym

pogodzić, nie mogła tego pojąć. Ostatnie dwa dni były straszne; ból, upiorne zimno, zmuszanie się do niewyobrażalnego wysiłku mimo opłakanego stanu fizycznego. Ale siedząc tu i patrząc na ogień, czuła przypływ optymizmu i nadziei. Nic dziwnego, że ludzie pierwotni tańczyli wokół ognia; pewnie szaleli z radości, mając ciepło i światło. Nachyliła się i wyciągnęła dłonie, żeby poczuć na nich ciepło ognia. Nigdy więcej nie będzie brać ognia za pewnik.

Czuła się lepiej. Opuchlizna i zaczerwienienie na jej ramieniu znacznie ustąpiły. Cam też miał się lepiej. Nikt nie przyjdzie im z pomocą, więc sami się uratują. Po raz pierwszy czuła pewność, że im się uda. Uda się im, bo zdobyli ogień.

A kiedy wrócą do Seattle, ktoś im słońce za to wszystko zapłaci.

Rozdział 23

Atmosfera w biurze J&L przypominała kostnicę. Zwykła, fizjologiczna konieczność zmusiła zarówno Breta, jak i Karen, by na drugą noc wrócili do domów i się przespali. Ale wychodząc, Karen powiedziała:

- Czuję się, jakbyśmy go opuszczali.

Civil Air Patrol nie wpadł na żaden ślad. Bret poprosił o dokumentację przeglądów technicznych skylane'a i razem z Dennisem, głównym mechanikiem, analizowali ją bez końca, sprawdzając, czy nie został przeoczony jakiś problem, który mógł się okazać katastrofalny w skutkach. Ale nic nie znaleźli; skylane był w doskonałym stanie, przeglądy nie wykazały niczego niepokojącego.

Charles MaGuire, krępy, siwowłosy facet, który kierował poszukiwaniami, poza tym, że oddany sprawie, był również pesymistą. Jako weteran tego rodzaju poszukiwań, wiedział, że prawie nigdy nie kończyły się dobrze. Jeśli byli ocaleni, wiedziało się o tym prawie natychmiast. W przeciwnym razie, jeśli katastrofa miała miejsce na jakimś surowym, nieprzystępnym terenie, w większości przypadków koniec końców znajdowano ciała lub to, co z nich zostało...

- Sygnał transpondera urwał się... tutaj - oznajmił, wskazując na wschód od Walla Walla. - Na terenie Umatilla National Forest. I na tym obszarze się skupiliśmy. Ale jakieś piętnaście minut później Służ-

by Kontroli Ruchu Lotniczego odebrały sygnał SOS. Bardzo zakłócony, zaledwie parę słów. Nie wiemy na sto procent, czy pochodził z tego samolotu, ale z drugiej strony to jedyny samolot, który mógł wysłać sygnał SOS. Oczywiście nie mamy danych na temat szybkości czy wysokości, ale musimy założyć, że mieli problemy od chwili, gdy przestał działać transponder.

- Cam by to zgłosił przez radio, nie czekałby piętnastu minut - orzekł Bret.

- Może próbował. Najwyraźniej miał problem także z radiem. Nie wiem, co by się mogło stać, żeby przestały działać zarówno radio, jak i transponder... Raczej, nie chodzi o problem z elektryką... Może coś uderzyło w samolot.

- Gdyby samolot był w stanie utrzymać się jeszcze tak długo w powietrzu, to Cam by wylądował - powiedział pewnie Bret. - Mówimy o facecie, który nigdy nie panikował, który urodził się ze sterami w rękach.

- Jeśli coś uderzyło w samolot, mógł zostać ranny - stwierdził MaGuire. - A ta pasażerka, pani Wingate... Jaka ona jest? Raczej by spałkowała i była kompletnie bezużyteczna, czy złapałaby za stery, żeby samolot nie zaczął pikować?

- Złapałaby za stery - włączyła się natychmiast Karen. Jak zwykle była na posterunku, słuchając każdego słowa. - Z radiem też by sobie poradziła. Nie trzeba geniusza, żeby zorientować się, jak działa. Ale siedziała z tyłu, więc musiałaby najpierw przechylić się nad fotel i Camem, żeby to zrobić.

- Tam się mogło zdarzyć dosłownie wszystko. Mogli stracić przednią szybę, a wtedy mówimy o bezpośrednim starciu z miazdzącą siłą wiatru. Nie możesz zmniejszyć prędkości na tyle, by odczuć jakąś różnicę, bo samolot spadnie. A zresztą pewnie i tak by nie wiedziała, jak zmniejszyć moc. - MaGuire wzruszył ramionami. - W każdym razie z samolotem coś było nie tak. Możemy wymyślać różne scenariusze, ale fakty są takie, że nie wiemy, co się stało, poza tym, że coś się stało. Zaczynając od miejsca, w którym urwał się sygnał transpondera, szacunkowy dystans, jaki mogli pokonać do czasu odebrania sygnału SOS, rozciąga obszar poszukiwań aż do Hell's Canyon. To cholernie duży obszar, w dodatku jeden z najsurowszych terenów w kraju. Moi chłopcy są w powietrzu od rana do wieczora, ale to trochę potrwa.

Bret był członkiem Civil Air Patrol, ale nie brał udziału w poszukiwaniach z kilku powodów, z których najważniejszy był ten, że J&L Executive Air Limo nie zamknęło swoich podwojów w chwili zaginięcia samolotu z Camem. Firma musiała działać dalej, zwłaszcza że mieli pracowników, którzy zarabiali u nich na życie. Nie latał poprzedniego dnia, bo w ogóle nie spał tamtej pierwszej nocy, ale dzisiaj musiał wziąć czarter. Karen nie odpuszczała ani firmie, ani sobie, choć miała zapuchnięte od płaczu oczy i co jakiś czas zaszywała się w łazience, żeby na nowo się wypłakać. Jeśli Bret nie chciał jej podpaść, musiał wziąć lot, który mu wyznaczyła.

- Jest jeszcze możliwość, że ktoś celowo majstrował przy samolocie - zwróciła się Karen do MaGuire'a, spoglądając buntowniczo na Breta. Niezależnie od tego, co mówił, trzymała się swojej teorii. Znużony, zmarszczył nos.

MaGuire zrobił zaskoczona minę.

- Czemu pani tak uważa?

- W przeddzień zadzwonił pasierb pani Wingate i pytał o szczegóły lotu. Nigdy wcześniej tego nie robił. Nie łączą ich zbyt przyjazne stosunki, łagodnie mówiąc. Ona zarządza wszystkimi pieniędzmi, a on chciałby się do nich dostać.

Drapiąc się w policzek, MaGuire spojrział na Breta.

- To interesujące, ale samo w sobie nic nie znaczy. Czy to możliwe, żeby pasierb miał dostęp do samolotu, no i czy miał odpowiednią wiedzę, żeby móc uszkodzić samolot w taki sposób, żeby to wcześniej nie zostało wykryte?

- Miał jakąś tam wiedzę o samolotach - powiedział Bret. - Zdaje się, że wziął parę lekcji pilotażu. Ale czy wiedział dość dużo... - Wzruszył ramionami.

- Mógł kogoś wynająć - wtrąciła z rozdrażnieniem Karen. - Nie twierdzą, że zrobił to własnoręcznie.

- To akurat racja - zgodził się MaGuire. - A co z dostępem?

Bret potarł ręką twarz.

- To małe lotnisko. Głównie obsługuje prywatne samoloty i nasze loty czarterowe. Jest ogrodzenie i są kamery, ale nie mamy tu takich zabezpieczeń jak na dużych lotniskach.

MaGuire podszedł do okna i patrzył przez nie, z rękami w kieszeniach.

- Muszę przyznać, że przez te wszystkie lata, od kiedy w tym siedzę, jeszcze ani razu nie zetknąłem się z przypadkiem sabotażu. I dopóki nikt nie przedstawi wyraźnych dowodów, że ktoś faktycznie majstrował przy samolocie, nie musimy zawracać sobie tym głowy. Z drugiej strony zawsze warto postawić na ochronę. Jest tu zawsze ktoś przez okragłą dobę?

Bret zerknął na Karen. Zmarszczyła brwi i miała wojowniczy wyraz twarzy, ale nic nie powiedziała. Podejrzał, że gdyby MaGuire tu pracował, jego prywatna korespondencja ginęłaby przez kolejne tysiąclecie.

- Nie, różnie to bywa. Czasami mechanicy pracują do późna albo mamy jakiś nocny lot. Może startować lub lądować jakiś prywatny samolot. Zależy.

- Rozumiem. Nie ma reguł. W tej sytuacji trochę trudno zaplanować sabotaż, trudno przewidzieć, czy nagle ktoś się nie zjawi. Uważam, że jeśli w ogrodzeniu nie ma żadnej dziury ani nie było włamania do terminalu, to możemy dać sobie spokój z tą teorią, a w zamian skierować wszystkie siły i środki na zlokalizowanie miejsca katastrofy.

Mówił to człowiek, który znał się na rzeczy. Jednak Karen nie podobało się, że jej teoria została odrzucona. Pogodziła się już z tym, że Cam prawdopodobnie nie żyje, ale nie mogła pogodzić się z faktem, że nie ma kogo o to obwinić.

- Proszę bardzo, chowajcie głowy w piasek - rzuciła, wychodząc z gabinetu Breta.

Bret westchnął i ciężko opadł na swój fotel.

- Przepraszam - wymamrotał. - Kiepsko to znosi. Zresztą dla mnie też jest to trudne. Razem z mechanikiem przejrzelśmy dokumentację przeglądów technicznych oraz napraw skylane'a, szukając jakiejś wskazówki, tropu, czegokolwiek. Trudno tak człowiekowi biernie czekać, nie wiedząc, co się stało.

- Przykro mi - rzekł MaGuire. - Żałuję, że nie mogę zrobić więcej. Sytuacje, kiedy wiemy, że odeszli, ale nie możemy ich znaleźć, są najgorsze. Ludzie są tak skonstruowani, że muszą wiedzieć. W tę stronę lub w tamtą, ale muszą wiedzieć.

- Tak... - westchnął Bret. Jakby kierowany wewnętrznym przymusem, jeszcze raz wziął do ręki teczkę z dokumentacją skylane'a i otworzył ją, kartkując raporty z przeglądów technicznych, potwierdzenia tankowania i całe mnóstwo innych papierów. Karen miała

wszystko w komputerze plus kopię na serwerze, ale kiedyś, na początku działalności stracili wszystkie dane, kiedy szlag trafił komputery i później wynikał straszny problem z wypełnieniem zeznań podatkowych. Od tamtej pory przechowywali całą dokumentację także w wersji papierowej, choć tak naprawdę było to zbyteczne, a do tego okropnie archaiczne. Razem z Dennisem porównali nawet zgodność wersji papierowych z dokumentami elektronicznymi, na wypadek gdyby coś zostało pominięte czy błędnie wprowadzone, o czym nie pisał nawet słowa Karen, bo chyba by im pourywała głowy za samo podejrzenie, że mogła popełnić błąd.

MaGuire przyglądał się mu ze współczuciem, dobrze wiedząc, jak trudno człowiekowi pogodzić się z tym, że czasami pewne rzeczy po prostu się dzieją, bez powodu i najmniejszego sensu.

Nagle Bret zeszytniał; wrócił na początek teczki. MaGuire ściągnął brwi i podszedł.

- Nie mów, że coś znalazłeś.

- Nie wiem - powiedział Bret. - Może źle coś odczytałem. Chodzi o potwierdzenie tankowania z tamtego ranka. - Wyciągnął jakiś papier, trzeci od góry i zaczął się w niego wpatrywać. - To błąd! - zawołał z przekonaniem. - Jakiś cholerny błąd!

- O co chodzi?

- Spójrz na liczbę zatankowanych litrów. To niemożliwe.

MaGuire spojrział na potwierdzenie tankowania.

- Sto czterdzieści litrów.

- Tak... Do zbiornika paliwa skylane'a wchodzi trzysta trzydzieści litrów. To bez sensu. Mieli zatankować do pełna. Ponownie miał zatankować w Salt Lake City, a żeby tam dolecieć, musiał mieć pełny zbiornik. Niemożliwe, żeby wystartował, nie mając nawet połowy paliwa potrzebnego, by tam dotrzeć. A nawet jeśli, to po odczytaniu wskaźnika paliwa zgłosiłby się przez radio i zatankował w Walla Walla, a nie beztrząsco leciał dalej.

- Hm.... - MaGuire studiował potwierdzenie tankowania ze ściągniętymi brwiami. Karen znów stała w drzwiach, czujna jak pantera, uważnie się wszystkiemu przypatrując i przysłuchując. - Musimy skontaktować się z firmą paliwową, sprawdzić, co oni mają w dokumentacji. Może to jakiś błąd.

W paliwo zaopatrywał ich licencjonowany dostawca. Po zatelefonowaniu dowiedzieli się, że zgodnie z ich dokumentacją tamtego dnia,

o godzinie szóstej zero dwie do skylane'a wpompowano sto czterdzieści litrów i zgadzało się to z ogólnymi zestawieniami. Wykonali kolejne telefony, i wkrótce rozmawiali z facetem obsługującym dystrybutor, który stwierdził stanowczo:

- Napelnilem zbiorniki do pełna, zgodnie z zamówieniem. Zawór się zamknął, ale jeszcze spojrzalem, żeby się upewnić. Nawet się zdziwilem, że tyle paliwa było wcześniej w zbiornikach, ale pomyślałem, że może po prostu po ostatnim tankowaniu został odwołany jakiś lot.

Samoloty, zwłaszcza czarterowe i rejsowe, nie latały obciążone niepotrzebnym paliwem. Paliwo było ciężkie, a im samolot cięższy, tym więcej spalał. Zwykle latało się z ilością potrzebną by dolecieć do miejsca docelowego, plus niewielkim zapasem, na wypadek gdyby samolot musiał zmienić trasę lotu czy z jakiegoś powodu doszło do zwłoki w lądowaniu. „Niewielki zapas” było to pojęcie względne, ale Mike, który poprzedniego dnia był skylane'em w Eugene, nigdy by nie zabrał dwa razy więcej paliwa, niż potrzebował. Żeby się upewnić, Bret wyciągnął potwierdzenia tankowania z tamtego dnia. Było niemożliwe, żeby Mike poleciał do Eugene i z powrotem, i zostało jeszcze tyle paliwa.

- Co to znaczy? - zapytała natarczywie Karen. - Cam myślał, że miał dość paliwa, żeby dotrzeć do Salt Lake City, ale nie miał? Ktoś uszkodził wskaźnik poziomu paliwa? - Tak mocno zaciskała pięści, że aż zbieleły jej kostki.

Twarz MaGuire'a zdawała się wzbogacić o dodatkowe bruzdy i zmarszczki.

- Oznacza to, że istnieje możliwość, że zbiornik paliwa wydawał się pełny, kiedy tak naprawdę nie był.

Bret zacisnął powieki. Wyglądał, jakby był chory.

- Najprostszym sposobem jest włożenie do zbiornika przezroczystego plastikowego worka wypełnionego powietrzem - wyjaśnił Karen. - Nikt go nie zobaczy, a do zbiornika nie wejdzie tyle paliwa, ile powinno. To nic skomplikowanego.

- A nie mówiłam! - zawołała, trzęsąc się od tłumionej furii. - Seth musiał coś planować, inaczej by nie dzwonił!

- Myślę, że powinniśmy przejrzeć nagrania z kamer ochrony - powiedział energicznie MaGuire.

Rozdział 24

Seth wypełnił wszystkie wymagane formularze, by zostać pracownikiem Wingate Group, spotkał się ze swoim zwierzchnikiem, pokazano mu, gdzie ma się zameldować, i dostał identyfikator pracownika. Jak się okazało, Grant Siebold ułatwił mu proces rekrutacji; nie musiał, tak jak wszyscy nowi pracownicy, nasikać do pojemniczka, by mogli mu zrobić test na obecność narkotyków. Zakładał, że to „przeoczenie” nadrobą, kiedy jego organizm zdąży się już oczyścić ze wszelkich zakazanych substancji, które wypalił lub połknął. Ogólnie stało się jasne, że jeśli nie zaprzestanie dawnych praktyk i test wykaże obecność narkotyków w jego organizmie, wyleci stąd na zbity pysk.

Będzie musiał sprawdzić w Internecie, jak długo marihuana utrzymuje się w organizmie. Na szczęście, poza paleniem trawki raczej nie ciągnęło go do narkotyków; jego ulubionym środkiem znieczulającym był alkohol. Ale nawet to musiał teraz odstawić.

Potem pojechał na zakupy. Widział, jaki obowiązuje dress code*, nawet w mail roomie: ciemne spodnie, biała koszula, krawat. Co do butów, to mogły być albo sznurowane, albo mokasyny, ale w żadnym wypadku sportowe. Czarne skarpety.

Zawsze pogardzał korporacyjnymi trutniami i ich nudnymi garniturkami, a teraz zawzięcie się do nich upodabniał. Wycieczka do Nordstrom's, gdzie musiał oprzeć się ciekawszym ubraniom, załatwiła sprawę. W drodze do domu odsłuchiwał wiadomości na poczcie głosowej - większość od ludzi, z którymi imprezował; chcieli wiedzieć, gdzie był zeszłej nocy. Nie odpowiedział nikomu. Wiadomości od Tamzin skasował, nawet ich nie odsłuchując.

Przypomniał sobie, że nie ma w domu nic do jedzenia, i zjechał do sklepu. Drugi raz tego dnia zrobił bardzo nietypowe jak na niego zakupy; nawet nie spojrzął na regały z winami i piwem. Owsianka. Płatki śniadaniowe. Owoce. Sok pomarańczowy. Mleko. Kawa. Żołądek podchodził mu do gardła na myśl, że miałby coś z tego wziąć do

* Dress code - tzw. etykieta ubioru, zasady doboru garderoby przez pracowników biurowych (przyp. red.).

ust, ale wiedział, że będzie musiał jeść. Krakersy i zupa w puszcze dopełniały opracowane przez niego menu.

Życie, jakie znał, dobiegło końca. Jeśli miał przetrwać, nie mógł pozwolić sobie na kolejne błędne decyzje i nieodpowiedzialne zachowanie. Jego dotychczasowa egzystencja była niczym ponury, szary, deszczowy dzień, który przeciągał się na kolejne tygodnie, miesiące, lata; wszystkie dni wyglądały tak samo, wszechobecna szarość nie dawała nadziei na słońce. Ale już wystarczy. Chyba zasługiwał na odrobinę kolorów.

Po powrocie do domu schował łatwo psujące się produkty do lodówki, a potem rozebrał się i położył, z nadzieją, że się zdrzemnie. Po ostatniej, bezsennej nocy był wyczerpany, ale nie mógł zasnąć. Przez jego głowę, niczym armia mrówek, maszerowały wspomnienia.

W końcu musiał jednak przysnąć, bo dzwonek telefonu sprawił, że poderwał się jak oparzony. Złapał za telefon i spojrzał zamroczony na wyświetlacz. Skoczyło mu tętno, kiedy rozpoznał numer. Wcisnął guzik i powiedział ostrożnie, z niedowierzaniem:

- Bailey?

- Bailey! - Tamzin się zaśmiała. - Wypluj to słowo!

Cholera. Seth usiadł, spuszczając nogi za łóżko.

- Tamzin. Co robisz w domu Bailey?

- To nie jest jej dom - odparła nienawistnie. - To był dom naszej matki, a teraz należy do mnie. Ty nie potrzebujesz aż tak dużego lokum; ja mam rodzinę, ty nie.

- Jak się tam dostałaś?

- Chyba nie myślisz, że zmieniła kod alarmu? Ciągłe jest ten sam co za życia ojca. No i oczywiście mam klucz.

To wcale nie było takie oczywiste; Seth podejrzewał, że przykleił się do jej lepkich palców podczas którejś wizyty, prawdopodobnie jeszcze zanim umarł ich ojciec.

- Zabieraj się stamtąd - powiedział stanowczo. - Oficjalnie Bailey nadal żyje. Nie wolno ci niczego tam ruszać.

- Co znaczy, że oficjalnie nadal żyje? Nie wystawili jeszcze aktu zgonu?

- Nie oglądasz wiadomości? - warknął. - Nie zlokalizowali jeszcze miejsca katastrofy. Nie mają ciała. A skoro nie ma ciała ani dowodów, że rzeczywiście doszło do katastrofy, nie ma aktu zgonu.

- Czemu to tak cholernie długo trwa? Ile można szukać samolotu? W końcu to nie igła w stogu siana, tylko samolot!

Poczuł tak silną niechęć, że musiał przygryźć wewnątrz policzków, żeby powstrzymać się przed powiedzeniem tego, na co miał ochotę. Nie mógł tracić panowania nad sobą. Nie mógł już mówić, co mu ślina na język przyniesie, musiał myśleć o konsekwencjach. W zamian oświadczył:

- Jeśli nie zginęła i dowie się, że samowolnie rozgościłaś się w domu, który ona uważa za swój, obetnie ci wypłaty do dwudziestu dolarów miesięcznie. Wierz mi.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Tamzin zapytała całkowicie zmienionym tonem:

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę istnieje możliwość, że ona wróci?

- Chcę powiedzieć, że lepiej nie ryzykować. Dom nigdzie nie ucieknie. Nawet jeśli potrwa to pół roku, zanim uznają ją za zmarłą, dom ciągle będzie na swoim miejscu.

- Ale ja już powiedziałam ludziom... No nic, jakoś to będzie. Och, spodoba ci się to. Dzwonił jej głupi brat, no wiesz, ten, który był na pogrzebie ojca. Miała się z nim spotkać w Denver. Dałam mu do zrozumienia, jaką była suką i jak bardzo się cieszymy, że zginęła.

Niech to szlag!

- Co dokładnie powiedziałaś?

- Nieźle mu dawałam. Nie mogłam go wtedy znieść, starał się być taki cholernie przyjacielski, kiedy dopiero co straciliśmy ojca. Powiedziałałam mu, że tylko idiota z tobą zadziera i że dostała dokładnie to, na co zasłużyła.

Satysfakcja w jej głosie była aż nadto wyraźna i Seth uświadomił sobie z całą mocą, że jego siostra go nienawidziła. Może myślała, że jeśli pójdzie do więzienia, ona będzie sprawować wyłączną kontrolę nad wszystkimi pieniędzmi. Może uda jej się załatwić, żeby go tam sprzątnęli, a wtedy cała suma będzie jej, tylko i wyłącznie. Może nienawidziła go przez całe życie, bo ich ojciec nie ukrywał, że chciał, by to on, Seth, przejął po nim Wingate Group. Jakkolwiek rozumowała, nagle wiedział bez cienia wątpliwości, że nikt nigdy nie nienawidził go tak bardzo jak jego własna siostra.

- Tak dla twojej wiadomości - wycedził - mam testament.

- No i co? Nie masz więcej rodzeństwa. - Oznaczało to, że spodziewała się zgarnąć jego pieniądze niezależnie od tego, czy miał testament, czy nie.

- Jeśli coś mi się stanie, wszystko trafi na cele dobroczynne. Nie dostaniesz złamanego centa. - Rozłączył się i siedział przez chwilę, cały roztrzęsiony. Potem zadzwonił do swojego adwokata i wprowadził swoje słowa w życie.

Pierwszego dnia pracy stawiał się pół godziny wcześniej. Nie mógł spać, poza tym obawiał się, że mogą być korki i się spóźni. Nie wiedzieć czemu, był zdenerwowany. Jak trudne może być sortowanie i dostarczanie poczty? Najtrudniej będzie znieść zaciekawione spojrzenia, bo był prawie dwukrotnie starszy od najmłodszego pracownika mail roomu. Dobrze chociaż, że nikt nie kojarzył go z wyglądu, poza paroma dyrektorami, ale wątpił, żeby miał się widzieć z któryś z nich. Jeśli będzie musiał dostarczyć im listy bądź przesyłki, odbiorą je od niego ich asystentki. Całe szczęście, że istniała ta hierarchizacja.

Zaczęli schodzić się pozostali pracownicy mail roomu, większość z obowiązkową kawą ze Starbucksa w ręce. Seth się wyróżniał także i pod tym względem. Nie był wielbicielem coffehouse'ów. Kawa była okej, ale najbardziej lubił czarną, bez żadnych udziwnień, i nie cierpiał szczególnie, kiedy nie było jej wcale. Pomyślał, że może powinien się przełamać, żeby lepiej się tu wpasować. Albo kupić coś z tych wynalazków, wylać kawę, zachować kubek i napełniać go swoją zwyczajną kawą. Ciekawe, jak długo jest w stanie wytrzymać taki kubek, zanim się rozpadnie.

Jego współpracownicy przyglądali się mu, nie wiedząc, co o nim myśleć. Może brali go za kogoś z góry. A co tam, jest starszy, więc zrobi pierwszy krok.

- Jestem Seth - przedstawił się. - Od dzisiaj tu pracuję.

Spojrzeni po sobie nawzajem. Jedna z dziewczyn, wysoka, szczupła, o zimnych oczach mangusty, zapytała:

- Tutaj? W mail roomie?

- Zgadza się.

Jeszcze więcej spojrzeń.

- Wypuścili cię właśnie z kicia czy co?

Odwrotnie, staram się, by mnie tam nie wsadzili.

- Nie - odparł swobodnie. - Byłem przez piętnaście lat w śpiączce i w końcu się obudziłem.

- Serio? - zapytał jeden z chłopaków, mocno zaskoczony. - Jak to się stało?

- Sztachnąłem się olejem w spreju.

- Bzdura - parsknęła mangusta. - Musiałbyś mieć poważnie uszkodzony mózg, żeby być tak długo w śpiączce.

Wredna, ale mądrzejsza od pozostałych dzieciaków.

- Kto mówi, że nie mam? - odparł i się odwrócił.

Kierownikiem mail roomu była niska, przysadzista, siwowłosa kobieta; nazywała się dość niezwykle, Candy Zurchin, i ubierała się jak typowa babcia: granatowy blezer, szara spódnica, czarne, sznurowane buty. Pod jej rządami w mail roomie panowała dyscyplina, której mogły pozazdrościć katolickie szkoły. Miała na swoje rozkazy wszystkie te dzieciaki, łącznie z mangustą, która mówiła „tak, proszę pani”, za każdym razem, kiedy Candy kazała jej coś zrobić - i, co niezwykle, mówiła to bez sarkazmu.

Seth poskromił swoje ego, dumę i temperament, robiąc wszystko, o co prosiła, bez słowa komentarza czy skargi. Nie musiał być bystrzakiem do tej pracy, ale kiedy spojrzał na to wszystko obiektywnie, zrozumiał, że to dobry trening - choć niezwykle nudna, wymagała dyscypliny oraz zwracania uwagi na detale. Pokusa, by poluzować, była przemożna; niektórzy jej ulegali. Gdyby należał do wyższego kierownictwa, zwracałby baczną uwagę na zastrzeżenia czy ewentualne rekomendacje Candy Zurchin.

Praca była prosta: sortowanie i dostarczanie przychodzących listów oraz przesyłek, odbieranie korespondencji wychodzącej, naklejanie odpowiednich znaczków i naklejek adresowych, pakowanie rzeczy wymagających zapakowania i nadawanie tego wszystkiego jeszcze tego samego dnia. I tak w kółko. Praca była mało urozmaicona i nie miała końca. Był zdumiony, na jaką skalę prowadzona jest tradycyjna korespondencja. Czy ci ludzie nie słyszeli nigdy o mailach? Ale maile wydawały się zarezerwowane dla komunikacji pomiędzy poszczególnymi działami a poszczególnymi pracownikami; korespondencja zewnętrzna, ważne dokumenty, kontrakty, to wszystko nadal było na papierze.

Może Siebold poinstruował Candy, żeby nie pozwalała mu się chować w podziemiu, bo już pierwszego dnia rzuciła go na głęboką wodę z wózkiem pełnym listów oraz przesylek.

- Najlepszą nauką jest praktyka - powiedziała pogodnie. - Biura są czytelnie oznaczone. Jeśli nie będziesz mógł kogoś znaleźć, pytaj.

Oczywiście miał dostarczyć pocztę ludziom z samej góry. Jeśli to, że zostanie przez kogoś rozpoznany, miało go upokorzyć na tyle, że zrezygnuje, Grant Siebold chciał, żeby stało się to jak najszybciej.

Seth wiele się tego dnia dowiedział. Tego, że pracownicy mail roomu byli przeważnie niewidzialni. Tego, że jedna z asystentek miała idealny manikiur, bo też i poświęcała temu dużo uwagi. Kto grał w gry komputerowe. Kto był lubiany, a kto nie; to akurat łatwo było stwierdzić na podstawie zachowania asystentek. Jeden z wicedyrektorów pił w pracy; Seth wyczuł słaby, ale niepozostawiający wątpliwości charakterystyczny zapach, ledwie przekroczył drzwi. Czuł też odświeżacz powietrza, który miał zabić ten zapach. Asystentka zauważyła, jak węszył, i posłała mu lodowate spojrzenie, które mówiło: „Nic nie wiesz, niczego nie widzisz, niczego nie czujesz”. Skinał głową i poszedł dalej.

Dowiedział się też, że miał złudzenie własnej wielkości, bo nie rozpoznała go ani jedna osoba.

Rozdział 25

Późnym popołudniem Cam wziął swoje nowe skórzane ochraniające na buty na jazdę próbną - a raczej, spacer próbny. Były dość prymitywne, wiązane częściowo sznurowadłami z jego butów, częściowo przewodami instalacji elektrycznej, z dziurkami wydłubanymi jego scyzorykiem. Ale były odpowiednio giętkie, sięgały prawie do łydki, skutecznie zakrywając jego półbuty, a do tego dostatecznie duże, żeby do środka upchnąć jeszcze coś w charakterze dodatkowej izolacji; poświęciła kolejną koszulę. Wszystko to razem sprawiało, że jego stopy były teraz o wiele lepiej chronione; a także, dzięki ognio-
niowi, zupełnie ciepłe.

Dzień był niezwykle pracowity, ale co dziwne, nie odczuwali zmęczenia. Siedzieli obok siebie na wypchanym worku, naprzeciwko ogniska; ona szła mu ochraniacze na buty, on kleił prowizoryczne sanki, na których mieli ciągnąć swój cenny dobytek; zrobił też rakiety śnieżne dla nich obojga. Kiedy śnieg w butelce się stopił, pili. Ponieważ teraz, kiedy mieli ogień, śnieg topił się o wiele szybciej, po raz pierwszy, od kiedy się rozbili, mogli napić się do woli i wreszcie przestało dokuczać im pragnienie.

Czuła się zaskakująco zadowolona, siedząc tak obok niego, przeważnie w milczeniu, i pracując. Daleko jej było jednak do zupełnej beztrójki. Czekwała ich długa, niebezpieczna wędrówka, której mogli nie przeżyć. Góry były zdradzieckie, surowe i nie wybaczały błędów. Nawet jeśli im się uda, pozostawał jeszcze fakt, że ktoś usiłował ich zabić, a wszystko wskazywało na to, że tym kimś był Seth.

Udowodnienie, że to on za tym stał, mogło być jednak trudne. Przede wszystkim dlatego, że dowody znajdowały się tutaj, rozrzucone na górskim stoku. Nawet jeśli odnajdą wrak, było możliwe, że wcześniej wszystkie przydatne w sądzie dowody ulegną zniszczeniu w tych warunkach pogodowych. Choć może zimno raczej konserwowało - nie była pewna. Musiała przygotować się na realną możliwość, że choć ona i Cam wiedzieli, że ktoś próbował ich zabić, mogą nigdy nie zdołać tego dowiedzieć. Czy będzie w stanie żyć tak jak dawniej z tą świadomością? Czy będzie zdolna do dalszych potyczek z Sethem? Raczej nie. Będzie musiała odstąpić od umowy, którą zawarła z Jimem, co, nawet w zaistniałych okolicznościach, niezbyt jej się podobało.

Ale to wszystko czekało ją w przyszłości, zakładając, że jej dożyje. Teraz było ważne to, co tu i teraz, bo miała na to wpływ. Myśl ta podbudowywała, dodawała otuchy. Nie oczekiwała już rozpaczliwie na pomoc, bo zrozumiała że nie nadejdzie. Mieli plan i wprowadzali go w życie, polegając na sobie, na własnej pomysłowości, determinacji i harcie ducha. Jak dla niej, w porządku.

Kiedy uporowała się z ochraniaczami na buty, zabrała się do rozwiązywania problemu z jego garderobą czy też jej brakiem. Wzięła swoje dwie flanelowe koszule - całe szczęście, że zabrała ich tyle na te dwa tygodnie raftingu - i połączyła je guzikami w jedno duże, niezgrabne „coś”. To „coś” miało dziwny kształt, ale żadne z jej ubrań nie było

na tyle duże, by pomieścić jego tors i ramiona. Natychmiast się w to ubrał, rękawy były za krótkie, do tego dwa z nich wisiały bezużytecznie na plecach, ale była to ochrona przed zimnem, jakiej wcześniej nie miał, a do tego nie musiał wiecznie czegoś poprawiać. Koszule miały różne wzory, więc wyglądało to dziwnie, ale liczyło się przede wszystkim, żeby było mu ciepło.

Postanowili, że to ona powinna włożyć ocieplaną kamizelkę, bo na nią pasowała. On włożył jej nowiutkie ponczo przeciwdeszczowe, które może nie będzie go grzało, ale ochroni przed wiatrem. Miała jeszcze parę pomysłów na dodatkowe warstwy ochronne, musiała tylko dopracować szczegóły.

Problemem były jego nogi. Ona mogła wciągnąć kilka par spodni dresowych, ale on miał tylko jedną parę, garniturowych. Chociaż dresy miały gumkę w pasie, i tak nie mógł się w nie wbić, bo nogawki były dla niego za krótkie i za wąskie.

W końcu przyszło jej coś do głowy.

- Chyba mogłabym ci zrobić czapsy* - powiedziała.

Uniósł wzrok znad rakiety śnieżnej, którą klecił z gałązek i kabli. Ściągnął brwi w udawanym zdumieniu.

- Nie mów tylko, że wzięłaś ze sobą garbowaną skórę.

- Mądrała. Jak jesteś taki dowcipny, to możesz sobie marznąć.

Nachylił się, by stuknąć ją w ramię swoim.

- Przepraszam. Co tym razem zrodziło się w mądrej główce?

- Mam cztery ręczniki z mikrofibry.

Myślał przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Okej, to akurat ma sens. Ręczniki rzeczywiście mogły ci się przydać podczas dwutygodniowej wyprawy.

- Dziękuję, Panie Sceptyczny - powiedziała ironicznie i zaczęła wyjaśniać. - Jeśli zrobię małe nacięcia wzdłuż brzegów ręczników, ale bez przecinania samych brzegów, tylko trochę dalej, to będę mogła przewlec przez nacięcia jakiś pasek z materiału i obwiązać cię w pasie. Potem połączę w ten sam sposób brzegi ręczników zwisające wzdłuż twoich nóg i proszę bardzo, masz czapsy.

- Jak na kogoś, kto nie umie szyć, jesteś bardzo użyteczna.

* Czapsy - długie, sięgające od stóp po pachwiny ochroniacze, najczęściej ze skóry; część stroju kowboja (przyp. red.).

Zaśmiała się.

- To chyba jakaś ironia losu. Zawsze miałam awersję do igły i nici, a teraz muszę szyć różne rzeczy, nie wyłączając twojej głowy. Litości!

Spojrzał na rakieta śnieżną w swoich rękach i parsknął:.

- Nic mi nie mów. Zawsze nienawidziłem śniegu, zimna... a teraz tylko patrz.

- Skoro nienawidzisz śniegu, to skąd wiesz, jak robi się rakietę śnieżną?

- Zasada jest prosta: chodzi o rozłożenie ciężaru ciała na większą powierzchnię, trzeba więc tylko zrobić płaską, prostą konstrukcję, i przymocować do buta.

Patrzyła, jak robi rakieta śnieżną z mniejszych, bardziej giętkich gałązek. Jego duże dłonie były tak zwinne i pewne, jakby robił to już co najmniej z tysiąc razy. Znowu przepełniło ją to uczucie zadowolenia, że była dokładnie tam, gdzie jej miejsce - nie, że uwięziona w górach, tylko że właśnie tu i teraz.

Walka o przetrwanie była trudna i wyczerpująca, ale toczyła się na zewnątrz. W środku czuła się dziwnie wolna od stresów, bo jej wybory były proste: jeśli chciała żyć, musiała zrobić to i to. Zbudować szałas. Utrzymać możliwie jak najwyższą temperaturę ciała. Stopić śnieg do picia. W walce o przetrwanie nie było nic skomplikowanego, podczas gdy życie składało się z samych komplikacji.

A jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy będzie po wszystkim. Marzyła o gorącym prysznicu. Spłukiwanej toalecie. A nawet supermarkecie.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę? - zapytała tęsknie.

Odchrząknął, a potem się roześmiał. Bailey, która w wyobraźni przemierzała właśnie alejki supermarketu, wpatrywała się w niego przez chwilę, zdumiona, zanim dotarło do niej, co przed chwilą powiedziała. Zaczerwieniła się.

- Nie na to. - Pacnęła go. - Ani słowa więcej. Myślałam o dużym garnku parującego chowdera*, z kukurydzą, ziemniakami, skwarkami i tartym serem na wierzchu. - Ślinka napłynęła jej do ust.

* Chowder - zupa rybna lub z owoców morza, popularna na Wschodnim Wybrzeżu USA (przyp. red.).

Kciukiem otarł łzy z oczu i mruknął:

- Ja jestem raczej mięsożercą. - Spojrzenie, które jej posłał, wyraźnie mówiło, że nie myślał o steku, i zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

Pchnęła go, próbując pozbyć się go ze wspólnego siedziska.

- Spadaj! Odejdź ode mnie, ty świntuchu o kosmatych myślach!

- Przyznaję się do wszystkiego - westchnął, ale nie ruszył się nawet o centymetr.

- Mówię poważnie! Spadaj. Idź wypróbować swoje buciki.

Ciągle się śmiejąc, wstał i odszedł. Bailey patrzyła za nim, jak szedł do samolotu, nieświadomie zatrzymując wzrok na jego poślach i długich nogach; kiedy dotarło do niej, co robiła, natychmiast oderwała spojrzenie. Choć w sumie nie było takiej potrzeby, dołożyła gałęzi do ognia, żeby się czymś zająć.

Uświadomiła sobie, że ją uwodził. Naprawdę ją uwodził. Słowami, śmiechem, wykorzystując to, że musieli polegać na sobie nawzajem. Nie mogła odwrócić się do niego plecami i odejść, nie mogła odgradzić się od niego, bo żeby przetrwać, musieli być blisko siebie, musieli współpracować.

Może po prostu powinna mu ulec, podpowiedział jej wewnętrzny głos rozsądku, zgodzić się na seks. Wtedy skończy się uwodzenie; Cam nie będzie miał powodu, by to ciągnąć. Przystanie nastawać na jej serce, bo uzna, że już je zdobył. Jej emocje będą nadal bezpieczne.

Nigdy nie była zakochana, nigdy tego nie chciała. Teraz, po raz pierwszy w życiu, bała się, że istnieje realne ryzyko, bała się, że ten mężczyzna jest w stanie zbliżyć się do niej tak bardzo, że po jego odejściu ona zostanie emocjonalnie poobijana. Była zakładniczką sytuacji, w której się znaleźli, i ta świadomość była przerażająca. Nie mogła od niego uciec, nie mogła go odstraszyć. Gdyby to był jakiś inny facet, może by potrafiła, ale on ją przejrzał na wylot. Nie wiedziała jak, ale przejrzał. Jakimś cudem za bardzo się odsłoniła, i teraz nie mogła już nic z tym zrobić.

Nie cierpiała uczucia bezwolności. Nie podobała jej się myśl, że jeszcze parę dni i będzie jej na nim zależeć bardziej, niż kiedykolwiek zależało jej na innej istocie ludzkiej, no, może poza jej bratem, ale to zupełnie co innego.

Pragnienie wodzenia za nim wzrokiem było absolutnie nieznośne i w końcu niechętnie uległa. Patrzyła, jak kuczał, oglądając prawie

skrzydło. Widziała tylko skrawek jego włosów, bo na głowie ciągle miał bandaż; ale przynajmniej głowa była zabezpieczona przed zimnem. Wyglądał jak włóczęga w tej dziwacznej zbieraninie ciuchów - w większości był nimi obwiązany, bo nie mógł ich na siebie wciągnąć - ale mimo to zachowywał się, jakby miał na sobie wojskowy mundur, bo po prostu nie dbał o to, że wyglądał jak kloszard. Tak samo jak o to, że musiał nosić damskie ciuchy, choć trzeba przyznać, że zabrane przez nią spodnie dresowe i koszule flanelowe nie były zbyt kobiece. Przypuszczała, że nie wzruszyliby go nawet, gdyby wszystko, co ze sobą wzięła, miało falbanki. Był tak pewny siebie, że jakieś głupie falbanki nie miały żadnego znaczenia.

Nagle sięgnął pod samolot, a potem przykleknął i zaczął gmerać pod skrzydłem. Poderwała się, zaniepokojona. Co on, oszalał? Owszem, od kiedy spadli, samolot nie zmienił swojego położenia nawet o centymetr, ale to nie znaczyło, że nie może tak się stać, zwłaszcza że Cam pod nim rył i za coś ciągnął.

- Co robisz?! - zawołała, biegnąc do niego, zdecydowana odciągnąć go siłą, jeśli nie odsunie się z własnej woli.

Odstąpił od samolotu, z szerokim uśmiechem na posiniaczonej twarzy; w ręce coś trzymał.

- Znalazłem moją marynarkę - oznajmił triumfalnie.

Samolot był czarny. Marynarka również. Wbita w śnieg, zlewała się z czarnym, pogiętym metalem, a że dodatkowo było to mocno zacienione miejsce, nic dziwnego, że jej wcześniej nie zauważyli. Świetnie, że w końcu ją znaleźli, ale bardziej interesowało ją, co innego.

- W kieszeni ciągle są batony? - zapytała niecierpliwie.

Poklepał kieszeń, nadal się uśmiechając.

- Tak.

- Zjemy je teraz czy rano? - Była tak głodna, że mogłaby zjeść konia z kopytami.

- Rano. Musimy mieć energię. Ale wieczorem możemy podzielić się kolejnym snickersem. Cukier to złudne źródło energii, ale przecież w nocy i tak będziemy spać.

Westchnęła. Wiedziała, że miał rację. Nie była zachwycona, ale nie mogła się nie zgodzić. Zresztą batony pewnie i tak były zamrożone; lepiej będzie, jak najpierw się rozmrożą.

Strzepał śnieg z marynarki; Bailey wzięła ją od niego. Musiała wyschnąć, zanim będzie mógł ją włożyć, ale teraz mieli ogień, więc nie było problemu. Jego myśli krążyły po tej samej orbicie. Spojrzał w niebo i powiedział:

- Lepiej nazbieram więcej gałęzi, póki jeszcze widno. Musisz coś jeszcze zrobić?

- Zabiorę się do tych czapsów dla ciebie. Ale to nie zajmie dużo czasu, może pół godziny. A przy okazji, jak tam ochraniacze na buty?

- Są świetne. Śnieg nie włązi mi do butów, no i mam teraz lepszą przyczepność. - Położył dłoń na jej karku i przyciągnął do siebie, by dać jej szybkiego buziaka, który trochę się przeciągnął. Potem oderwał wargi od jej ust i delikatnie oparł swoje czoło o jej. - Chodź, dokończmy robotę, żebyśmy mogli pójść do łóżka.

Rozdział 26

Bailey martwiła się, że kiedy Cam powiedział o pójściu do łóżka, miał na myśli coś więcej niż tylko spanie, ale on, oprócz tego, że był lepszym strategiem, niż sądziła, zdawał sobie sprawę ze swojej kondycji fizycznej. Zjedli po połowce snickersa, napili się wody, umyli zęby i ułożyli w szałasie. Nikłe światło padające od ogniska przenikało przez ściany z gałęzi i po raz pierwszy nie leżeli w kompletnych ciemnościach. Co prawda, do środka nie mogło napłynąć od ogniska za wiele ciepła, ale albo ta ilość była wystarczająca, by odczuli różnicę, albo po prostu sam fakt posiadania ognia dawał im poczucie większego komfortu.

Jednak nie było na tyle ciepło, żeby mogli zrezygnować z ogrzewania się nawzajem. Nawet jeśli układając się w jego ramionach, była boleśnie świadoma, że za każdym razem, kiedy to robił, pogłębia swoje przywiązanie do niego. Ale nie mogła nic z tym zrobić; nie mogła zawrócić z drogi, nie mogła uniknąć upadku z emocjonalnego urwiska, które majaczyło na horyzoncie. Choć wiedziała, że ta podróż skończy się katastrofą, jedyne, co mogła, to się nią cieszyć.

Choć mieli teraz lepsze warunki do snu, chyba nie było jej dane wypaść się tej nocy. Drzemała, ale budziła się za każdym razem, kiedy wychodził z szałasu, żeby dolożyć do ognia. Raz przebudzenie było bardzo gwałtowne; Cam potrząsał nią, mówiąc:

- Bailey. Bailey. Obudź się. Wszystko w porządku, skarbie. Obudź się.

- Co? - zapytała oszołomiona, podnosząc się na łokciu i wpatrując się w niego w słabym świetle. - Coś się stało?

- Ty mi powiedz. Płakałaś.

- Tak? - Przejechała dłonią po mokrych policzkach, mruknęła „cholera” i z powrotem opadła na posłanie. - Nic się nie stało - wymamrotała, skrzepowana. - Czasami mi się to zdarza.

- Płaczesz przez sen? Coś ci się śni?

- Z tego co wiem, to nie. - Wzruszyła nonszalancko ramieniem. - Po prostu tak się zdarza i już. - Wiedziała, że to głupie. Nie cierpiała płakać, a kiedy jeszcze nie było ku temu żadnego powodu, tym bardziej ją to złościło. Wychodziła na słabą czego nie mogła znieść. Odwróciła się od niego, głowę ułożyła na swojej podwinętej ręce. - Śpij, wszystko w porządku.

Jego ciepła dłoń zsunęła się z jej biodra i umościła na jej brzuchu.

- Od jak dawna ci się to zdarza?

Chciała mu powiedzieć, że ma tak przez całe życie, bo wtedy by uznał, że to nic niezwykłego i zapomniał o temacie, ale prawda sama wypłynęła z jej ust.

- Od jakiegoś roku.

- Od śmierci twojego męża.

Dłoń na jej brzuchu nagle znieruchomiała.

Westchnęła.

- To zaczęło się jakiś miesiąc po jego śmierci.

- Czyli go kochałaś.

Jego głos się zmienił; między innymi wyłapała lekką nutę niedowierzania i nagle uznała, że nie znieśie dłużej domysłów i błędnych założeń dotyczących jej życia.

- Nie. Szanowałam Jima. Lubiłam go. Ale nie kochałam Jima, tak jak i on nie kochał mnie. To była umowa, czysty układ biznesowy. I to był jego pomysł, nie mój. - Jeśli zabrzmiało to jakby się broniła, no cóż, poniekąd się broniła; miała dość tego wszystkiego. Jednocześnie, w końcu z kimś o tym rozmawiając, czuła ulgę. Poza nią, tylko Grant Siebold wiedział, jaka była prawda, ale od śmierci Jima rzadko się z nim widywała.

- Na czym dokładnie polegała ta umowa?

Tym razem nie mogła nic wyczytać z jego tonu, ale trudno. Jeśli ma myśleć o niej źle z powodu tego, że przystała na plan Jima i ciągnęła z tego profity, lepiej, żeby wyjaśnili sobie wszystko teraz.

- Jim... miał w sobie coś z makiawelisty. Znał się na ludziach, miał talent do podejmowania dobrych decyzji, i chyba to sprawiło, że wyrobił w sobie nawyk manipulowania innymi. Nie zrozum mnie źle, nie był pozbawiony skrupułów. Miał swój kodeks moralny, którego się trzymał.

- Zawsze go lubiłem. Był bezpośrednim, życzliwym facetem. - Ciągłe ten nic niemówiący ton.

- Bardzo lubiłam dla niego pracować. Nie zdradzał Leny, nie postrzegał swoich pracowników jako obiektów seksualnych, więc nie musiałam mieć się przed nim na bacności. Był życzliwy, przyjacielski, radził, jak inwestować; czasem korzystałam z tych rad, czasem nie. Mówił, że jestem zbyt ostrożna. Odpowiadałam, że wolę nie ryzykować z moją emeryturą. Śmiał się ze mnie, ale niektóre z moich decyzji inwestycyjnych wzbudzały jego zainteresowanie. - Wzięła głęboki oddech. - A potem Lena umarła.

- A on poczuł się samotny.

- Zupełnie nie o to chodziło - powiedziała rozdrażniona. - Jim i Lena spisali swoje testamenty wiele lat temu, kiedy Seth i Tamzin byli jeszcze mali. Jak większość par, uczynili siebie nawzajem wyłącznymi beneficjentami, zostawiając pozostałemu przy życiu małżonkowi decyzję, jak rozdysponować majątek między dzieci. Choć Jim pomnażał swój majątek, o testamencie jakoś zapomniał i nigdy go nie zaktualizował. Kiedy Lena zmarła, uświadomił sobie, że musi go w końcu uaktualnić, ale kiedy patrzył na swoje dzieci, nie podobało mu się to, co widzi.

- Nie jemu jednemu - wtrącił ironicznie Cam. - I nadal się nie podoba.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Zwłaszcza że młody Wingate był jedyną osobą na ich liście podejrzanych. - W każdym razie był w trakcie ustanawiania dla nich funduszy powierniczych, kiedy dowiedział się, że ma zaawansowanego raka. Zawsze miał nadzieję, że Seth się ocknie, usatkuje, że zacznie interesować się firmą, ale kiedy dowiedział się, że jest umierający, uznał, że nie może ryzykować, dając Sethowi więcej czasu. Tak więc, uknuł plan.

- Pozwól, że zgadnę.

- Ależ proszę bardzo.

Prychnął, rozbawiony jej sarkastycznym tonem.

- Twardzielka z ciebie, co? To pewnie dlatego cię wybrał. Okej, zgaduję: chciał zatrudnić ciebie do nadzoru nad ich funduszami powierniczymi, ale wiedząc, że będziesz musiała przez resztę życia użerać się z Sethem i Tamzin, policzyłaś sobie tyle, że jedynym sposobem, by go było na ciebie stać, było ożenie się z tobą.

Jej wcześniejsze rozdrażnienie ustąpiło miejsca rozbawieniu i się roześmiała.

- Żałuję, że nie byłam na tyle rozgarnięta. Ale w sumie, jesteś całkiem blisko. Pamiętaj, że Jim był manipulatorem. Tu trochę poząnglował, tam pociągnął za odpowiedni sznureczek i zawsze miał pod ręką jakąś kość, żeby rzucić. Nie mógł nic na to poradzić; taki już był. Tamzin spisał na straty, ale nigdy nie stracił nadziei co do Setha. Wymyślił, że kiedy się ze mną ożeni i przekaże mi kontrolę nad ich funduszami powierniczymi, będzie to dla Setha wystarczające upokorzenie i wstrząs, żeby zapaliło mu się w głowie światełko i zmienił swoje życie.

- O tak, jego plan powiódł się doskonale. Jeśli już Seth widział jakieś światełko, to to nad barem w jego ulubionym nocnym klubie.

- Właśnie - przytaknęła, po czym westchnęła. - Gdyby Seth zaczął zachowywać się jak dorosły, odpowiedzialny człowiek, miałam przekazać mu kontrolę nad funduszami powierniczymi, ale Seth nie mógł się dowiedzieć o tej części umowy. Jim zdawał sobie sprawę, że Seth jest sprytny; mógł udawać, co trzeba i ile trzeba, by przejąć kontrolę nad funduszami, a potem powrócić do swojego dawnego życia. Jim był pewien, że jego plan zadziała. Ale na razie tak się nie stało.

- Nie musiał się z tobą żenić - zauważył Cam. - Wystarczyłyby odpowiednie zapisy w funduszu powierniczym.

- Małżeństwo ze mną było częścią terapii wstrząsowej, której Jim chciał poddać Setha, żeby ten coś ze sobą zrobił. Gdybym była zwykłym zarządcą funduszu powierniczego, gdzieś tam w tle, Seth byłby wściekły, ale nie upokorzony. Tu chodziło o moją osobę: jestem młodszą od Setha; najprawdopodobniej wykorzystałam starszego, umierającego człowieka; wprowadziłam się do domu, który kiedyś był domem jego matki. Wszystko to razem miało go zmobilizować, żeby coś zmienił w swoim życiu.

- Okej, a więc mam już odpowiedź na jedno pytanie - stwierdził.

- A to pytanie brzmi...?

- Dlaczego się z tobą ożenił.

Czy nie tego właśnie dotyczyła ta rozmowa? Co jeszcze chodziło mu po głowie?

- A jakie jest drugie pytanie?

- Dlaczego ty wyszłaś za niego.

Bailey myślała, że już to wyjaśniła. Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi, choć pewnie nie mógł tego widzieć w nikłym świetle padającym od ogniska.

- Mówiłam ci. Zawarcie małżeństwa było częścią umowy.

- Ale czemu się na to zgodziłaś? Małżeństwo to bardzo poważny krok.

Nie w jej rodzinie. Jej rodzice postrzegali małżeństwo jako prawne udogodnienie, z którego można zrezygnować, jak tylko nadarzy się jakaś inna okazja. Jednak postanowiła się w to nie zagłębiać. W zamian powiedziała ze znużeniem:

- Nigdy nie byłam zakochana. Więc pomyślałam: czemu nie? Umierał. Uznałam, że mogę to dla niego zrobić, w zamian on mi gwarantował zabezpieczenie finansowe.

- Czyli zostawił ci jakieś pieniądze?

- Nie, to nie tak. - Nie czuła już ulgi; tak naprawdę zaczynała mieć tej rozmowy serdecznie dosyć. - Mam pewne przywileje: mieszkam w jego domu, wszelkie rachunki są za mnie regulowane, do tego otrzymuję bardzo korzystne, comiesięczne wynagrodzenie za zarządzanie funduszami, ale niczego nie odziedziczyłam. Przywileje skończą się, kiedy powtórnie wyjdę za mąż, ale tak długo, jak będę zarządzać funduszami, będę otrzymywać wynagrodzenie.

- Rozumiem. Nawet nie zapytam, co uważasz za „bardzo korzystne” wynagrodzenie.

- To dobrze, bo to nie twoja sprawa - odparła cierpko.

Przysunął się do niej, opierając brodę na jej ramieniu.

- Ale jeszcze coś nie daje mi spokoju. Naprawdę nigdy nie byłaś zakochana? Nigdy?

Zejście na ten temat sprawiło, że poczuła się nieswojo. Poruszyła się niespokojnie.

- A ty byłeś?

- Jasne. Parę razy.

Słyszac „parę razy”, skrzywiła się. Jak mógł być zakochany parę razy? Chyba że nie tak naprawdę. Jeśli się kogoś naprawdę kocha,

uczucie to nie powinno zgasnąć. Prawdziwa miłość rozrasta się, robi miejsce dla dzieci, zwierzaków, całego zastępu krewnych i przyjaciół. Prawdziwa miłość nie ma daty ważności, po której wygaśnięciu przeczucasz się na kogoś innego.

- Kiedy miałem sześć lat, zakochałem się do szaleństwa w mojej nauczycielce z pierwszej klasy, pani Samms - powiedział, a ona słyszała uśmiech w jego głosie. - Była świeżo po college'u, miała takie duże, niebieskie oczy i pachniała piękniej od czegokolwiek innego, co w życiu wahałem. Ale była też zaręczona, z jakimś draniem, dla którego była o wiele za dobra, a ja byłem tak zazdrosny, że chciałem go pobić.

- Zakładam, że miałeś dość oleju w głowie, by jednak tego nie próbować - rzuciła Bailey, odprężając się. Nie mogła traktować na serio zauroczenia sześciolatka swoją nauczycielką.

- Powiedzmy. Nie chciałem zmartwić pani Samms, zabijając jej chłopaka.

Parsknęła, a on ukarał ją lekkim uszczyptnięciem.

- Nie śmiej się. Byłem poważnie zaangażowany. Zamierzałem poprosić panią Samms o rękę, kiedy dorosnę.

- No i co stało się z tą wielką miłością?

- Zacząłem drugą klasę. Byłem starszy, bardziej dojrzały.

- Dojrzały. Jasne.

- Za drugim razem wybrałem sobie bardziej odpowiedni obiekt westchnień. Miała na imię Heather, chodziliśmy do jednej klasy. Któregoś dnia podciągnęła spódniczkę i pokazała mi swoje majtki.

Ledwo powstrzymała kolejne parsknięcie.

- Boże. Ale ta Heather była szybka.

- Nawet nie masz pojęcia. Złamała mi serce, kiedy nakryłem ją, jak pokazywała majtki innemu chłopcu.

- Co za rozczarowanie. Zupełnie nie wiem, jak ty się z tego otrząsałeś.

- Potem, kiedy miałem jedenaście lat, była Katie. Ach... Katie. Jak ona cudownie odbijała szybkie piłki. Nie uwierzyłabyś. Wyprowadziła się, zanim zebrałem się na odwagę, żeby zrobić jakiś krok... Ale sprowadziła się z powrotem, kiedy miałem czternaście lat. Kiedy miałem szesnaście, Katie pokonała mnie w zapasach i wykorzystała.

- Och, no co ty powiesz. Niektóre dziewczyny to dopiero mają tupet!

- Była silna - powiedział poważnie. - Tak się jej bałem, że przez parę kolejnych lat pozwaliałem, by robiła ze mną, co chciała.

Sięgnęła w tył i odpłaciła za uszczypnięcie w ten sam sposób.

- Ała! Opowiadam ci o tym, jak byłem wykorzystywany i maltretowany, a ty, zamiast mi współczuć, też się nade mną znęcasz? Nie ma innego sposobu traktowania faceta?

- Biedactwo. To musiały być dla ciebie traumatyczne przeżycia. Już rozumiem, czemu nazwałeś pewną część ciała Figlarny Charlie.

- Rozważałem jeszcze Roztropny Joe, ale musiałem pójść za głosem serca.

Bailey kompletnie straciła nad sobą kontrolę i zaczęła się śmiać.

- Justice, jesteś absolutnie niemożliwy.

- Śmiejesz się z moich mąk i perturbacji na miłosnym polu? Nie wiem, czy powinienem opowiedzieć ci resztę.

- To ile ich jeszcze było?

- Tylko jedna. Ale ta była na serio. Ożeniłem się z nią.

Zrobiło się poważnie i Bailey przestała się śmiać; słyszała po jego głosie, że już nie żartował.

- I co się stało?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie zdradzałem jej i nie sędzę, żeby ona zdradzała mnie. Pobraliśmy się, kiedy byłem jeszcze w szkole lotniczej. Jej ojciec był wojskowym; była przyzwyczajona do takiego stylu życia i wiedziała, czego się spodziewać. Na imię miała... ma Laura. Przeprowadzki z bazy do bazy, okresy rozłąki, wszystko to znosiła bardzo dobrze. Ale zdaje się, że nie była w stanie poradzić sobie z cywilnym życiem. Kiedy zrezygnowałem ze służby wojskowej, wszystko się posypało. Gdybyśmy mieli dzieci, może byśmy zostali razem, ale nie było dzieci i smutne fakty są takie, że nie kochaliśmy się na tyle, żeby kontynuować to małżeństwo.

- Całe szczęście, że nie mieliście dzieci! - wyrwało się jej. - Przepraszam. Chodzi tylko o to, że...

- Wiesz, jak to jest.

- Aż za dobrze.

- Pewnie to dlatego boisz się zaangażować - powiedział, a jej zaczęło szybciej bić serce. Wiedziała, czemu trzymała ludzi na dystans, i jeszcze nigdy przed nikim nie odsłoniła się aż do tego stopnia. Zbyt późno zorientowała się, że jego swobodny, żartobliwy sposób bycia

osłabił jej czujność i dała mu ogromną przewagę, której on nie zawaha się wykorzystać.

Jakby na potwierdzenie jej myśli, westchnął z zadowoleniem dra pieźnika, który dopadł swoją ofiarę, i oświadczył:

- A teraz mam ciebie.

Rozdział 27

- Mężczyźni! - mruknęła Bailey, brnąć przez śnieg. - Nie przemówisz takiemu do rozsądku, zastrzelić nie możesz.

- Słyszałem - powiedział Cam przez ramię. - Na szczęście, nie masz broni.

- Może mogłabym udusić go podczas snu - mamrotała pod nosem. Jej głos był przytłumiony przez materiał, którym miała zasłoniętą dolną połowę twarzy, ale najwyraźniej niewystarczająco.

- To też słyszałem.

- W takim razie przypuszczam, że możesz usłyszeć także i to: jesteś upartym mułem, cholernym macho i idiotą, i jeśli zakręci ci się w głowie, upadniesz i połamiesz się, o ile nie zginiesz na miejscu, przysięgam, że zostawię cię w śniegu, żebyś wykrawił się na śmierć! - Tak bardzo uniosła głos, że prawie krzyczała.

- Ja też cię kocham. - Śmiał się, a ona miała ochotę go kopnąć.

Rzadko wściekała się na kogoś tak bardzo jak na niego, zresztą ogólnie rzadko traciła panowanie nad sobą. Musi ci na czymś zależeć, żeby się złościć i to złościło ją jeszcze bardziej. Nie chciała, żeby jej na nim zależało. Decyzja, którą podjął, była według niej głupia, i choć chciałaby wzruszyć ramionami i to olać, bo w końcu był dorosły i był w stanie stawić czoło konsekwencjom swoich głupich decyzji, w zamian się tym gryzła. I martwiła się o niego. I nie panowała nad swoją wyobraźnią, która podsuwała jej straszne obrazy rzeczy, które mogą mu się przytrafić. Najgorsze, że nie mogła z tym zrobić absolutnie nic, bo był upartym mułem, cholernym macho i idiotą.

Ciągnął własnoręcznie zrobione sanki, załadowane rzeczami, które uznali za przydatne podczas tej wędrowki. Był tam również aku-

mulator, na którego zabranie zdecydował się dziś rano. Wydostanie go z wraku wymagało niemal nadludzkiego wysiłku, częściowo dlatego, że akumulator był strasznie ciężki - ważył prawie czterdzieści kilogramów; po tej heroicznej akcji Cam był blady i spocony. Ale sprawdził akumulator - jeszcze się nie rozładował - i postanowił, że powinni zabrać go ze sobą, żeby, nawet jak im się nie powiedzie, przynajmniej nadal mieli ogień.

Nawrzeszczała na niego, że w końcu i tak będą musieli radzić sobie bez ognia. A on jej na to, że nie, bo kiedy wydostaną się z obszaru pokrytego śniegiem i uda mu się znaleźć suche drewno, rozpali ogień, pocierając o siebie dwa patyki, bo był skautem i wie, jak to się robi.

- Bardzo dobrze - rzuciła. - Możesz mnie tego nauczyć i nie będziemy musieli wlec ze sobą stukilogramowego akumulatora! Masz wstrząśnienie mózgu. Straciłeś mnóstwo krwi. Nie powinienes się tak nadwyręzać!

- Nie waży stu kilogramów, tylko czterdzieści - sprostował, jakby to było najistotniejsze, całkowicie ignorując resztę tego, co powiedziała.

Tak więc z wysiłkiem załadował akumulator na sanki, których drewniane płozy wbiły się w śnieg pod wpływem ciężaru. Widząc, że nie zdoła odwieść go od pomysłu zabrania tego balastu, złapała za uprząż i sama zaczęła ciągnąć sanki, ale zaraz stanowczo odsunął ją na bok, zastępując w roli psa zaprzęgowego.

- Możesz nieść plecak - warknął wściekle, wskazując na walizkę, do której przytwierdził szelki z pasów.

Była tak rozjuszona, że miała ochotę rzucić w niego pigułą śniegową, ale obawiała się, że jeszcze trafi go w głowę, co mogło źle się skończyć. Poza tym nie chciała zmoczyć mu ubrania, biorąc pod uwagę, ile wysiłku włożyła w to, żeby było mu ciepło. Ale uduszenie go podczas snu... to jest myśl.

Teren, po którym szli, był bardzo trudny, pod śniegiem czaiły się niewidoczne dla oka zagrożenia. Czasami było tak stromo, że musiały przytrzymywać od tyłu sanki, żeby nie ześliznęły się za szybko i nie pociągnęły Cama za sobą w dół zbocza. Czasami zwyczajnie nie było możliwości zejścia bez lin i sprzętu do wspinaczki, a wtedy musieli szukać jakiejś łatwiejszej drogi. Po trzech godzinach marszu wątpiła, żeby zdołali zejść więcej niż jakieś trzydzieści metrów, choć zrobili całe kilometry zygzaków. I nadal była zła.

Rakiety śnieżne były niewygodne i przy każdym kroku musiała unosić wysoko kolana, zupełnie jakby maszerowała w orkiestrze. Z wysiłku bolały ją mięśnie. Pewnie nie uniosła stopy dostatecznie wysoko, bo nagle zahaczyła czubkiem prawej rakiety o coś ukrytego w śniegu i poleciała do przodu.

Wyciągnęła ręce, padając na prawe kolano, a potem z trudem usiadła. Bolały ją dłonie i kolano, ale było to nic w porównaniu z przesywającym bólem, który czuła w prawej kostce. Klnąc pod nosem, delikatnie zbadała kostkę, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiegoś przemieszczenia.

- Jesteś ranna? - Cam przykląkł obok niej, patrząc zaniepokojonym wzrokiem znad kawałka czerwonej flaneli zakrywającego jego nos i usta.

- Chyba skręciłam nogę w kostce, ale spróbuję to rozchodzić - odpowiedziała. Poruszanie stopą było bolesne, ale po pierwszej fali intensywnego pulsowania, ból jakby się zmniejszył. Próbowała się podnieść, ale utrudniały jej to rakiety śnieżne, nadal przytwierdzone do jej stóp. Gdyby prawa odpadła podczas upadku, prawdopodobnie jej kostka w ogóle by nie ucierpiała. - Pomóż mi wstać.

Złapał ją za ręce i podciągnął do pionu; przytrzymał ją, kiedy ostrożnie przeniosła ciężar ciała na kontuzjowaną nogę. Pierwszy krok był dosyć bolesny, ale przy drugim było już lepiej.

- W porządku - powiedziała, puszczając jego ręce. - To nic poważnego.

- Możesz jechać na sankach, jeśli chcesz - zaproponował, uważnie obserwując spod zmarszczonych brwi jej chód, jakby była kłaczą czystej krwi.

Bailey się zatrzymała. Nie wierzyła własnym uszom. Czy ten facet nie miał ani krzty rozsądku?

- Oszalałeś?! - krzyknęła. - Nie możesz ciągnąć mnie na sankach przez całą drogę na dół.

Spojrzał na nią stanowczym, zdeterminowanym wzrokiem.

- Nie tylko mogę, ale zrobię wszystko, co będę musiał, żeby odstawić cię do domu.

Z jakiegoś powodu jego oświadczenie wytrąciło ją z równowagi. Pokręciła głową.

- Nie powinieneś tak do tego podchodzić. To nie twoja wina, że się rozbiliśmy. Jeśli już, to moja.

- Jak doszłaś do takiego wniosku?

- Seth mnie zdenerwował - powiedziała. - Postraszyłam, że zmniejszę sumę jego comiesięcznej wypłaty, a on postanowił się zemścić. To wszystko moja wina. Nie powinnam była stracić panowania nad sobą.

Pokręcił głową.

- Nie obchodzi mnie, co mówisz. To nie usprawiedliwia, że próbował zabić dwoje ludzi!

- Ja go nie usprawiedliwiam. Mówię tylko, że to ja spowodowałam te wydarzenia. Nie ma więc powodu, żebyś czuł się odpowiedzialny...

Ściągnął z twarzy ochraniacz na nos i usta.

- Nie czuję się odpowiedzialny za to, że się rozbiliśmy.

- ...ani za mnie - dokończyła uparcie.

- To wszystko nie jest takie proste. Nie zawsze trzeba poczucia winy, żeby czuć się za coś odpowiedzialnym. Kiedy coś jest dla ciebie skarbem, chcesz się o to troszczyć.

„Skarbem”. Słowo to przeszło ją jak strzała, przygważdżając do muru. Nie powinien mówić takich rzeczy. Faceci nie mówili takich rzeczy, to było wbrew ich naturze.

- Nie mogę być dla ciebie skarbem - zaprotestowała, automatycznie robiąc w tył zwrot, choć może niedosłownie. - Nie znasz mnie.

- Nie zgadzam się z tobą. Policz sobie.

To ją zupełnie zbiło z tropu.

- Co mam policzyć? A w ogóle co to? Lekcja rachunków?

- Nie, nie lekcja. Zróbmy sobie przerwę, to ci zaraz wszystko wyjaśnię.

Przywiązał uprząż od sanek do drzewa, żeby przypadkiem nie zjechały na dół, po czym usiedli obok siebie na głazie, który zdążył się nieco nagrzać w słońcu, choć Bailey miała na sobie tyle warstw ubrań, że niespecjalnie czuła to ciepło od kamienia, ale najważniejsze, że nie przedostawało się do niej zimno. Również ściągnęła ochraniacz na usta i nos i zamknęła na chwilę oczy, udając, że czuje na twarzy ciepłe słońce.

Napili się wody, ugryźli po kawałku drugiego batona energetycznego. Pierwszym podzielili się rano i ustalili, że drugiego zjedzą po kawałeczku w ciągu dnia, doszedłszy do wniosku, że najwięcej energii będą potrzebować tego pierwszego dnia. Kiedy zjedzą niżej, gdzie

w powietrzu będzie więcej tlenu, teoretycznie powinni mieć więcej energii - teoretycznie. Miała nadzieję, że się nie mylili, bo na razie wszystko przychodziło im z naprawdę dużym trudem.

- To czwarty dzień, prawda? - zagadnął.

- Tak.

- Licząc od ósmej rano pierwszego dnia, bo o tej godzinie wystartowaliśmy, minęło siedemdziesiąt sześć godzin.

Skinęła głową, w myślach przeprowadzając szybkie obliczenia.

- Na razie zgadzam się z tobą.

- Jak długo trwa przeciętna randka? Ze cztery godziny?

- Cztery, pięć.

- Okej, przyjmijmy, że pięć godzin. Siedemdziesiąt sześć podzielone na pięć daje odpowiednik... piętnastu randek. A jeśli podzielimy przez cztery, to jesteśmy na naszej dziewiętnastej randce. Uśredniając: to nasza siedemnasta randka.

- W porządku - powiedziała, rozbawiona pomysłowością jego teorii, jakakolwiek ona była. - Siedemnasta randka? Praktycznie jesteśmy o krok od stałego związku.

- Mało powiedziane. Jeszcze chwila i zamieszkamy razem.

Zerknęła na niego, żeby zobaczyć, czy sobie żartuje, ale on patrzył na nią poważnym, zdecydowanym wzrokiem. Mówił serio. Chciał więcej, niż ona kiedykolwiek komuś dała. Chciał czegoś więcej niż seks. Chciał zaangażowania - a nic na całym świecie nie przerażało jej bardziej.

Ale... powiedział, że jest dla niego skarbem. Bailey nie pamiętała, żeby kiedykolwiek, w całym jej życiu, ktoś traktował ją jak skarb, przedkładał jej dobro nad swoje, a właśnie to wynikało z jego słów.

- Nie mogę... - zaczęła, zamierzając podać mu wymówkę, jakąkolwiek, jako powód, że nie może się zaangażować.

- Możesz - przerwał jej. - I zrobisz to. Nie będziemy się spieszyć, będziesz miała czas, żeby się ze wszystkim oswoić. Rozumiem, że masz багаż złych doświadczeń z dzieciństwa. Ciężko sobie z czymś takim poradzić. Ale wcześniej czy później, zaufasz mi, zaakceptujesz, że komuś na tobie zależy.

Chciała mu powiedzieć, że nie ma z tym problemu. To nie tak, że wcześniej nikomu na niej nie zależało. Loganowi na niej zależało. W pewnym sensie, Jimowi też. Miała przyjaciół... to znaczy, miała bliskich znajomych, zanim wyszła za Jima, ale później zdystansowali

się od niej, więc zdaje się, że nie byli jej prawdziwymi przyjaciółmi. Nawet jej rodzicom na niej zależało, przejmowali się wszystkimi swoimi dziećmi, choć nie aż tak bardzo jak sobą.

Chciała mu to powiedzieć. W jej głowie powstało całe przemówienie, jednak jej język odmawiał współpracy. Skłamałaby. Miała problem z zaufaniem. By chronić się przed ludźmi, którym na niej nie zależało, robiła wszystko, żeby jej nie zaczęło zależeć pierwszej. Była w tym mistrzynią.

Myślała, że absolutną. Ale nie potrafiła uciec od niego. Zapomnieć o nim. Nie przejmować się nim.

I... powiedział, że była dla niego skarbem.

Patrzyła w jego szare, przenikliwe oczy, i czuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Była stracona, zupełnie wobec niego bezbronna. Rozpłakała się.

- Och, nie - załkała. - Nie mogę płakać.

- Daj spokój. - Przyciągnął ją do siebie i lekko kiwał się w przód i tył, kołysząc ją w ramionach. - Wypłacz się.

Nie zauważał oczywistego. Odsunęła się, robiąc, co mogła, by zatamować ten wyciek, zanim wpadnie w prawdziwe tarapaty.

- Nie, poważnie. Będę miała lód na twarzy.

- Założę się, że potrafię go stopić - orzekł, uśmiechając się leniwie.

A niech go! Naprawdę była w tarapatkach.

Rozdział 28

Na dobre przerwali wędrówkę o trzeciej po południu, żeby zdążyć zbudować jakieś schronienie. Ciągłe byli wysoko w górach, zdani na łaskę lodowatego wiatru, ujemnej temperatury i prawdopodobnie kolejnych opadów śniegu, choć teraz niebo było przejrzyste. Ale pogoda w górach była zmienna, a oni nie mieli możliwości, by na bieżąco śledzić prognozy pogody. Zauważyli duże zwalone drzewo, które zatrzymało się na olbrzymim głazie i stanowiło gotową centralną oś schronienia; zaoszczędziło im to mnóstwo pracy. Kontynuując wędrówkę, mogli nie natknąć się więcej na coś równie odpowiedniego.

Bailey była wyczerpana, ale ku jej uldze nie miała nawrotu choroby wysokościowej. Jutro, pomyślała, będą mogli iść trochę dłużej, i pewnie pokonają dłuższy dystans. Kończyło im się jedzenie, a kiedy zjedzą ostatni baton, szybko zaczną tracić energię. Musieli zejść na tyle nisko, żeby zacząć znajdować orzechy, jadalne liście - cokolwiek - bo w przeciwnym wypadku ich sytuacja gwałtownie się pogorszy.

- To co, najpierw rozpalamy ognisko? - spytała, nie mogąc doczekać się ciepła i psychicznego podbudowania.

- Okej, dzisiaj możemy - odpowiedział w roztargnieniu, rozglądając się wokół. - Ale od jutra wolałbym oszczędzać prąd, przyda się, kiedy zejdziemy niżej, gdzie nie będzie tak wiało.

Zamknęła oko, spoglądając na niego z ukosa. Wydawało się jej to nielogiczne.

- A czy nie potrzebujemy ognia bardziej teraz?

- Jeśli chodzi o pozyskanie ciepła, tak, ale przetrwaliśmy bez ognia dwie noce, więc wiemy, że nie jest niezbędny do przeżycia. Myślałem o tym, by za jego pomocą zasygnalizować naszą obecność. Teraz to niemożliwe, bo wiatr rozprasza dym. Potrzebne jest miejsce, w którym tak nie wieje, a tu takiego na pewno nie znajdziemy.

Bailey odwróciła się i podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Dzień był przejrzysty, zimne, rześkie powietrze zapewniało bardzo dobrą widoczność. Olbrzymie góry sięgały nieba, ich białe szczyty były obrysowane czystym błękitem. Poniżej obszaru wiecznego śniegu rozciągały się połacie zieleni, dające nadzieję na cieplejszą temperaturę i możliwość pozyskania jedzenia.

- Daleko musimy jeszcze zejść?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. To teren parku narodowego, więc służby leśne prowadzą na tym obszarze monitoring pożarowy. Wszystko, co wydaje się spowodowane działalnością człowieka, jest sprawdzane.

A więc mogą zostać ocaleni za dzień lub dwa, w zależności od tego, jak długo zajmie im wydostanie się poza obszar zdominowany przez wiatry. Dwa dni temu, jeszcze wczoraj, niezwykle uradowałaby ją taka możliwość, ale teraz... było inaczej. Dwa dni temu nie była zakochana. Owszem, chciałyby w końcu zaspokoić głód i znaleźć się w cieple, ale jeśli w normalnych warunkach, kiedy nie będzie ich dłużej łączyć konieczność, zainteresowanie Cama nią osłabnie? Nie ufała

uczuciom, a już na pewno nie uczuciom zrodzonym w ekstremalnych warunkach.

Była rozdarta i strasznie jej się to nie podobało. Z jednej strony im szybciej się od niego odseparuje, tym lepiej. Ale z drugiej strony, Boże, tak bardzo chciała, żeby to trwało. Chciała wierzyć w „żyli długo i szczęśliwie”, w miłość, która trwa do końca życia. Znała ludzi, którzy zdawali się kochać nawzajem tak długo; ale nie dawała jej spokoju jedna, dręcząca myśl: Jim kochał tak Lenę, ale czy Lena na pewno kochała Jima? Jim był bardzo bogatym człowiekiem; może Lena szukała prawdziwej miłości, ale zwyczajnie nie znalazła i w końcu wyszła za męża dla pieniędzy. Bailey nie chciała być cyniczna, ale widziała w życiu zbyt wiele, żeby kupować bajkową koncepcję miłości.

Miłość jest jak gra, której wyniku nie można przewidzieć, pomyślała Bailey, a ona nigdy nie była hazardzistką. Nie miała pojęcia, co robić, jak rozegrać tę sytuację. Jedna połowa jej chciała po prostu poddać się temu uczuciu i cieszyć się byciem razem, dopóki będzie to trwało; w końcu utopia byłoby oczekiwać, że całe życie upłynie w szczęściu. Tylko idiota był zawsze szczęśliwy.

Ale czy krótki okres szczęścia wart był cierpienia, które następowało po rozstaniu? Zdaje się, że większość ludzi tak uważała, skoro raz za razem rozpoczynali podróż pociągiem miłości. Po wyrzuceniu z niego, przez jakiś czas rozczulali się nad sobą, czasami odgrywali się czy robili coś głupiego, ale w końcu wracali na stację, z biletem w garści, gotowi znowu wskoczyć do pociągu. Nie uważała, żeby chwilowa korzyść warta była tego całego bólu, więc patrzyła tylko na ten pociąg, który zawsze odjeżdżał bez niej. A teraz wpadła w zasadzkę i została wrzucona do wagonu bagażowego, więc chyba nie miała już wyboru.

Cam przejechał palcem w dół jej policzka.

- Odplynęłaś myślami. Od pięciu minut wpatrujesz się w przestrzeń.

Gwałtowny powrót do rzeczywistości sprawił, że przez moment miała kompletną pustkę w głowie.

- Och... tak tylko myślałam, co będzie, kiedy wrócimy do domu.
- W myślach pogratulowała sobie. Upiekło się jej! To była bardzo sensowna odpowiedź w tych okolicznościach.

Zachmurzył się.

- Nie umiem ci powiedzieć. Niewykluczone, że mu się upieczę z powodu braku dowodów. Nie możemy rzucać oskarżeń, których nie możemy poprzeć dowodami, bo pozwie nas za zniesławienie.

- Byłby zachwycony. Miałby okazję podzielić się na publicznym forum tym, co o mnie myśli, i jestem pewna, że Tamzin udzieliłaby mu pełnego wsparcia. - Zrobiło jej się niedobrze na myśl o procesie, na potrzeby którego Seth powyciągałby wszelkie możliwe brudy lub je sfabrykował. Co prawda, ten drań musiałby niezłe pokombinować. W jej przeszłości nie było żadnych podejrzanych interesów, romanсів z żonatymi facetami, żadnych narkotyków czy wpisów do karteoteki policyjnej.

Nie żeby to miało zniechęcić Setha. Zapewne mógł załatwić z pięćdziesięciu świadków, którzy zeznaliby, że z nią spali albo że razem z nią ćpali, albo że zwierzała się im z niecnego planu wyjścia za umierającego człowieka i przekonania go do przekazania jej kontroli nad jego fortuną. Zapewne jedyny powód, że tego jeszcze nie zrobił, to to, że kwestia zarządu funduszami powierniczymi nie była zawarta w testamencie Jima, żeby można było ją zakwestionować. Jim ustanowił fundusze powiernicze, zanim się jeszcze pobrali, a do tego dochodzi to, że zarządzane przez nią fundusze osiągały znakomite wyniki. Seth wyszedłby na idiotę, gdyby temu zaprzeczał. Ponadto wypłacane mu co miesiąc kwoty, chociaż niepokazne w porównaniu z całością funduszu powierniczego, były naprawdę bardzo przyzwoite.

- Myślę, że musimy dać mu do zrozumienia, że wiemy - stwierdził Cam. - I że powiedzieliśmy o naszych podejrzaniach trzeciej osobie, tak więc, jeśli przytrafi się nam coś złego, wszystko będzie wskazywać na niego. O ile mu totalnie nie odbije, zrozumie, że nie może nic zrobić. - Nachylił się i pocałował ją, po czym złapał jej dolną wargę zębami i delikatnie pociągnął. - Proponuję również, żebyś wprowadziła się do mnie, żeby nie wiedział, gdzie cię szukać. Musiałabyś być szalona, żeby zostać sama w tamtym domu.

Jej serce zaczęło szybciej bić z podniecenia, żołądek zaś ścisnął się ze strachu. Oszołomiona jego propozycją i swoją dwoistą reakcją na nią, powiedziała:

- Od całowania się do wspólnego zamieszkania jest daleka droga, Justice. Wyprowadzenie się ma sens. Ale wprowadzenie się do ciebie... nie bardzo.

- A ja myślę, że ma całkiem sporo sensu - odparł spokojnie. - Później o tym pogadamy. Teraz musimy zabrać się do roboty, jeśli nie chcemy spędzić nocy pod gołym niebem.

Wykopał dołek pod palenisko, podczas gdy ona zbierała kamienie i gałęzie, zarówno na ognisko, jak i na szałas. Większość gałęzi pochodziła z przewróconego drzewa, bo leżało już na tyle długo, że gałęzie zdążyły się zeschnąć i było łatwo je odłamać. Jeśli chodzi o akumulator, to powtórzyli całą procedurę i po upływie niecałych trzydziestu minut małe płomyczki lizały już radośnie gałęzie z ogniska.

Ponieważ pracowali oboje i ponieważ Cam znał się o wiele lepiej od Bailey na budowie szałasów, nowe schronienie powstało w znacznie krótszym czasie od poprzedniego. Drzewo leżało oparte pod takim kątem, że w najwyższym punkcie ich kryjówka była na tyle wysoka, by mogli w niej usiąść. Cam umiejscowił palenisko w takim miejscu, aby od ognia nagrzewał się głaz, a tym samym było cieplej w ich kryjówce. Problemem nadal był wiatr, więc z drugiej strony ogniska Cam powtykał patyki w wał ziemny, podwyższając go, dzięki czemu podmuchy wiatru przestały szarpać płomienie.

Pod koniec pracy oboje byli nieco spoceni i bardzo brudni. Brud powodował dyskomfort, ale pot był jeszcze gorszy, bo stwarzał ryzyko przeziębnienia. Cam został przy ognisku, a ona wpełzła do ich nowego „domu”, wyposażonego nawet w piankę z foteli, którą uparła się zabrać - w końcu taka pianka ważyła tyle co nic - żeby oczyścić się i osuszyć.

Kiedy ponownie okutana w niezliczone warstwy ciuchów wyłoniła się z kryjówki, Cam ostrożnie umieszczał wokół ogniska szyszki pinii.

- Wow! - zawołała. - Teraz w naszym obozowisku będzie pachniało świętami. Nie wpadłabym na to.

- Kiedy szyszki się upieką będziemy mogli wyjść z nich orzeszki. Żałuję, że wczoraj o tym nie pomyślałem.

- Poważnie? Mówisz o orzeszkach piniowych? One naprawdę są w szyszkach pinii? - Zabawne, ale zawsze myślała, że orzeszki piniowe po prostu się tak nazywają, z jakiegoś bliżej niewiadomego powodu. Kucając przy ogniu, szturchała szyszki. Kto by pomyślał? Marzyła o posiłku, zwłaszcza ciepłym. Orzeszki z pewnością pomogą złagodzić ich głód.

- Poważnie. Pilnuj, żeby nie zajęły się ogniem - poinstruował Cam, chowając się do kryjówki. - Muszę się osuszyć, zanim ten pot na mnie zamarźnie.

Usiadła i wystawiła dłonie do ognia. Po chwili uświadomiła sobie, że uważnie przysłuchuje się odgłosom tego, jak Cam rozbiera się i osusza, wyobrażając sobie, że jest całkiem nagi, nawet jeśli wiedziała, że nie był. Czy on też przysłuchiwał się, jak ona ściąga kolejne ubrania i wyobrażał sobie ją naga? Czy może był zbyt zajęty zbieraniem szyszek?

Nagle przyszło jej do głowy, że ich zabiegi higieniczne można było zinterpretować jako preludium do seksu, jakby przygotowywali się dla siebie nawzajem. Nie czuła się z nim nieswojo podczas trzech ostatnich, spędzonych wspólnie nocy, ale wtedy w grę nie wchodził seks. A teraz tak. I choć seks sam w sobie nie sprawiał, żeby czuła się nieswojo, perspektywa seksu z nim wprowadzała ją w stan zdenerwowania oraz skrępowania.

A może doszukiwała się w tej sytuacji nie wiadomo czego. W końcu dochodził jeszcze do siebie po poważnym urazie głowy. Był inteligentnym facetem; wiedział, że nie powinien teraz za bardzo się forsować.

Jasne, jasne, pomyślała drwiąco. I dlatego przez cały dzień ciągnął sanie.

No właśnie. Zapewne był wykończony. Najprawdopodobniej ostatnią rzeczą, o jakiej myślał, był seks.

Jasne. Mowa o tym samym facecie, który miał erekcję już pierwszego dnia, kiedy był w półżywy, a potem jeszcze parę razy. Tak, racja, seks był ostatnią rzeczą, o jakiej myślał... przed zaśnięciem i pierwszą rzeczą, która przychodziła mu do głowy po przebudzeniu.

Ale był bardzo powściągliwy, zdała sobie sprawę. Absolutnie nie należał. Chodzi o to, że nie był powściągliwy z natury. Był opanowany, ale również stanowczy i zdecydowany. Kiedy sobie coś postanowił, stawiał na swoim, niezależnie od wszystkiego. Nie można było tego nazwać powściągliwością.

Pytanie brzmiało, czy ona chciała seksu z nim? Tak! I nie. Bała się, że sprawy między nimi zajdą za daleko, ale bała się tego na poziomie uczuć, emocji. Jeśli chodzi o samą fizyczność... cóż, chciała czuć na sobie jego ciężar, jego biodra między swoimi udami. I chciała czuć go w sobie.

Musiała zdecydować: tak czy nie? Jeśli powie nie, on nic nie zrobi. Była co do tego przekonana.

Mądra kobieta powiedziała by nie. Ostrożna kobieta powiedziała by nie. Bailey zawsze była mądra i ostrożna.

Aż do teraz. Zerknęła na wejście do ich kryjówki, a wszystko w niej krzyczało: tak.

Rozdział 29

Cam wpadł na jeszcze jeden pomysł: ponownie opróżnił metalową apteczkę, napelnił ją śniegiem, położył na gorących zwęglonych gałęziach z brzegu ogniska i dorzucił garść igieł sosnowych. Powiedział, że taka herbatka powinna być pożywna, nie wspominając już o czystej przyjemności wypływającej z wypicia czegoś ciepłego.

Bailey była tak zdenerwowana, że ledwo mogła usiedzieć. Jeszcze pół godziny temu perspektywa wypicia czegoś ciepłego sprawiłaby ją w euforię, ale teraz nie potrafiła oderwać myśli od nadchodzącej nocy. Automatycznie odchyliła łuski, tak jak jej pokazał, szukając małych, ciemnych nasion; nie na każdej łusce były nasiona. W pierwszej szyszce znalazła ich dziesięć czy dwanaście, poza tym nasiona były bardzo małe. Ale dobra wiadomość była taka, że szyszek mieli pod dostatkiem. Pieczenie ich, wydłubywanie nasion, to wszystko trwało, ale w sumie nie mieli nic do roboty.

Wreszcie wyluskali dość nasion, by zaspokoić głód. Dziwne, bo choć nie zjadła więcej niż garstkę, była zaskakująco syta. Powinny bardziej się przypiec, więc nie smakowały jakoś wybornie, ale nie dbała o to; jedzenie to jedzenie. Nie doszła jeszcze do etapu zjadania larw, ale po raz pierwszy w życiu poznała prawdziwy głód; wiedziała już, jak to jest być tak bardzo głodnym, że nie wyklucza się zjedzenia robaków.

Kiedy śnieg w apteczce się roztopił, Cam dodał kolejną porcję, by uzyskać równowagę dwóch kubków, po jednym na głowę. Patrzyła, jak woda stopniowo nabiera zielonkawego koloru.

- Takich rzeczy uczą skautów, tak? - zapytała w końcu, żeby przerwać ciszę. - Jak długo należałeś?

- Długo, przeszedłem wszystkie etapy. Fajnie było, a nabyta wtedy wiedza ułatwiała mi później w wojsku przyswojenie sobie technik ucieczki i przetrwania, na wypadek gdyby mój samolot został zestrzelony.

- Zestrzelony? - Wpatrywała się w niego. - Myślałam, że byłeś pilotem samolotu-cysterny.

- Zgadza się. Co nie znaczy, że wrogimi myśliwcom nie poczęstowałby mnie pociskiem typu powietrze-powietrze, gdyby pojawiła się taka okazja. Pomyśl tylko. Jak zdejmiesz cysternę, automatycznie wykluczasz z gry wiele myśliwców. Dlatego samolot-cysterna zawsze ma obstawę.

Poczuła ucisk w żołądku, wyobrażając sobie pocisk trafiający w samolot-cysternę. Czy było możliwe, żeby ktoś przeżył taką eksplozję?

Zawsze myślała, że pilotowanie samolotu-cysterny to jedno z bezpieczniejszych zajęć dla pilota. Teraz dotarło do niej, że było to jak siedzenie przy olbrzymim kanistrze paliwa, w który idioci rzucają zapalkami. Jak żony pilotów wojskowych wytrzymały ten stres? Dlaczego żona Cama nie mogła znieść, że zakończył służbę wojskową?

Nieświadom, gdzie pozęgłowały jej myśli, wetknął palec do napa-ru z igieł i natychmiast zabrał.

- Chyba herbatka jest już wystarczająco gorąca - powiedział. Podała mu zatyczkę od dezodorantu, którą szybko zanurzył, zaczerpnął do połowy i podał jej ostrożnie.

Upiła łyk. Smakowało tak, jak wyobrażała sobie, że smakują igły pini: zielono, nieco gorzkawo. Ale to nic. Z każdym łykiem po jej wnętrzu rozchodziło się wspaniałe, wytęsknione ciepło; było to tak cudowne uczucie, że aż zamknęła oczy.

- Boże, wspaniałe uczucie - zamruczała. Upiła kolejny łyk i podała mu zatyczkę. - Spróbuj.

- Zauważyłem, że powiedziałaś „wspaniałe uczucie”, a nie, że wspaniałe smakuje - stwierdził, biorąc od niej zatyczkę i pijąc. Na jego twarzy pojawił się błogi wyraz; podejrzewała, że wyglądała do-

kładnie tak samo. Owinął palcami nagrany plastik i westchnął. - Trafiłaś w sedno.

Ponownie nabrał herbatki i tą porcją też się podzielili.

- Za skautów. - Uniosła zatyczkę w górę i dopiero potem mu podała.

Czując ciepło, jakiego nie czuli od czterech dni, a także chwilo-wo nie czując głodu, siedzieli i obserwowali powoli zachodzące słońce. Wydawało jej się, że robili to razem już tysiąc razy. Zdała sobie sprawę, że przywykła nie tylko do wysokości, ale i do niego, do bycia z nim sam na sam. Telewizja, zakupy, analizy rynku - to wszystko wydawało się częścią innego świata, innego życia. Życie bardzo szybko sprowadziło się do podstaw: jedzenie plus kryjówka.

- Gdybym powiedziała, że mogłabym się do tego przyzwyczać, skłamałabym - stwierdziła.

Uśmiechnął się.

- Uważasz, że nigdy nie będziesz outdoorową dziewczyną?

- To jest okay, ale w małych dawkach, jak rafting podczas waka-cji. Ale chcę mieć jedzenia pod dostatkiem, chcę mieć namiot i śpiwór. I chcę móc zrezygnować, kiedy się tym zmęcze. Cała ta zabawa w survival jest dobra dla zapaleńców.

- To było fajne, kiedy byłem mały. Ale nie cierpiałem wtedy zimna, nie miałem wstrząśnienia mózgu i nikt nie ćwiczył na mnie zakładania szwów bez znieczulenia.

Spojrzała na niego.

- Nie krzyczałeś - zauważyła.

- To nie znaczy, że się świetnie bawiłem.

Bandaż elastyczny, którym miał obwiązaną głowę, był brudny, ale dzięki niemu cały brud został na zewnątrz, nie dostał się do rany. Nie miał w ogóle gorączki, co oznaczało, że nie doszło do zakażenia. Ogó-łem, czuła się dumna z tego, jak się nim zajęła.

- Myślisz, że mogę to już zdjąć? - zapytał, dotykając bandaża. Wzruszyła ramionami.

- Dzięki niemu ciepłej ci w głowę.

- Ale mnie wkurza. Wolałbym coś mniejszego. Może sam opa-trunek.

Odwinęła bandaż i odkleiła przykrywające ranę gaziki. Opuchlizna całkowicie zeszła, i choć miał na czole wielkiego siniaka, a sam szew przywodził na myśl Frankenstein, wyglądało na to, że wszystko

goi się bardzo dobrze. Wyciągnęła z paczki chusteczkę nawilżaną i zaczęła delikatnie przecierać bliznę, próbując usunąć zaschniętą krew. Znosił jej zabiegi przez jakąś minutę.

- Daj mi to - burknął w końcu zniecierpliwiony, wrywając jej chusteczkę i zaczynając szorować nią po włosach.

- Swędzi, co?

- Cholernie. - Chusteczka zrobiła się rdzawobrazowa od zakrzepłej krwi, którą miał we włosach. Większość usunął płyn do płukania jamy ustnej, który wylała mu na głowę, ale jak widać, nie wszystko. Użył kolejnej chusteczki, żeby mieć pewność, że pozbył się wszystkiego. Zmoczyły mu się przez to włosy i musiał wytrzeć je flanelową koszulą, żeby nie zamarzły. Bailey sięgnęła po środki opatrunkowe, ale ją powstrzymał.

- Zostawmy tak do rana. Nic mi nie będzie.

Dopili herbatkę z igieł pinii, a potem patykiem wyciągnął apteczkę z ogniska. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wzięła kolejną koszulę i szybko owinęła nią apteczkę.

- Kiedyś ludzie nagrzewali cegły, a potem obwiązywali je flanelą i wkładali pod prześcieradło, żeby nagrzać łóżko - powiedziała, wpełzając do szałas z prowizorycznym podgrzewaczem do pościeli. Wszystkie wolne części garderoby zrzucili na kupę do szałas i teraz szybko ułożyła je warstwowo, by zapewnić im jak najlepszą ochronę przed zimmem; pośrodku umieściła zawiniątko z nagrzaną apteczką.

Wcześniej spała w butach, ale teraz je ściągnęła i westchnęła z ulgą, mogąc swobodnie poruszyć stopami. Potem wsunęła stopy pod podgrzewacz i natychmiast poczuła ciepło, z łatwością przenikające przez dwie pary skarpet, które miała na sobie.

Cam wgramolił się za nią. Widząc, co zrobiła, roześmiał się i zaczął rozwiązywać sznurówki swoich ochraniaczy na obuwiu, które ściągnął wraz półbutami. Usadowił się blisko niej; siedzieli oparci plecami o głaz, a ich stopy splotły się pod podgrzewaczem.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Toczona przez nich wcześniej rozmowa dotyczyła przyziemnych tematów, ale Bailey cały czas była świadoma narastającego w nich obojgu pożądania. Kiedy podawali sobie zakrętkę z piciem i ich palce dotykały się albo kiedy dotykała jego twarzy, odwiązuując bandaż, w środku aż się cała trzęsła, pragnąc więcej. Chciała, by ich palce się splotły; chciała położyć dłoń na jego

pokrytej szczecina szczęce i poczuć mocną kość znajdującą się pod skórą. Chciała poczuć jego ramiona zamykające się wokół niej, przyciągające ją do jego ciała, tak jak to robił każdej minionej nocy.

W jego ramionach po raz pierwszy w życiu poczuła się w pełni bezpieczna. Było to dziwne, bo nigdy wcześniej nie znajdowała się równocześnie w takim niebezpieczeństwie. Pasowała do niego; byli jak dwa puzzle z tej samej układanki.

- Powinniśmy się położyć - zdecydował, uważnie przypatrując się jej twarzy. - Za nami ciężki dzień.

Słońce w pełni zaszło i zmierzch szybko ustępował miejsca kompletnej ciemności. Już niedługo, pomyślała, wyciągając się i moszcząc pod przykryciem. Cam wciągnął buty i wyszedł dorzucić do ognia, a potem położył się obok niej. Jego mocne ramię objęło ją w pasie; przyciągnął ją do siebie, obracając, by jej twarz była przytulona do jego szyi. Pachniał nawilżanymi chusteczkami, dymem i męzczyzną.

Wsunął rękę pod jej liczne koszule, ujął dłonią jej pierś i pocierał kciukiem brodawkę, aż stwardniała. Zassała powietrze. Chciała zachować spokój, ale to było ponad jej siły. Serce waliło jej tak mocno, że ledwo mogła oddychać. To nie powinno aż tak na nią działać. On nie powinien aż tak na nią działać. Niestety, to jak powinno czy nie powinno być, nijak się miało do tego, jak faktycznie było.

Pocałował ją. Brakło jej tchu i przez moment nie była w stanie zareagować, odpowiedzieć na ten pocałunek. Ale kiedy zaczęła go oddawać, napierając wargami na jego, przeniósł swoje usta na jej skroń.

- Dobranoc.

Dobranoc? Nie mogła w to uwierzyć. Ona aż dygotała, tak była pobudzona, a on chciał spać?

- Nie! - zaprotestowała, oburzona.

- Tak. - Znowu ją pocałował, cały czas trzymając dłoń na jej pierśsi. - Ty jesteś zmęczona. Ja jestem zmęczony. Śpij.

- Kto ci przekazał dowodzenie? - zapytała rozwścieczona. Świetnie, zniżała się do drwin i fochów. Drugi raz tego dnia zburzył jej opowanie, choć była kobieta, która nigdy nie pozwalała, by na gładkiej powierzchni jej życia powstawały jakieś zawirowania. Właśnie dlatego zawsze była taka ostrożna i nie dopuszczała, by ktoś aż tyle dla niej znaczył...

Leżała nieruchomo, rezygnując z dalszych uników, które i tak nie działały. Mogła do woli racjonalizować i się zabezpieczać, ale była to zwykła strata czasu, daremny wysiłek. Czy mogła się w nim zakochać zaledwie w cztery dni? Jak zauważył, czas który wspólnie spędzili odpowiadał teraz jakimś dziesiętnastu, dwudziestu randkom. Czysta matematyka.

To była miłość. To o tym mówili ludzie, o oszalamiającej, przyprawiającej o zawroty głowy, zagmatwanej, niepokojącej eksplozji emocji, niemającej nic wspólnego z rozsądkiem. To było jak stan upojenia alkoholowego, tylko bez tych wszystkich przykrych efektów ubocznych, jak spowolnienie myślenia i reakcji. Człowiek jednocześnie czuł się bezradny i pobudzony, emocje rozsadzały go od środka, jakby przestawały się mieścić w ciele.

Na jej fochy zareagował tylko pocałunkiem w czoło, jakby rozumiał targające nią niepokoje. No pewnie, czemu miałby nie rozumieć? Był już wcześniej zakochany. Miał w tym doświadczenie. Może gdyby ona też miała doświadczenie, nie zachowywałaby się jak idiotka, ale miała wielką nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie czuć się tak jak teraz. Jeden raz wystarczy. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, wstąpi do zakonu albo przeprowadzi się na Florydę, gdzie będzie mieszkać wśród ludzi w wieku jej rodziców i trzymać się z dala od pokus.

Strąciła jego rękę ze swojej piersi.

- Skoro nie będziemy uprawiać seksu, trzymaj ręce przy sobie.
- Świadomość, że prawdopodobnie jest w nim zakochana, tylko potęgowała jej rozdrażnienie. A to, jak niewiele brakowało, żeby miała napad złości, było upokarzające. Niedoczekanie, żeby błagała o seks. Niedoczekanie, żeby mu uległa, nawet gdyby on błagał ją o seks. Miała ochotę mu przykopać. Miała ochotę chwycić jego penis i wykręcić. To by go nauczyło. Musiałby mu później zmienić nazwę na Charlie Korkociąg.

Czuła, że lekko drżał, a jego oddech był nieco nierówny. Śmiał się, niech go szlag, choć próbował to ukryć.

Bailey odwróciła się od niego, czując nowy przyływ furii spowodowany tym, że nie mogła nawet się odsunąć, by go nie dotykać. Musieli się dotykać; musieli leżeć blisko siebie, żeby dzielić się ciepłem.

Żeby pokazać mu, że go ignoruje, postanowiła zasnąć. I miała nadzieję, że będzie chrapać.

Pokusa odwetu nie dawała jej spokoju. Chciała go zabić. Chciała go zmasakrować. Do diabła - to musiała być miłość.

Wolałaby już dzumę. To przynajmniej było uleczalne.

Uspokojenie się zabrało jej dobre pół godziny, a przez cały ten czas czuła, że nie spał, uważnie przysłuchując się każdemu jej oddechowi, czuwając nad nią. Niby się tak nią przejmował? Gdyby naprawdę się nią przejmował, dałby jej to, czego chciała.

Najlepszym dowodem na jej silną wolę było to, że naprawdę zasnęła.

Rozdział 30

Bailey przebudziła się, czując jego ciepłą, silną dłoń przesuwającą się od jej jednej piersi do drugiej; masował je, głaskał, co było bardzo przyjemne. Ani przez moment nie była zdezorientowana; rozpoznała go natychmiast, wiedziała, kto trzyma ją tak mocno w objęciach. Delikatnie pociągał i przyszczypywał jej sutki, powoli, umiejętnie stawiając je na baczność. Uczucie przyjemności leniwie rozchodziło się po jej ciele, powoli zamieniając się w pożądanie.

Dryfowała pomiędzy przyjemnością a snem. Gdyby zechciała więcej, wszystko co musiała zrobić, to sama naprzeć na napierający na nią członek. Wystarczyłby jeden zachęcający gest...

Otworzyła gwałtownie oczy, nagle wszystko sobie przypominając.

- Natychmiast zabierz go ode mnie! - krzyknęła, podrywając się i próbując wyswobodzić się spod przykrycia z ubrań oraz jego ciężkiego ramienia. Jeśli myślał, że mógł sobie dowolnie zmieniać zdanie, a ona i tak będzie tańczyć, jak jej zagra, to grubo się mylił.

Opadł na plecy, śmiejąc się tak bardzo, że myślała, że zaraz się załdawi. W sumie nawet miałyby ochotę mu w tym pomóc. Ostatecznie przekreśliła się na brzuch i uniosła na łokciach. Patrzyła na niego zło-wrogo zza zasłony włosów, które opadły jej na twarz. Musiał dopiero co dorzucić do ognia, choć nie obudziła się, kiedy wychodził z szala-

su. Ognisko płonęło mocnym blaskiem i w szalasię było wystarczająco jasno, żeby wyraźnie widziała, jak trzymał się za brzuch, wyjąc ze śmiechu. Świdrując go wzrokiem, czekała aż uświadomi sobie, że ona nie dostrzegła w tym nic zabawnego.

- Widzisz, to nie tak, że mogę go odczepić i schować do kieszeni, kiedy go nie używam - wykrztusił w końcu, wycierając łzy z oczu.

- Mam gdzieś, co z nim zrobisz - odparła stanowczo. - Po prostu przestań mnie nim szturchać.

- Nawet nie będę pytał, czy jesteś w lepszym humorze niż przed pójściem spać, bo od razu widać, że nie. - Ciągłe rozbawiony, podłożył sobie rękę pod głowę, a drugą objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, na jej stałe miejsce. Nie była z tego powodu uszczęśliwiona, ale wiedziała, że musieli spać w tej pozycji. Mieli jeszcze tylko dwie opcje, mogli albo leżeć twarzą w twarz w swoich objęciach, na co nie miała ochoty, albo ona za nim, co też jej się nie uśmiechało. Jego uda przywarły do jej ud, jej plecy oparły się o jego tors i kolejny raz otoczyło ją ciepło jego ciała; i tak jak poprzednio, wyraźnie czuła wybrzuszenie w jego spodniach, wtulone w jej pośladki.

Odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów, a ona z rozdrażnieniem wyszarpnęła głowę spod jego ręki.

- Od pół godziny próbowałem cię obudzić - zamruczał.

- Nie rozumiem po co. Chciałeś, żebym spała, to spałam. Zostaw mnie w spokoju.

Objął ją mocniej.

- To z troski o ciebie. Byłaś tak zdenerwowana, że nie miałabyś z tego przyjemności - wyjaśnił.

- Skąd wiesz? Nie dałeś mi szansy. - Zaciśnęła usta.

- Nie chciałem ryzykować. Całe popołudnie byłaś spięta, coraz bardziej i bardziej. Nie wiem, co cię trapiło, ale stwierdziłem, że jestem w stanie poczekać, aż będziesz gotowa ze mną porozmawiać albo sama się z tym uporasz.

- Przestań być taki wyrozumiały - odparła zrzędliwie. - To do ciebie nie pasuje. - Jednak nie dała mu kuksańca, kiedy przygarnął ją jeszcze bardziej do siebie.

- Okej, chcesz o tym pogadać?

- Nie.

- A uporałaś się z tym, cokolwiek to jest?

- Nie! Już ci mówiłam, żebyś zostawił mnie w spokoju. Chcę spać. - Trudno byłoby jej teraz zasnąć, ale nie musiał tego wiedzieć.

Odsunął jej włosy na bok i zaczął pieścić jej kark; jego usta, oddech parzyły niczym ogień.

- Wiem, że nie jest ci łatwo komuś zaufać - zamruczał, nadal delikatnie muskając ją ustami. - Lubisz być sama.

Nie, wcale nie lubiła. Po prostu czuła się bardziej swobodnie, będąc sama. A to różnica.

- To ryzykowne, kiedy ci na kimś zależy - ciągnął tym łagodnym tonem, niewiele głośniejszym od szeptu. Jego głos działał na nią kojąco, jak dojrzała, szlachetna whisky. - A ty nie lubisz ryzykować. Trzymasz ludzi na dystans, bo wiesz, że jesteś miękka, a najlepszym sposobem, żeby się ochronić, jest niedopuszczanie nikogo do siebie.

Przeżyła mały wstrząs i poczuła lekkie ukłucie paniki.

- Nie jestem miękka. - Zachowywała się w sposób opanowany i zdystansowany, bo była opanowaną i zdystansowaną osobą. Na pewno nie była miękka.

- Jesteś miękka - powtórzył. - Myślisz, że nie pamiętam, jak mówiłaś do mnie po tym jak się rozbiliśmy, kiedy ciągle jeszcze myślałaś, że jestem sztywniakiem? Twój głos był tak łagodny, jakbyś mówiła do małego dziecka. Gładziłaś mnie.

- Wcale nie. - Gładziła?

- Owszem.

Może i tak.

- Nie pamiętam - burknęła. - Ale jeśli nawet, to dlatego, że byłam wdzięczna.

- Tak, tak. Z wdzięczności wyciągnęłabyś mnie z samolotu. Ale nie wypruwałabyś sobie dla mnie flaków. Nie oddałabyś mi swojego najcieplejszego ubrania, kiedy sama cholernie marzyłaś.

Pociągnęła nosem.

- Poważnie traktuję dług wdzięczności.

- Jasne. Jesteś miękka jak marshmallows. - Powtórzył swoją opinię, wsuwając dłoń pod jej koszulę i zostawiając ją na jej brzuchu. Szorstkimi koniuszkami palców zataczał małe kółeczka na jej gładkiej skórze. - Ale ja lubię marshmallows. Lubię ich smak, lubię jakie są w dotyku. Zabrał usta z jej karku na ramię i delikatnie skubnął je zębami.

Pożądanie, które ją zalało, było tak nagłe i intensywne, że aż się mimowolnie wygięła.

- Lubię wgryzać się w pianki. - Ponownie skubnął zębami jej skórę, podczas gdy jego dłoń powędrowała do jej piersi i zajęła oboma sutkami jednocześnie.

Natychmiast serce zaczęło walić jej jak młotem, oddech zrobił się przerywany, a między nogami poczuła silne pulsowanie. Oswoiła się już z jego dotykiem. To była czwarta noc, podczas której spała w jego ramionach. Całował ją, przytulał. Jej ciało już dawno było gotowe na więcej.

Przesunął dłoń z powrotem w dół i jego palce zapuściły się pod gumkę jej spodni dresowych. Gorąca dłoń sunęła w dół po jej chłodnych pośladkach, potem znowu w górę. Kiedy ponownie zsunęła się w dół, pociągnęła za sobą majtki.

Była tak spięta, że aż cała drżała, ale było to zupełnie coś innego od uczucia spięcia, które towarzyszyło jej wcześniej. Choć, pomijając obnażone pośladki, wciąż była całkowicie ubrana, ciągle okryta kilkuwarstwowym przykryciem z ciuchów, czuła się nieznośnie naga, odsłonięta, bezbronna.

Skierował powoli palce między jej nogi, prosto do serca jej kobiecości. Jego szczupłe, stanowcze palce wsunęły się między fałdy, znalazły ją, otworzyły.

- Lubię też brzoskwinie - szepnął, wchodząc w nią głęboko dwoma palcami. - Są takie soczyste, nagrzane przez słońce. Podciągnij trochę nogi, skarbie. Tak dobrze.

Igrał z nią, niemal boleśnie drażnił powolnymi ruchami dłoni niezwykle wrażliwe zakończenia nerwowe. Stłumiła jęk, kiedy kontynuował, doprowadzając ją do szaleństwa. A potem wysunął palce, zostawiając ją drżącą z podniecenia. Leżała nieruchomo, sparaliżowana oczekiwaniem, z zaciśniętymi powiekami słuchając, jak rozpina rozporek, rozrywa opakowanie kondoma i go nakłada; a potem przywarł do niej.

Zassała powietrze; czekając, cały czas wstrzymywała oddech. Wyciągnęła w tył rękę, żeby dotknąć jego twarzy, potem przesunęła ją na jego kark.

Powoli, bardzo powoli, pchnął... tylko trochę, i zaraz się wycofał. Jej ciało dopiero zaczynało się na niego otwierać. Czekala, a on napał jeszcze raz, znowu delikatnie, i ponownie się wycofał.

- Cam... - wyszeptała jego imię. Na zewnątrz było zimno, ale w ich szalasię było im bardzo przytulnie; ich rozpalone ciała wytwarzały kosmiczne ilości ciepła. Powiedziała jego imię, tylko jego imię, ale nic więcej nie było trzeba.

Wrócił. Położył dłoń na jej brzuchu, przytrzymując ją, lekko pchnął i tak pozostał. Czowała, że powoli otwiera się przed nim jak pąk kwiatu.

Czowała przemożne pragnienie, by sama na niego naprzec, by to przyspieszyć, ale to, co robił, było zbyt cudowne, by z tego zrezygnować. Usłyszała przenikliwy jęk i zdała sobie sprawę, że to ona go wydała.

Jeszcze nigdy nie była do tego stopnia świadoma własnego ciała ani aktu seksualnego. Napierał na nią, domagając się zaproszenia, a jej ciało powoli poddawało się temu żądaniu, aż w końcu poddało się całkowicie i wpuściło go do środka.

Nie wszedł głębiej, po prostu tak pozostał, podczas gdy ona drżała, przyzwyczajając się do gorącego pulsowania wewnątrz. Była zaskoczona intensywnością tego doznania, graniczącego z bólem. Dawno nie uprawiała seksu i spodziewała się lekkiego dyskomfortu, ale nie wstrząsu.

Powoli, stopniowo wysuwał się z niej. Jej ciało wypuściło go równie opornie, jak wcześniej przyjęło; zacisnęła się, starając się go przytrzymać. Kiedy się uwolnił, oddychał głęboko.

- Co robisz? - zaprotestowała.

- Bawię się - odparł gardłowo. Znowu przycisnął do niej biodra, ona otworzyła się, on wsunął się w nią, po czym wycofał. Powtarzał tę płytką penetrację, dopóki nie mógł swobodnie wsuwać się w nią i z niej wysuwać; jej ciało zaczęło płonąć, a jej myśli zasnęła mgła. Poza nim nie była świadoma niczego więcej i nie chciała niczego poza nim. Drżała i on też drżał, z wysiłku, jaki wkładał w to, by nad sobą zapanować. Ciężko oddychał, z jego gardła wydobywały się niskie, chrapliwie dźwięki przy każdym wejściu w jej ciało. Była zadowolona, że on również cierpiał. Chciała dojsć, rozpaczliwie tego chciała, ale pozycja, w której byli, uniemożliwiała jej to. Chciała opleść go nogami. A skoro ona nie mogła mieć tego, co chciała, sprawiedliwe było, że on też nie mógł.

Nie wiedziała, ile to jeszcze trwało, ale nagle oboje nie byli w stanie znieść tej zabawy ani sekundy dłużej. Wysunął się z niej, obrócił ją twarzą do siebie i zaczął szarpać za jej spodnie dresowe, żeby pozbyć się ich do końca. Chcąc pomóc, wiała się i wierzgała, próbując do nich

dosięgnąć. Ledwie udało jej się uwolnić jedną nogę, był już na niej, rozkładając jej szeroko nogi i wchodząc w nią do końca jednym mocnym pchnięciem.

Objęła go nogami, złapała za pośladki i z całej siły przyciągnęła do siebie, dochodząc już za tym pierwszym, głębokim pchnięciem. Jej plecy wygięły się, z gardła wydobył zwierzęcy skowyt. On zagłębiał się w nią nadal, a kiedy z niej zaczęło schodzić już napięcie, także i jego ciało przeszło orgazm.

Czuła się niemal tak, jakby znowu się rozbili, spadając z nieba na ziemię.

Odplynęła. Głośnie łomotanie jej serca odbijało się dziwnym echem i dopiero po chwili zorientowała się, że słyszy także jego serce. Jego klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała, kiedy łapczywie chwycił powietrze. Ich rozgrzane ciała parowały; choć była w połowie obnażona i zupełnie odkryta, nie czuła zimna. Miała wrażenie, że już nigdy więcej go nie poczuje.

- A niech to - mruknął w końcu ochryplym głosem.

Z wysiłkiem uniosła rękę i klepnęła go w ramię.

Wysunął się z niej i opadł obok; wcześniej zrzucili z siebie całkowicie przykrycie i teraz wyciągnął na chybił trafił jakieś dwa ciuchy, którymi ich okrył.

- Nie zasypiaj - powiedział, choć jego głos sugerował, że sam też odplywa. - Musimy sobie to wyjaśnić... musisz się ubrać... ja muszę sprawdzić, co z ogniskiem... - Nagle zamilkł.

Po upływie jakiejś minuty zaklął i podźwignął się do pozycji siedzącej.

- Jeśli nie zrobię tego zaraz, to sam zasnę. - Ściągnął prezerwatywę i wytarł się, a potem szybko się ubrał i wyszedł z szałas.

I właśnie to było fajne w kondomach, pomyślała sennie Bailey: ona nie musiała doprowadzać się do porządku. Mogła spokojnie iść spać.

Nagle poczuła opływającą ją falę zimnego powietrza i jęknęła. Dobre sobie: już nigdy więcej nie będzie czuć zimna. Usiadła, rozprostowała okręcone wokół jej jednej nogi spodnie dresowe i wciągnęła je z powrotem na tyłek. Potem zaczęła poprawiać rozgrzebane ubrania służące im za przykrycie. Cam wrócił do szałas, na chwilę zasłaniając swoimi szerokimi ramionami światło padające od ogniska. Pomógł się

jej ułożyć, po czym położył się obok niej, przykrył ich jeszcze paroma ciuchami, i przyciągnął ją do siebie.

Ułożyła głowę na jego ramieniu, co było dla niej tak naturalne, jakby sypiali ze sobą od lat. Czuła się nieco oszołomiona - nie, poprawka, mocno oszołomiona. I odprężona. I zaspokojona. Może odrobinkę obolała. Ale przede wszystkim, czuła, że idealnie do siebie pasowali, co jednocześnie było dosyć przerażające.

Rozdział 31

Logan Tilman, brat Bailey, zjawił się w biurze J&L rankiem piątego dnia. Bret od razu wiedział, kim był, zanim jeszcze się przedstawił. Nie dlatego, że on i Bailey byli do siebie aż tak bardzo podobni fizycznie - Logan był wyższy, miał ciemniejsze włosy, bardziej niebieskie oczy. Na to, że byli spokrewnieni, wskazywał ich sposób bycia, wymalowana na twarzy powściągliwość. Poza tym, jego twarz była wymizerowana z niepokoju, podobnie jak wysokiej, piegowatej kobiety, która mu towarzyszyła.

- Logan Tilman, brat Bailey - przedstawił się Karen. - To moja żona, Peaches. Ja... oboje nie mogliśmy dłużej wysiedzieć w Denver. Zero kontaktu, żadnych wiadomości. Woleliśmy być tutaj. Wiecie coś nowego?

Bret wyszedł z gabinetu, żeby się z nimi przywitać.

- Nie, niestety. Przykro mi. - Był tak samo wymizerowany jak oni; od kiedy rozbił się samolot Cama, spał mało i niespokojnie. Mimo to brał loty, ponieważ interes musiał się kręcić.

Finansowo nie było różowo, a właściwie było zupełnie kiepsko. Zakładając wspólny interes, on i Cam postąpili bardzo rozsądnie, bo ubezpieczyli samoloty oraz siebie, żeby firma mogła nadal funkcjonować, gdyby któremuś z nich coś się stało, ale nie wzięli pod uwagę naturalnej niechęci firm ubezpieczeniowych do rozstawiania się z pieniędzmi.

Choć samolot Cama zniknął z radaru nad wyjątkowo surowym, trudnym terenem - co w praktyce oznaczało, że się rozbił - ponieważ nie odnaleziono wraku ani ciała Cama, dla firmy ubezpieczeniowej

Cam nadal żył i nic się nie zmieni, dopóki nie zostaną odnalezione jego szczątki lub sąd nie uzna go za zmarłego. Tak więc, Bret był uboższy o jeden samolot i jednego pilota, a to oznaczało mniejsze dochody. Chodził nocą w tę i z powrotem, zamartwiając się długami, które miał do spłacenia. Oczywiście będzie musiał zatrudnić innego pilota, ale znalezienie kogoś o odpowiednich kwalifikacjach trochę potrwa.

Uświadomił sobie, że Karen patrzy na niego zwięzionymi oczami; takie spojrzenie oznaczało, że spotka go kara, jeśli nie zrobi tego, czego od niego chciała. Zacerpnął powietrza. Karen czekała, żeby powiedział bratu Bailey o dziwnej sprawie z paliwem.

Miała rację; Logan musiał wiedzieć. Bret nie chciał być tym, który mu o tym powie, ale nie miał wyboru.

- Zapraszam do mojego gabinetu - westchnął ciężko. - Napijcie się kawy?

Peaches spojrzała na męża, jakby oceniając, czy potrzebował zastrzyku kofeiny.

- Tak, poprosimy - powiedziała, biorąc Logana za rękę. Ścisnął lekko jej dłoń i słabo się uśmiechnął.

Bret zaprowadził ich do swojego gabinetu i zachęcił gestem, by usiedli.

- Jaka kawę pijecie?

- Jedna ze śmietanką, jedna czarna - odpowiedziała Peaches. Miała głos jak Dzwoneczek z Piotrusia Pana: lekki i dźwięczny. Bret często rozmawiał z Bailey podczas ich wspólnych lotów i pamiętał, jak bardzo lubiła swoją bratową. Zdaje się, że Logan był jedynym członkiem jej rodziny, z którym utrzymywała kontakt; w każdym razie tylko o nim wspominała.

Ich oczywisty ból był przytłaczający. Bret musiał choć na chwilę stąd wyjść.

- Pójdę po kawę - rzucił szybko, a kiedy wyszedł, zobaczył, że Karen już się tym zajmowała, bo oczywiście podsłuchiwała. Posłała mu przeszywające spojrzenie, czytając z wyrazu jego twarzy.

- Weź się w garść, szefie - powiedziała, a on spojrzał na nią drwiąco. A więc nie miał co liczyć na współczucie. Miał pecha ten, co spodziewał się współczucia od Karen Kamiński. Zauważył, że ufarbowała sobie włosy; wcześniej miała tylko kilka czarnych pasemek w swoich

rudych włosach, a teraz jej włosy były bardziej czarne niż rude. Ciekawe, czy był to jej sposób wyrażania żałoby.

Wyciągnęła skądś małą tacę i postawiła na niej trzy filiżanki, dorzucając opakowania ze śmietanką i mieszadełka. Potem nalala kawy. W milczeniu Bret wziął tacę i zaniósł ją do swojego gabinetu, gdzie postawił ją na biurku.

Logan nachylił się, wziął filiżankę czarnej kawy i podał żonie. Bret przyglądał się, jak dodaje śmietankę do własnej kawy, i przypomniał sobie, że Bailey też piła ze śmietanką. Wspomnienie to było zaskakująco bolesne. Setki razy dziennie łapał się na tym, że chciał coś powiedzieć Camowi, ale nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, od jak dawna byli przyjaciółmi, a potem także partnerami. Choć jego kontakty z Bailey były służbowe i sporadyczne, lubił ją. Kiedy się wyluzowała, była zabawna, sarkastyczna i nie traktowała siebie serio.

Cam w ogóle jej nie lubił i z wzajemnością, toteż ironią losu było, że zginęli razem.

Bret złapał swoją filiżankę i stanął do nich tyłem, wpatrzony w okno, starając się nad sobą zapanować.

- Jest jedna dziwna sprawa, jeśli chodzi o paliwo - odezwał się w końcu, niskim, głuchym głosem.

Przez chwilę panowała absolutna cisza.

- Co takiego? - powiedział ostrożnie Logan. - Jaka znowu dziwna sprawa?

- Samolot nie zabrał dość paliwa. W zbiorniku była połowa tego, ile potrzebowali, żeby dotrzeć do Salt Lake City, gdzie mieli ponownie zatankować.

- Jaki pilot by wystartował, nie mając dość paliwa? I dlaczego po prostu gdzieś nie wylądował, żeby zatankować więcej? - Logan był wściekły; Bret dobrze to rozumiał. Odwrócił się, żeby spojrzeć na brata Bailey.

- Odpowiadając na pierwsze pytanie - podjął powoli - pilot, który myślał, że ma dość paliwa, bo tak pokazywał wskaźnik. Jednocześnie jest to odpowiedź na drugie pytanie.

- Chcesz powiedzieć, że wskaźnik poziomu paliwa był zepsuty? Skąd to możesz wiedzieć, skoro wrak nie został odnaleziony?

Logan był bystry, Bret musiał mu to przyznać. Chwycił w lot wszystko, o czym mówił Bret i zadał odpowiednie pytania.

- Zbiorniki paliwa były niemal puste, kiedy samolot wylądował poprzedniego dnia. Ale podczas tankowania następnego ranka, wiano tylko sto czterdzieści litrów, choć do zbiornika wchodzi prawie dwa razy tyle.

- Czyli facet, który wlewał paliwo, popełnił błąd. Ale to nie tłumaczy, dlaczego uważasz, że wskaźnik poziomu paliwa był uszkodzony. - Logan był coraz bardziej wściekły; wyraźnie słyhać to było w jego głosie.

- Nic nie mówiłem o uszkodzonym wskaźniku - odparł Bret. - Nie sądzę, żeby był uszkodzony.

- W takim razie...

- Są inne sposoby - ciągnął, ostrożnie dobierając słowa - żeby wskaźnik paliwa pokazywał, że zbiornik jest pełen, choć tak naprawdę nie jest.

Znowu na moment zapadła cisza. Logan i Peaches patrzyli na siebie nawzajem, po czym Logan ściągnął brwi i rzekł:

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powtórzyłem ci, co mówiła Tamzin, ale ty to zlekceważyłeś. Chcesz teraz powiedzieć, że to możliwe, żeby chodziło o sabotaż?

- Nie wiem. Dopóki nie znajdą wraku, możemy tylko snuć domysły. - Znużony potarł czoło. - Ale z drugiej strony tylko to by miało sens. Cam był najbardziej ostrożnym pilotem, jakiego znałem. Wszystko sprawdzał po dwa razy; jeśli chodzi o latanie, niczego nie brał za pewnik. Nie ma mowy, żeby nie zauważył, gdyby wskaźnik pokazywał, że prawie nie ma paliwa.

- Trudno jest uszkodzić wskaźnik?

- Wcale - przyznał Bret. - Ale to nie przy wskaźniku było majstrowane, tylko przy samych zbiornikach. Miały wyglądać na pełne, kiedy tak nie było.

- Poinformowałeś o tym, kogo trzeba? - warknął Logan. - I o tym, co powiedziała Tamzin?

Bret skinął głową.

- Ale bez dowodów, bez odnalezienia wraku samolotu, nie można nic zrobić.

- Ale chyba muszą być jakieś taśmy z kamer ochrony. W końcu to lotnisko!

- Bardzo małe lotnisko, które nie obsługuje lotów rejsowych. Ale owszem, mamy taśmy z kamer ochrony.

- I?

- Firma zajmująca się ochroną nie udostępni ich bez nakazu sądowego. Śledczy z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, McGuire, stara się o nakaz, ale jeszcze nie został wystawiony.

- Do diabła, czemu nie współpracują? - Blady i zaaferowany Logan wstał i zaczął krążyć po gabinecie.

- Może boją się procesu. Może taką mają politykę firmy, a niektórzy trzymają się jej naprawdę kurczowo.

- Ale że policja nie przesłuchiwała Setha Wingate'a? Po tym, co powiedziała Tamzin?

- Czy ktoś jeszcze słyszał, co powiedziała ci Tamzin? - zapytał znacząco Bret. - Tamzin znana jest z niepoczytalności. A Seth to Wingate; co prawda nie osiągnął niczego w życiu, ale to nie zmienia faktu, że nazywa się Wingate, a to nazwisko naprawdę dużo znaczy.

- To również nazwisko Bailey - odezwał się ściśniętym głosem Logan i odwrócił, by ukryć swoje poruszenie. Z błyszczącymi od łez oczyma, Peaches podniosła się i podeszła do niego. Oparła głowę o jego plecy. Tylko tyle, ale uspokoił się i odwrócił, by objąć ją ramieniem.

Bret nic nie powiedział, nie wyjaśnił, że Bailey nie cieszyła się tutaj zbyt dużą popularnością. Towarzystwo, w którym obracali się Wingate'owie, bardzo szybko wykluczyło ją ze swojego kręgu po śmierci jej męża. Mieli ją za kobietę, która wykorzystała chorego starszego mężczyznę, który stracił żonę i wkrótce potem dowiedział się, że sam jest umierający. Po jego śmierci Bailey nie zniknęła z widoku, została w domu, który na dobrą sprawę powinien należeć do jego dzieci, i miała pod swoim zarządem ogromną fortunę Wingate'ów. Ale nie zamierzał mówić tego wszystkiego oplakującemu ją bratu.

- Czyli teraz nie można nic zrobić.

- Na razie nie. Kiedy znajdą wrak i będą dowody sabotażu, sytuacja będzie zupełnie inna.

- Jeśli go znajdą.

- Znajdą - powiedział pewnie Bret. - W końcu go znajdą.

W końcu. No właśnie. Tu był pies pogrzebany. „W końcu” mogło oznaczać dwa dni, dwa lata albo kolejne stulecie. Póki to się nie stanie, nie będzie żadnej kary dla mordercy.

- Nie wytrzymam tego - szepnął Logan, chodząc w tę i z powrotem po ich pokoju hotelowym. Wychodził w ten sposób mnóstwo kilometrów, od kiedy dowiedzieli się, że samolot, którym leciała Bailey, zaginął. - Już same papiery dotyczące tankowania powinny wystarczyć, żeby przekonać sędziego, że coś tu śmierdzi.

Peaches leżała zwinięta na łóżku, a jej twarz, pokryta piegami, była okropnie blada. W ostatnich dniach niewiele spali i niewiele jedli. Niewiedza była czymś strasznym. Wiedzieli tylko tyle, że Bailey zginęła. Niezwykle ciężko było pogodzić się z tym faktem, skoro nie znaleziono jej ciała. Powinna zostać pochowana, powinna odbyć się ceremonia upamiętniająca koniec jej życia. Peaches starała się nie myśleć o tym, co działo się z ciałami w dziczy, ale wiedziała, że Logan o tym myślał i go to zżerało.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ich oboje, bo nie zamawiali jedzenia do pokoju, woląc znaleźć coś tańszego na mieście. Sporo wydali na wakacje, które nie doszły do skutku (mieli otrzymać tylko częściowy zwrot), a potem doszły jeszcze opłaty za motel oraz hotel i zaczęli trochę przejmować się pieniędzmi.

- To pewnie Larsen - rzucił Logan; było to logiczne założenie, biorąc pod uwagę, że Bret wiedział, gdzie się zatrzymali. Chociaż nie rozumiał, czemu osobiście się fatygował zamiast zadzwonić, jeśli chciał z nimi jeszcze pogadać.

Otworzył drzwi i znieruchomiał. Widząc to, Peaches poderwała się z łóżka i podbiegła do jego boku, wpatrując się z oszołomieniem w wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał za drzwiami. Nie rozpoznała go, ale niepokój, jaki poczuła, pozwolił jej się domyślić, kto to jest.

- Czego chcesz, do cholery? - zapytał Logan z taką wrogością, że aż się wzdrygnęła. - Jak nas znalazłeś?

- Chcę pogadać. Łatwo was było znaleźć. Wystarczyło zapytać. Zostawiliście w domu informację, gdzie was w razie czego szukać. Wszystko co musiałem zrobić, to powiedzieć, że zgubiłem numer twojej komórki, a chcę porozmawiać na temat katastrofy.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Logan zaczął zamykać drzwi, ale Seth Wingate wystawił rękę i je zablokował. Był dobrze zbudowanym facetem, a jego twarz można by uznać za przystojną, gdyby nie była pozbawiona wyrazu.

- W takim razie tylko posłuchaj - rzekł chłodno. - W żaden sposób nie przyczyniłem się do katastrofy tego samolotu.

- Ale ktoś się przyczynił - odparł Logan, zaciskając zęby; jego oczy płonęły gniewem. - Twoja siostra piała z zachwytu nad tym, jak to niebezpiecznie jest ci wchodzić w paradę i że Bailey dostała to, na co zasłużyła.

- Moja siostra - zaczął powoli Seth - jest zimną suką i niewykluźzone, że chce mnie zrobić.

Logan miał ochotę mu przywalić, ale się powstrzymał. Obok stała Peaches i nie chciał ryzykować, że przypadkiem oberwie.

- Lojalne z was rodzeństwo, nie ma co - syknął pogardliwie.

Seth uśmiechnął się gorzko.

- Nie wiesz nawet połowy - burknął. - Chciałem tylko, żebyś wiedział, że ja tego nie zrobiłem. - Potem odwrócił się i odszedł; Logan i Peaches nadal stali w drzwiach swojego pokoju hotelowego, odprowadzając go wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem korytarza.

Rozdział 32

Cam, zanim wyszedł znowu, żeby dorzucić do ognia, zlokalizował apteczkę wśród płataniny ciuchów, odwinął ją z koszuli i zabrał na zewnątrz, żeby ponownie napełnić śniegiem. Pomysłowość Bailey, żeby wykorzystać apteczkę w charakterze podgrzewacza do pościeli, przywołała uśmiech na jego usta; miała niezwykły talent do wynajdowania nowego zastosowania dla różnych przedmiotów, by jak najlepiej zaadaptować je dla ich potrzeb. Gdyby byli zmuszeni pozostać na miejscu katastrofy dłużej, nie miał wątpliwości, że ich szałas z gałęzi zamieniłyby się w lepiankę, a z samolotowych części zbudowałyby wiatrak, żeby zasilą akumulator i żeby mogli rozpalić tyle ognisk, ile im się zamarzy.

Po dorzuceniu do ognia położył apteczkę na zwęglonym drewnie. Cudownie będzie napić się z rana ciepłego napoju. Jeszcze cudowniej byłoby móc pozostać w łóżku przez cały dzień, ale zważywszy na ich sytuację żywnościową nie mogli sobie pozwolić na ten luksus.

Czekał, aż śnieg w apteczce się roztopi, kucając tak blisko ognia jak się dało, a mimo to trzęsąc się z powodu lodowatego wiatru. Po dodaniu kolejnej porcji śniegu oraz garści igieł piniowych, wrócił do szalasu na jeszcze jedną godzinę snu, zanim wstanie świt i trzeba będzie zacząć kolejny wyczerpujący dzień.

Bailey nie obudziła się, tak samo jak za żadnym poprzednim razem, kiedy wychodził w ciągu nocy zająć się ogniem. Wyciągnął się obok niej, a ona wtuliła się w niego przez sen. Przy odrobinie szczęścia wszystkie ich noce będą wyglądać w taki sposób, ale nie brał niczego za pewnik. Bailey jak ognia unikała zaangażowania. Płynięcie z prądem było dla niej zupełnie obcym pojęciem i absolutnie nie ufała uczuciom.

Czekało go trudne zadanie - będzie musiał albo omijać, albo rozbrajać miny z jej dzieciństwa. Rozwód był ciężką sprawą dla wszystkich, zwłaszcza dla dzieci, ale dla Bailey okazał się wręcz katastrofalny w skutkach. Spowodował, że najważniejsze stało się dla niej poczucie bezpieczeństwa, w większym niż przeciętny wymiarze. Przez całe dorosłe życie robiła wszystko, żeby jak najlepiej się zabezpieczyć, chociażby starając się nie angażować.

Spójrz prawdzie w oczy, powiedział sobie wesoło: twoje kawalerskie dni dobiegły końca. Musi zająć się problemem Bailey. Ona nie będzie chciała, żeby byli tylko kochankami, ale jednocześnie będzie przerażona perspektywą zobowiązań, prawdziwego związku, małżeństwa. Nie miał pojęcia, jak przekona ją, żeby zaryzykowała, ale jakoś da radę, równocześnie dobrze się bawiąc.

- Twoja poranna kawka - powiedział Cam, budząc Bailey pocałunkiem i podając jej zatyczkę od dezodorantu napełnioną w połowie herbatką z igieł pinii.

- Hm... - Zaspana podniosła się do pozycji siedzącej, przesunęła, żeby oprzeć się o głaz i wzięła od niego zatyczkę. Pierwszy łyk był cudowny, choć nie ze względu na smak, tylko rozgrzewające właściwości, i ze względu na jego gest. Jeszcze nikt nie przyniósł jej niczego do łóżka, zawsze sama musiała o wszystko zadbać. Upiła kolejny łyk, a potem podsunęła zatyczkę jemu. - Coś wspaniałego: z najlepszych igieł piniowych w całej Ameryce.

Pokręcił przecząco głową, sadowiąc się obok niej.

- Ja już piłem. To wszystko dla ciebie.

Choć napar z igieł pinii nie miał takiego działania jak kawa czy herbata, nie narzekała. Była zadowolona, że w ogóle miała coś ciepłego do picia. Właściwie tego ranka była więcej niż zadowolona, była niedorzecznie szczęśliwa, co ją jednocześnie przerażało. Ale postanowiła zastanowić się nad tym później.

- Co mamy dzisiaj w planach? Zakupy, trochę zwiedzania, potem lunch?

- Pomyślałem, że połazimy po górach. - Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Przykrył im nogi ubraniem, bo choć na zewnątrz płonęło ognisko i wypili ciepły napój, powietrze było okropnie zimne, a ich szalas mocno nieszczelny.

- Brzmi nieźle.

- Dzisiaj musimy się postarać. - Był jakiś posepny i zerknęła na niego. - Może zrobimy uprząż i będziemy się spuszczać, sanki też, kiedy natrafimy na pionowy spadek? To powinno zaoszczędzić nam czasu. Musimy jak najszybciej wydostać się z tej strefy mocnych wiatrów, żeby zacząć dawać znaki dymne.

Bailey nie musiała pytać dlaczego. Dzięki orzeszkom piniowym jakoś funkcjonowali, ale potrzebowali czegoś więcej niż garstki nasion parę razy dziennie. Nie wiedzieli, ile jeszcze razy uda im się rozpaść ogień od akumulatora, zanim całkiem padnie, a trzeba najpierw podpiec szyszki, żeby łatwiej wyłuskać nasiona, więc nawet to źródło pożywienia było niepewne. Dzisiaj był dzień z gatunku „teraz albo nigdy”, dzisiaj miały się rozstrzygnąć ich losy, choć na dobrą sprawę rozstrzygały się już od pierwszego dnia. Ogółem, ich sytuacja była mocno podbramkowa.

Po zjedzeniu garści orzeszków piniowych szybko spakowali swój dobytek, zgasili ognisko i ruszyli w drogę. Poniekąd była zadowolona, że nie było okazji, żeby się poprzytulać, popieścić czy nawet ponownie kochać. Podanie jej do łóżka herbatki z igieł piniowych biło na głowę wszelkie inne czułe gesty, jakie mógł wykonać, a co do ponownego kochania się, to, no cóż, była trochę obolała po wczorajszym, co nie było znowu aż takie dziwne, biorąc pod uwagę, od jak dawna nie uprawiała seksu.

Poza tym potrzebowała czasu, żeby to wszystko przetrwać. Choć bardzo łatwo przystosowywała się do nowego otoczenia, emocjonalnie nie była aż tak elastyczna. Dzień intensywnego wysiłku

fizycznego, bez zagłębiania się w uczucia, był dokładnie tym, czego potrzebowała.

Cam narzucił dość forsowne tempo, tak forsowne, że aż się o niego bała. Szedł pierwszy, więc gdyby nagle nastąpił na ukrytą pod śniegiem szczelinę, zniknąłby w niej, ciągnąc za sobą ciężkie sanki, zanim zdążyłaby w ogóle zareagować.

Scenariusz ten wydał jej się nagle tak realny, że krzyknęła, żeby się zatrzymał, a kiedy to zrobił, podbiegła i go wyminęła.

- Ja będę prowadzić - oświadczyła stanowczo, ruszając szybkim krokiem.

- Co jest, do cholery? Hej! - zawołał za nią, ruszając, by ją dogonić.

- Ty ciagniesz sanki. Ja będę sprawdzać podłoże.

Nie podobało mu się to, ale ponieważ nie mógł jej dogonić, niewiele mógł z tym zrobić - i nie dogonił jej, dopóki będzie ciągnął sanki. Poprawiła szelki swojego prowizorycznego plecaka i puła dalej.

Postarała się o długi, mocny kij, którym dźgała ziemię przed sobą, żeby się upewnić, że rzeczywiście tam jest, ale starała się, by jej to za mocno nie spowalniało. Sił dodawała jej możliwość, że już dziś lub jutro zostaną uratowani. Boże, jak ona chciała wydostać się z tych gór! Szła równym rytmem, najpierw kij zanurzał się w śnieg, potem dostawiała rakiety śnieżne. Towarzyszące temu dźwięki były monotonne, usypiające, co stwarzało zagrożenie. Chrzęst, szur, szur, chrzęst, szur, szur. Musiała się bardziej skoncentrować i uważać.

Schodzili w takich miejscach, które wczoraj by okrążali. Bywało tak ciężko, że nie poradziłyby sobie bez mocnego kija i musieli ściągać rakiety śnieżne, żeby mieć lepszą przyczepność. Schodziła na dół pierwsza, a Cam powoli spuszczał jej sanki, na linie z powiązanych ubrań. Potem ona przytrzymywała sanki, on schodził i znowu je przejmował.

Nie wspominał o przejęciu prowadzenia, ale obecny system, kiedy to ona szła pierwsza i badała podłoże, sprawdzał się tak dobrze, że musiałby być głupi, żeby na to naciskać. Co jak co, pomyślała, ale Cam głupi nie był. Owszem, miał spore ego, ale miał również mózg, z którego korzystał. I to jej się w nim podobało; nie, kochała to w nim. W myślach powtórzyła to słowo kilka razy. Kocha go, kocha, kocha.

Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczai, ale nie była już tak spanikowana jak na początku.

Tuż przed południem zerwał się pasek jej prawej rakiety śnieżnej. Stało się to w połowie kroku i poleciała do przodu, już tylko w jednej rakiecie. Przed upadkiem prosto na twarz uratował ją wbity w ziemię kij. Wylądowała na kolanie i szybko podniosła się z powrotem. Ściągnęła z twarzy maskę i zaczerpnęła tchu.

- Nic mi nie jest - zapewniła, kiedy Cam się z nią zrównał, oceniając badawczym wzrokiem, czy przypadkiem nie ucierpiała. Dopiero potem schylił się po rakiety śnieżną.

- Mogę to naprawić - powiedział po szybkim rzucie oka na zerwany pasek. - I tak powinniśmy odpocząć.

Siedzieli na sankach, podając sobie nawzajem butelkę z wodą. Usunął zerwany pasek, zastępując go nowym, odciętym od jakiejś części garderoby. Jak tak dalej pójdzie, jeśli wkrótce nie zostaną uratowani, może im zbraknąć ubrań, którymi przykrywali się w nocy.

- Nieźle nam idzie - stwierdził, rozglądając się wokół. - Myślę, że jesteśmy jakieś dwieście metrów niżej niż rano.

- Dwieście metrów - mruknęła. - A przeszliśmy z dziesięć kilometrów, co najmniej.

Uśmiechnął się.

- Nie całkiem. Ale to dwieście metrów jest bardzo znaczące. Nie czujesz różnicy, jeśli chodzi o wiatr?

Uniosła głowę. Teraz, kiedy o tym wspomniał, rzeczywiście czuła różnicę. Drzewa aż tak bardzo się nie wyginały i choć wiatr nadal był zimny, nie był już lodowaty i tak przenikliwy jak wcześniej. Poza tym ponieważ nie byli w stanie schodzić na dół w prostej linii, coraz bardziej oddalali się od strony nawietrznej stoku, kierując się na wschód. Temperatura była pewnie wyższa zaledwie o stopień czy dwa, ale ponieważ osłabł wiatr, było niemal przyjemnie.

Już wcześniej miała dobry nastrój, ale teraz prawie wpadła w euforię. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

- Wygląda na to, że jednak będziesz mógł nadać te znaki dymne jeszcze dziś po południu, Tonto*.

* Tonto - Indianin z plemienia Apaczów, towarzysz Samotnego Strażnika; bohaterowie westernowego cyklu, którego twórcami byli George W. Trendle i Fran Striker (przyp. tłum.).

Parsknął i leciutko uszczypnął ją w nogę, po czym dokończył naprawianie rakiety śnieżnej.

- Jak nowa - ocenił, kucając, żeby przytwierdzić ją do jej stopy.

- Gotowa do drogi?

- Gotowa. - Była głodna i zmęczona, ale zapewne nie bardziej niż on, może nawet trochę mniej, ze względu na jego większą masę mięśniową, przez którą spalał więcej kalorii. To był ich piąty dzień w górach i przypuszczała, że straciła jakieś pięć kilo wagi z zimna i braku jedzenia, ale on prawdopodobnie stracił co najmniej siedem. Teraz, kiedy nie zostało im już nic do jedzenia, ścigali się z czasem, by dotrzeć do cieplejszej strefy. Zmuszając się do tak dużego wysiłku, spalali więcej kalorii, owszem, zgadza się, ale jeśli w efekcie mieli zostać uratowani jeszcze dziś po południu czy jutro rano, to było warto.

Kiedy wstali, Cam przeciągnął się, zrobił kilka wymachów i dopiero wtedy założył uprząż. Mogła tylko sobie wyobrazić, ile wysiłku kosztowało go ciągnięcie tych ciężkich sanek, zwłaszcza po tak trudnym terenie. Widziała wyraźne zmęczenie na jego twarzy i zastanawiała się, ile jeszcze da radę wytrzymać.

Ruszyli, przemieszczając się tą samą metodą co wcześniej. Choć zrobili sobie przerwę, i choć na co dzień ćwiczyła, mięśnie nóg paliły ją żywym ogniem. Ale jeśli Cam mógł iść, to ona też mogła.

W pewnym momencie krzyknął; odwróciła się i zobaczyła, jak Cam walczy z sankami - jedna z płóz zsunęła się ze skały, ciągnąc za sobą resztę. Spadek nie był wysoki, jakieś dwa metry, ale było to dość, żeby sanki się rozpadły. Niezdarnie, szurając raketami, podbiegła, wyminęła go i dopadła tyłu sanek. Były tak skonstruowane, że nie mogła ich porządnie uchwycić, więc ostatecznie złapała za koniec związającej płozy i mocno pociągnęła. Usłyszała złowieszczy trzask, ale nie puściła. Zaparła się stopami i ciągnęła w górę, podczas gdy Cam z całych sił ciągnął do przodu. W końcu środek ciężkości sanek wrócił na swoje miejsce i ruszyły do przodu. Szybko puściła płozę, żeby ratować palce.

Wtedy pośliznęła się i z krzykiem zsunęła ze skały.

Wylądowała z głośnym, bolesnym grzmotnięciem, przewracając się na brzuch.

- Cholera!

- Bailey!

W głosie Cama wyraźnie było słychać przerażenie, odkrzyknęła więc:

- Wszystko w porządku, niczego nie zламаłam! - Ale zdecydowanie powiększyła się jej już i tak niezła kolekcja siniaków. Podniosła się, otrzepała śnieg z dłoni i kolan, a potem rozejrzała się, szukając jak najdogodniejszej drogi powrotu. Niestety, musiała cofnąć się jakieś trzydzieści metrów, a potem gramolić się w górę stromego spadku, najeżonego luźnymi kamieniami ukrytymi pod śniegiem, co czyniło wspinaczkę bardzo niebezpieczną. Była cała zasapana z wysiłku, zanim w końcu do niego dotarła.

Żadne z nich się nie odezwało, bo nie było sensu tracić cennego czasu. Jemu nic nie było, jej nic nie było, sanki też nie ucierpiały. Mogli ruszać dalej.

Tuż przed siedemnastą zatrzymała się gwałtownie, patrząc z przerażeniem na znajdujące się poniżej urwisko w kształcie półokręgu. Ściany były z pionowych, szarych skalnych płyt, gdzieniegdzie z akcentami bieli, tam, gdzie na skalnych wypustkach, leżał śnieg. Od jakiegoś czasu robiło się coraz bardziej stromo, tak, że ledwo sobie radzili z sankami, a teraz w ogóle nie mogli iść dalej, chyba że chcieli pokonać ostatnie trzysta metrów swojej wędrówki z szybkością swobodnie spadającego ciała. Chcąc obejść urwisko, musieliby znowu wejść pod górę, ale wspinaczka zapowiadała się bardzo trudna i wiedziała, że jej nie podała, nie teraz. Pozostawało jeszcze jedno wyjście - cofnąć się i poszukać innej drogi.

- Wygląda na to, że tutaj rozpalimy ognisko - oznajmił Cam, opierając sanki o głaz, żeby nie zjechały na dół. Ściągnął uprząż i otarł pot z twarzy.

- Tutaj? - Niedobrze. Jeśli ich nie uratują, będą mieli przechlapanie. Nie było tu gdzie postawić chociażby najprymitywniejszego szałas. Rosło tu niewiele drzew, więc nawet z zebraniem drewna opałowego będzie ciężko. Westchnęła; ale co im pozostawało. To był koniec drogi. - Tutaj.

Rozciągał mięśnie grzbietu, robił skrety głową. Nagle roześmiał się i powiedział:

- Spójrz.

Spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła w dole, wcale nie tak daleko od nich, granicę wiecznego śniegu. Nie była to wyraźna granica, jak od linijki, po prostu stopniowo było coraz mniej śniegu i coraz więcej drzew. Niestety, nie mogli teraz tam dotrzeć.

Bailey skierowała twarz pod wiatr i uświadomiła sobie, że teraz był to ledwie wietrzyk. Dym unoszący się z ich ogniska nie zostanie rozproszony i ktoś będzie musiał go zauważyć. Jeśli nie dziś, to jutro. Zrobią wielkie, dymiące ognisko i będą je palić dopóty, dopóki ktoś się nie pofatyguje, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Cam zabrał się już do pracy. Odgarnął śnieg i kopał dołek. Bailey zrzuciła plecak i poszła szukać drewna. Nie mogła przynieść za wiele za jednym podejściem, bo musiała mieć jedną rękę wolną, żeby zachować lepszą równowagę i w razie potrzeby się przytrzymać. Po powrocie zauważyła, że wykopał nie jeden, ale trzy dołki.

- Po co nam trzy ogniska?

- Trójka to umowny symbol przy wzywaniu pomocy: trzy dmuchnięcia w gwizdek, trzy ogniska, trzy stosy kamieni. Cokolwiek by to było, musi być potrójne.

- Wiele się nauczyłam podczas tych wakacji - zakpiła, wracając do swojego zajęcia. W praktyce, trzy ogniska oznaczały, że musiała nazbierać trzy razy więcej drewna. Hura!

Kiedy ułożyli już trzy stosy drewna, a także przygotowali papier i korę w charakterze podpałki, Cam jeszcze raz rozniecił ogień za pomocą akumulatora. Ostrożnie rozpalili pierwsze ognisko, zaczekali, aż zacznie palić się drewno, a potem, na patyku, przenieśli płomień do dwóch pozostałych. Wkrótce płonęły wszystkie trzy, ogień buchał wysoko, ale nie było za wiele dymu. Chciała ogromnych kłębow dymu, chciała słupów dymu unoszących się na kilometr.

Cam musiał myśleć o tym samym, bo dorzucił do wszystkich trzech ognisk zielonych gałęzi i niebawem dym zrobił się bardziej obiecujący.

- Teraz czekamy - powiedział, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie na głęboki pocałunek. Oparła się o niego, zbyt zmęczona, by zrobić coś więcej ponad objęcie go rękami w pasie.

Zdjął z sanek worki z ubraniami i ustawił jeden przy drugim. Ze względu na ich zawartość idealnie sprawdzały się jako prowizoryczne siedziska i z rozkoszą się w nich rozsiedli. Przez kilka minut w ogóle

się nie odzywali, regenerując pozostałe im siły. Gdy w końcu się odezwał, bardzo ją zdziwił.

- Kiedy wrócimy do domu - spojrzał na nią - nie waż się próbować mi uciec.

Myśl ta przyszła jej parę razy do głowy, od kiedy pierwszy raz zdała sobie sprawę, jak wiele on zaczyna dla niej znaczyć. Jednak prawdziwie spanikowała, kiedy zrozumiała, że jest już za późno, żeby uciec.

- Nie ucieknę - odpowiedziała po prostu, przekręcając głowę, żeby się do niego uśmiechnąć. Wyciągnęła rękę. Ujął jej dłoń i przyciągnął do swojego policzka.

Tuż przed zachodem słońca, kiedy ciągle siedzieli na swoich prowizorycznych siedziskach, podziwiając góry jak turyści, usłyszeli wyraźny łopot śmigieł helikoptera. Cam podniósł się, wymachując rękami, kiedy helikopter znalazł się w zasięgu ich wzroku; leciał w ich stronę niczym ćma do ognia.

Rozdział 33

Helikopter zawisł nad nimi, tak blisko, że smagały ich podmuchy od jego śmigieł i Bailey widziała okulary przeciwsłoneczne pilota. Był z nim jeszcze jeden mężczyzna; obaj mieli na sobie mundury, więc założyli, że to Służby Leśne. Niemożliwe było, żeby helikopter tu wylądował, ale najważniejsze, że ktoś wiedział, że tu byli i nadejdzie pomoc - wkrótce, miała nadzieję. Nie zbudowali szałasów, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, całą noc będą siedzieć w cieple.

Zresztą była tak wyczerpana, że i tak nie mogłaby pomóc przy budowie schronienia. Nawet nie wstała, żeby machać do helikoptera, mimo radości z bliskiego ocalenia - choć jak bliskie ono będzie, to się dopiero okaże; wszystko zależało od tego, ile czasu zajmie ratownikom dotarcie do nich.

Cam dawał ręką jakieś znaki pilotowi.

- Daj mu znać, żeby postarali się o jakieś śpiwory i je nam zrzuć - powiedziała do Cama. - I kilka termosów kawy. I tuzin donutów. O, i jeszcze krótkofalówkę. - Ze zmęczenia paplała, co jej ślina na język przyniosła, ale o to nie dbała.

Helikopter odleciał w kierunku, z którego przyleciał. Westchnęła, patrząc za nim. Choć spodziewała się, że tak będzie, to poczuła się rozczarowana.

Śmiejąc się, Cam usiadł obok niej.

- Sygnały ręczne nie obejmują aż takich szczegółów.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jest nas dwoje, że oboje jesteśmy na chodzie, a więc ratownicy nie powinni ryzykować życia, próbując do nas dotrzeć, i że jesteśmy tu piąty dzień.

Wyciągnęła nogi, krzyżując je w kostkach. To było prawie jak siedzenie na tarasie i podziwianie widoków, malowniczych swoją drogą, tyle że zamiast na tarasie siedziała na stromym górskim zboczu, a zaraz po lewej miała urwisko.

- Chyba powinniśmy się przygotować na zapadnięcie zmroku. Zebrać więcej drewna, przyszykować schronienie i takie tam.

Odwrócił się do niej; oparł łokcie na kolanach i przyglądał się jej twarzy, na której zobaczył kompletne wyczerpanie. Ujął ją za rękę.

- Nazbieram drewna, ale nie dam rady zbudować szałas. Bez tego wiatru jest o wiele cieplej. Będziemy siedzieć przytuleni przy ognisku.

- Może być. - Zamyśliła się. - Pewnie nie udałoby się przekazać im, jak się nazywamy, żeby mogli zawiadomić nasze rodziny?

Cam pokręcił przecząco głową.

- Wiesz, starałem się w ogóle nie myśleć o swojej rodzinie - rzekł po chwili. - Wiem, że przechodzą piekło, ale skoncentrowanie się na przetrwaniu było ważniejsze. Zapewne są w centrum koordynującym poszukiwania, gdziekolwiek to jest, bo tu żadne poszukiwania nie były prowadzone. - Urwał na chwilę. - Muszę się z nimi zobaczyć.

Ona myślała o Loganie i Peaches, o tym, jak strasznie musieli się czuć i martwić, ale ani przez moment nie sądziła, by ktokolwiek z pozostałych członków jej rodziny, nie wyłączając jej rodziców, ruszył tyłek z jej powodu. Matka mogła uronić łezkę czy dwie, opowiedzieć o swoim nieszczęściu innym, w celu pozyskania ich współczucia, ale żeby miała czekać w centrum koordynującym poszukiwania, aż odnajdą ciało jej córki? Akurat. A jej ojciec? Dawno temu dał jasno do zrozumienia, że niezbyt interesuje go, co się dzieje z trójką jego najstar-

szych dzieci. Cam był szczęściarzem, że miał taką rodzinę. Nie miał wątpliwości, że będą na niego czekać.

- Ze względu na twoją matkę - powiedziała - mam nadzieję, że będziesz miał okazję się umyć, zanim cię zobaczy. Potrzebujesz też jakichś ubrań. I bandaża na to rozcięcie, bo dobrze ci radzę: lepiej jej się tak od razu nie pokazuj. - Przyglądała się mu w migoczącym świetle ognisk. Miał pięciodniowy, niechlujny zarost, a sińce pod jego oczami przybrały brzydkie, fioletowo-żółty kolor. Do tego dochodziły rozmaite zadrapania. Jeśli chodziło o jego rozcięte czoło, to nie miała pewności, czy dzięki założonym przez nią szwom będzie po wygojeniu wyglądało lepiej. - Zaśmiała się. - Fatalnie wyglądasz.

Odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej - rzucił kpiąco. - Zupełnie jakbyś przeżyła katastrofę lotniczą i od pięciu dni żyła w dziczy. I jeszcze to podbite oko. Ale przynajmniej możesz mieć pewność, że nie zakochałem się w tobie z powodu twojego wyglądu.

Bailey niemal wyskoczyła ze skóry. Jak mógł jej mówić takie rzeczy, bez żadnego ostrzeżenia, żeby mogła się przygotować - choć jak można się przygotować na coś takiego, nie wiedziała. Zanim zdążyła zareagować, jeszcze raz przyłożył jej dłoń do swojego policzka.

- Jeśli poproszę, żebyś za mnie wyszła, uciekniesz z krzykiem?

Szok za szokiem. Zanim zdążyła uporać się z jednym, on już miał dla niej coś nowego. Efekt był taki, że siedziała sparaliżowana, nie mogąc zdecydować, na co odpowiedzieć w pierwszej kolejności. W końcu wydusiła:

- Być może. - Niech sam zdecyduje, czego dotyczyła jej odpowiedź.

Pocałował jej dłoń, a ona czuła, jak mu drgają wargi, kiedy powstrzymywał się od uśmiechu.

- W takim razie, nie poproszę - powiedział poważnie. - Jeszcze nie teraz. Wiem, że potrzebujesz czasu, żeby oswoić się z tą myślą. Musimy najpierw wrócić do codzienności, pobyc z sobą w normalnych okolicznościach. I przede wszystkim, trzeba najpierw zrobić coś z Sethem. Myślę, że pobierzemy się za jakieś dziewięć miesięcy, może rok. Co ty na to?

Aha, nie prosił jej o rękę, ale miał już wszystko zaplanowane. Jej spłoszone serce gubiło rytm, ale kiedy patrzyła na niego, zastanawiała

się, czy mogła dalej żyć, nie widząc tego uśmiechu, nie słysząc ironicznej nuty w jego głosie, kiedy kpił, nie śpiąc w jego ramionach. Nie wiedziała, czy w ogóle była jeszcze w stanie spać bez niego.

Odchrząknęła.

- Właściwie... małżeństwo jest dla mnie w porządku.

- Ale przeraża cię sama miłość, tak?

- Z tym też radzę sobie lepiej, niż się spodziewałam.

- Nie odczuwasz paniki na myśl, że cię Kocham?

- Nie, to też jest w porządku - odparła poważnie. - Przeraża mnie tylko moja wzajemność.

Zobaczyła błysk zadowolenia w jego oczach. Nie spuścił wzroku, żeby to ukryć; chciał, żeby widziała wszystko, co czuł.

- Chcesz przez to powiedzieć, że boisz się mnie Kochać, czy boisz się... bo mnie Kochasz?

Zaczerpnęła tchu.

- Uważam, że powinniśmy być ostrożni i z niczym się nie spieszyć.

Jego wargi znowu drgnęły.

- Czemu nie jestem zaskoczony, że to powiedziałaś? Ani że nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Przypomniała sobie jego opanowanie i nieustępliwą determinację, kiedy zachęcał samolot do pozostania w powietrzu, by zyskać cenne sekundy potrzebne im, by mogli dotrzeć do drzew, a nie rozbić się na skałach. Pomyślała, że czuła się z nim bezpieczna. Nie poddawał się, nie rezygnował. Nie zdradzałby jej, a gdyby mieli dzieci, nigdy by ich nie opuścił.

- Kocham cię - przyznała, po czym natychmiast sprostowała.

- Albo myślę, że cię Kocham. I jestem przerażona. Znaleźliśmy się w niecodziennej sytuacji i musimy się upewnić, czy nadal będziemy to czuć po powrocie do realnego życia. Całkowicie zgadzam się z tobą w tej kwestii.

- Nie powiedziałem, że musimy się upewnić co do tego. Ja wiem, co czuję. Powiedziałem, że rozumiem, że potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić.

O tak, zdecydowanie nieustępliwy, pomyślała.

- W takim razie, ustalone - oświadczył z zadowoleniem. - Jesteśmy zaręczeni.

Ponieważ zostali już zlokalizowani, zostawili tylko dwa ogniska i spędzili noc, leżąc przy jednym z nich, na zmianę to rozmawiając, to drzemiąc. Od zimnej ziemi izolowały ich koc termiczny i kawałki pianki, przykryci byli jak zwykle kilkoma warstwami ubrań, i może nie było im gorąco, ale też nie trzęśli się z zimna. Kiedy już trochę wypoczęli, znowu się kochali. Tym razem wszystko działo się powoli, spokojnie; po tym gdy w nią wszedł, było trochę tak, jakby oboje znowu drzemali, ale co parę minut przebudzał się, żeby wykonać kilka ruchów. Bailey wiedziała, że tym razem nie włożył kondoma i to, co czuła w swoim wnętrzu, było jednym z najwspanialszych doznań w jej życiu.

Doszła dwa razy, a jej drugi orgazm wywołał jego szczytowanie. Chwycił ją mocno za biodra i przywarł do niej całą powierzchnią ciała; z jego gardła wydobył się stłumiony jęk, kiedy drżał między jej nogami.

Po wytarciu się i ponownym wciągnięciu ubrań znowu trochę spali. Wraz z nastaniem świtu, obudzili się i zaczęli wypatrywać ratowników. Uprzątnęli teren, spakowali swoje rzeczy i siedzieli przy ognisku, opatuleni kocem termicznym. Bailey kręciło się w głowie z głodu i czuła się dziwnie krucha, tak jakby teraz, kiedy wojna o przetrwanie została wygrana, opuściły ją wszystkie siły. Siedzenie obok Gama było wszystkim, na co mogła się jeszcze zdobyć.

Usłyszeli helikopter tuż po siódmej i patrzyli, jak wylądował na bardziej przystępnym terenie jakieś pół kilometra poniżej nich. Kiedy z maszyny wysiedli ratownicy, mruknęła:

- Lepiej, żeby mieli ze sobą jedzenie.
- Bo co? - zażartował. - Odeślesz ich z powrotem?

Odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się do niego. Wyglądał na tak samo zmarnowanego jak ona; wczorajszy dzień był bardzo wyczerpujący, a ponieważ nie mieli jedzenia, nie byli w stanie się zregenerować.

Ich gehenna prawie dobiegła końca. Za kilka godzin będą już czysti, ogrzani, najedzeni. Prawdziwy świat szybko się do nich zbliżał, w postaci czterech ratowników-alpinistów w kaskach; wspinali się do nich z wielką wprawą, korzystając z lin, krążków i Bóg jeden wiedział czego jeszcze.

- Zgubiliście się? - zapytał lider zespołu, kiedy cała czwórka do nich dotarła. Był po trzydziestce i miał ogorzałą twarz człowieka, któ-

ry całe życie spędził na dworze. Przyglądał się ich wymizerowanym, zmęczonym twarzom, długiej linii czarnych szwów w poprzek czoła Cama i polecił jednemu ze swoich ludzi, żeby z grubsza ocenił ich stan fizyczny.

- Szlaki turystyczne otworzą dopiero w przyszłym miesiącu. Nie mieliśmy żadnego zgłoszenia, że ktoś zaginął, więc bardzo się zdziwiliśmy, kiedy zobaczyliśmy wczoraj wasze ogniska.

- Nie zgubiliśmy się - powiedział Cam, podnosząc się i opatulając Bailey kocem termicznym. - Nasz samolot się tam rozbił. - Wskazał w kierunku wierzchołka. - Sześć dni temu.

- Sześć dni! - Lider cicho gwizdnął. - Wiem, że trwają poszukiwania małego samolotu, który zaginął w pobliżu Walla Walla.

- To pewnie chodzi o nas - uznał Cam. - Nazywam się Cameron Justice, jestem pilotem. A to Bailey Wingate.

- Tak - potwierdził jeden z pozostałych mężczyzn. - Nazwiska się zgadzają. Ale jak dotarliście tak daleko?

- Siłą woli i modlitwy - odparł Cam. - Dosłownie.

Bailey spojrzała na ratownika, który przykucnął obok niej, mierząc jej puls i świecąc latarką w oczy.

- Mam nadzieję, że macie ze sobą jedzenie.

- Nie, nie mamy ze sobą, ale nakarmimy was, jak tylko dotrzemy do naszej kwatery.

W praktyce wyszło jednak trochę inaczej. Kiedy opuścili ich na dół i wszyscy załadowali się do helikoptera, podjęto decyzję, że najpierw potrzebna jest im fachowa pomoc medyczna. Pilot zgłosił to przez radio i zabrali ich do najbliższego szpitala, który mieścił się w piętrowym budynku w małym miasteczku w Idaho.

Pielęgniarki z izby przyjęć, chwalała im za to, znakomicie oceniły, czego im najbardziej trzeba, i zorganizowały jedzenie oraz kawę, jeszcze zanim obejrzał ich lekarz. Ku swojemu zaskoczeniu Bailey nie mogła dużo zjeść, zaledwie kilka łyżek zupy i dwa krakersy. Zupa była z puszki, podgrzana w mikrofalówce, ale smakowała jak ambrozja; po prostu nie była w stanie zjeść wszystkiego. Camowi poszło lepiej - zjadł całą miskę zupy i wypił kawę.

Po szybkich oględzinach lekarz powiedział:

- Generalnie, wszystko jest w porządku. Potrzebuje pani jedzenia i snu, dokładnie w tej kolejności. Ma pani szczęście: ręka dobrze

się goi. Przy okazji, kiedy ostatnio robiła pani szczepienie przeciwęż-cowe?

Bailey wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Nie sędzę, żebym kiedykolwiek się szczepiła.

Uśmiechnął się.

- No cóż, to zaraz zrobimy.

Po zaszczepieniu pielęgniarka zaprowadziła ją do pokoju pielęgniarek z przyległą szatnią wyposażoną w prysznic. Bailey stała tak długo pod spływającą, gorącą wodą, że aż spierzchnęła jej skóra, ale kiedy skończyła, była nieskazitelnie czysta, od palców u stóp po czubek głowy. Pielęgniarka dała jej do ubrania czysty, zielony strój chirurga, skarpety i szpitalne ochraniacze na buty, które naciągnęła bezpośrednio na stopy. Za nic nie chciała znowu wkładać swoich butów trekkingowych; nosiła je przez sześć dni i jej stopy były tak samo wymęczone jak reszta ciała.

Cammowi nie poszło tak łatwo. Najpierw miał zrobioną tomografię komputerową głowy i dostał kroplówkę. Bailey siedziała przy nim, dopóki nie zleciała kroplówka, co trwało parę godzin. Dopiero potem pozwolili mu wziąć prysznic i się ogolić, jego głowa została ponownie zabandażowana i też dostał strój chirurga.

Potem zaczęły się pytania. Rozbili się na terenie parku narodowego, więc były w to zaangażowane także Służby Leśne. Lider zespołu ratunkowego musiał wypełnić raport. Powiadomiono Narodową Radę Bezpieczeństwa Transportu. Przyjechał dziennikarz miejscowej gazety. Także szef miejscowej policji. Cam porozmawiał spokojnie z dwoma przedstawicielami ze Służb Leśnych, szefem policji, a także odbył rozmowę telefoniczną ze śledczym z NRBT. Żadne z nich nie wspomniało ani słowem o sabotażu dziennikarzowi.

Wszystko poszło szybko. Charles MaGuire, śledczy z NRBT, już był w drodze. Ktoś pożyczył Camowi komórkę i zadzwonił do swoich rodziców. Kiedy skończył, Bailey zapytała, czy też może skorzystać, i zadzwoniła do Logana.

- Halo? - Odebrał po pierwszym sygnale, a ona odniosła wrażenie, że dosłownie rzucił się na telefon.

- Logan, to ja. Bailey.

Przez chwilę panowała zupełna cisza, po czym powiedział słabym głosem:

- Co?

- Jestem w szpitalu w... nie wiem, jak się nazywa to miasteczko... gdzieś w Idaho. Nie jestem ranna - dodała szybko. - Dziś rano zabrali nas z gór.

- Bailey?

Niedowierzenie w jego głosie było tak wyraźne, że nie wiedziała, czy jej uwierzył, czy myślał, że ktoś sobie niewybrednie żartuje.

- To naprawdę ja. - Otarła ręką łzę, która popłynęła z kącika oka.
- Chcesz, żebym powiedziała, jak masz na drugie imię? Albo jak nazywał się nasz pierwszy pies?

Wahając się, odparł:

- Tak. Jak się nazywał nasz pierwszy pies?

- Nigdy nie mieliśmy psa. Mama nie lubi zwierząt.

- Bailey - powiedział drżącym głosem, a ona uświadomiła sobie, że płakał. - Ty żyjesz.

- Żyję, żyję. Mam trochę siniaków i podbite oko, właśnie zjadłam pierwszy prawdziwy posiłek od sześciu dni i zrobili mi szczepienie przeciwężcowe, co bolało jak diabli, ale poza tym wszystko w porządku. - Słyszała w tle Peaches, jej dźwięczny, słodki głos zadający pytania tak szybko, że nie dało się ich zrozumieć, choć może nie dało się ich zrozumieć dlatego, że też płakała. - Leci już do nas śledczy z NRBT, żeby nas przesłuchać, a potem pewnie wrócimy do domu. Ale nie wiem kiedy dokładnie, bo nie mam żadnych pieniędzy, kart kredytowych ani dokumentów, ale jakoś wrócimy. A wy gdzie jesteście?

- W Seattle. W hotelu.

- Nie ma sensu, żebyście wydawali pieniądze na hotel, skoro możecie zatrzymać się u mnie. Zadzwońię do gosposi i powiem jej, żeby was wpuściła.

- Ale... tam chyba wprowadziła się Tamzin.

- Co takiego? - Bailey poczuła, jak zaczyna gotować się w niej krew. Gniew, który ją ogarnął, był tak gwałtowny i wielki, że nie zdziwiłaby się, gdyby jej oczy zaczęły miotać pioruny.

- Była tam następnego dnia po wypadku. Później już tam nie dzwoniłem.

- To zadzwoń i sprawdź! Jeśli tam jest, niech ją przymkną za wtargnięcie z włamaniem! Mówię poważnie, Logan. Chcę, żeby stamtąd zniknęła.

- Nie martw się, pozbędę się jej. Bailey... Tamzin powiedziała coś na temat Setha. Myślę, że on mógł mieć coś wspólnego z tą katastrofą. Zaprzecza, ale to oczywiste, że się nie przyzna.

- Wiem - odparła.

- Wiesz?

- Cam to odkrył.

- Cam... pilot?

- Jedyńy w swoim rodzaju! - Uśmiechnęła się do Cama, który puścił do niej oko. - Być może się pobierzemy. Słuchaj, dzwonię z pożyczonej komórki, więc nie oddzwaniaj do mnie pod ten numer. Nie wiem, gdzie będziemy, zanim wrócimy do domu, ale jeszcze skontaktuję się z tobą. Pozbądź się tej małpy z domu, zanim tam wszystko zdemoluje. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - usłyszała miękki głos brata i rozłączyła się, zanim mógł zadać więcej pytań, co na pewno by zrobił, zważywszy na to, co mu właśnie powiedziała.

- Być może się pobierzemy? - zapytał przeciągle Cam, unosząc brwi.

- Wystarczy mu wstrząsów jak na jeden dzień - stwierdziła, podchodząc i sadowiąc się obok niego. Ostatnie pięć i pół dnia spędzili w większości w swoich ramionach, śpiąc lub nie, i czuła się dziwnie nieswojo, kiedy się nie dotykali. Oparła głowę na jego ramieniu. - Tamzin jest w moim domu.

- Słyszałem.

- Tak naprawdę to nie jest mój dom, ale mieszkam tam i nie ma prawa grzebać w moich rzeczach. Pewnie zdażyła do tej pory oddać wszystkie moje ubrania na cele charytatywne, o ile po prostu nie wyrzuciła ich do śmietnika.

- Zdecydowanie trzeba się jej stamtąd pozbyć.

- Powiedziała Loganowi, że Seth miał związek z tą katastrofą.

- Hm... Czemu powiedziała coś takiego? To głupie.

Odpowiedź na to była dość oczywista.

- Być może chce, żeby Seth trafił do więzienia.

W zamyśleniu Cam podrapał się po swojej świeżo ogolonej szczęce.

- Zastanawiające - mruknął.

Rozdział 34

Charles MaGuire miał spiczaste uszy rysia, ale na tym kończyło się jego podobieństwo do kota. Był dobrze zbudowanym mężczyzną, miał gęste, siwe włosy i przenikliwe, niebieskie oczy. Bailey nie mogła wyjść z podziwu, że tak szybko do nich dotarł, ale domyślała się, że jeśli pracuje dla NRBT, może lecieć w dowolne miejsce w dowolnej chwili.

Nikt nie wiedział do końca, co z nimi zrobić, i choć wiele osób z tego przyjaznego małego miasteczka oferowało gościnę dwójce przybyszów, ostatecznie szef policji, Kyle Hester, zaproponował, że zabierze ich do swojego biura w ratuszu, co wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Szeryf Hester był rzeczowym facetem po czterdziestce, byłym wojskowym, tak jak Cam, więc zdawali się świetnie rozumieć. Cam powiedział Bailey, że poinformował szeryfa Hestera o sabotażu, żeby był świadomy, że chodzi o coś więcej niż zwykle zamieszanie związane z akcją ratowniczą.

Szeryf był człowiekiem czynu. W przeciągu godziny Camowi i Bailey dostarczono nowe telefony, z przypisanymi ich starymi numerami. Postarał się również o jedzenie; choć jedli już w szpitalu, domyślił się, że nie byli w stanie na początku zjeść dużo i że potrzebują kalorii. Tak więc dostali: owoce, czekoladę, zupę ziemniaczaną, którą można było podgrzać w mikrofalówce w kuchni, krakersy oraz ser do smarowania. Bailey nie mogła przestać jeść. Naraz była w stanie przyswoić tylko kilka gryzów, ale po paru minutach wracała do jedzenia.

Dziennikarz chciał zrobić z nimi wywiad, ale żadne z nich nie było zainteresowane rozgłosem. Powód, z jakiego się rozbili, nie był tematem, który chcieliby omawiać z prasą. Szeryf Hester zajął się także i tym; postarał się, by nikt nie nękał ich ani osobiście, ani telefoniemi. Jednym słowem, szeryf bardzo szybko zaskarbił sobie sympatię Bailey.

Kiedy zjawił się Charles MaGuire, szeryf oddał swoje biuro całkowicie do ich dyspozycji. Śledczy NRBT był szczerze zdumiony, że żyją, a także tym, gdzie się rozbili. Na ściennej mapie topograficznej

Cam pokazał, skąd zostali uratowani, a także, w przybliżeniu, gdzie się rozbili.

- A mniej więcej tutaj skończyło się nam paliwo - poinformował, wskazując jeszcze inne miejsce.

MaGuire wpatrywał się w mapę.

- Jeśli tu skończyło się wam paliwo, to jak, u licha, dotarliście aż tam?

- Dzięki powietrzu wznoszącemu się po nawietrznej stronie stoków - powiedział Cam. - Chciałem dotrzeć do drzew, żeby złagodziły uderzenie, zamiast przylutować prosto w skałę. Zgodnie z zasadami szybownictwa na dziesięć metrów do przodu tracisz pół metra na wysokości, prawda? - Przesuwał palec po mapie. - Dzięki uprzejmości prądów powietrza, ulecieliśmy jeszcze w tym kierunku, i zesliśmy mniej więcej tutaj. Zdecydowałem się posadzić samolot, kiedy oceniłem, że drzewa są dość duże, by zapewnić amortyzację, ale nie aż tak duże i mocne, że równie dobrze moglibyśmy przywalić w skałę. No i oczywiście musiały jeszcze rosnąć odpowiednio gęsto.

MaGuire w oszołomieniu szacował odległość.

- Twój partner Larsen mówił, że jeśli był cień szansy, żeby posadzić samolot, na pewno byś ją wykorzystał. Powiedział, że byś nie spanikował.

- Ja panikowałam wystarczająco za nas oboje - rzuciła ironicznie Bailey.

- Nie pisnęłaś ani słowa - prychnął Cam.

- Panikowałam w duchu. I z całych sił się modliłam.

- Co było potem? - zapytał MaGuire. Spojrzał na zabandażowaną głowę Cama. - Widzę, że odniosłeś obrażenia.

- Straciłem przytomność - kontynuował Cam. - I wykrwawiałem się jak zarzynana świnia. Odpadło lewe skrzydło i część kabiny, więc nie było żadnej ochrony przed zimnem. Bailey wyciągnęła mnie na zewnątrz, zatamowała krwawienie, ogrzała i zszyła mi głowę. - Uśmiech, którym ją obdarzył, był pełen dumy. - Uratowała mi życie. A potem jeszcze raz, budując dla nas schronienie. Gdybyśmy nie mieli osłony przed wiatrem, nie przeżylibyśmy.

MaGuire skierował swój wzrok na nią; przyglądał się jej z dużą ciekawością, ponieważ w ostatnich dniach nasłuchiwał się wiele o Wingate'ach i miał inne wyobrażenie o młodej żonie Jima Wingate'a,

absolutnie nieprzystające do tej spokojnej, bezpretensjonalnej kobiety w stroju chirurga, bez makijażu, z podbitym okiem.

- Odbyla pani przeszkolenie medyczne?

- Nie. W apteczce był poradnik pierwszej pomocy, zawierający szczegółowe instrukcje, jak założyć szwy, i po prostu to zrobiłam. - Zmarszczyła nos. - Ale nie chciałabym tego robić nigdy więcej. - Była zadowolona, że sobie poradziła, ale nie chciała pamiętać krwawych szczegółów.

- Straciłem mnóstwo krwi i doznałem wstrząśnienia mózgu, więc nie byłem w stanie jej w niczym pomóc. Sama wyciągnęła z samolotu wszystkie rzeczy, które mogły się nam przydać. Przykryła mnie prawie wszystkimi swoimi ubraniami, żebym się ogrzał... a było ich dużo, trzy wielkie walizki, dzięki Bogu.

- Kiedy ruszyliście w drogę?

- Czwartego dnia. Drugiego dnia żadne z nas nie było na siłach, żeby za wiele zdziałać. Głównie spaliśmy. Byłem tak słaby, że ledwo mogłem się ruszać. Bailey miała gorączkę, bo skaleczyła się w ramię, utknął w nim kawałek metalu, ale była tak zaabsorbowana innymi rzeczami, że zapomniała zatroszczyć się o siebie. Trzeciego dnia, kiedy oboje poczuliśmy się lepiej, i mogłem chodzić o własnych siłach, poszedłem sprawdzić awaryjny nadajnik pozycji, ale baterie były wyczerpane i wiedziałem, że jeśli nie zostaliśmy zlokalizowani do tej pory, to już nie zostaniemy. Nie mogłem nawet stwierdzić, czy nadajnik w ogóle zadziałał.

- Nie odebraliśmy żadnego sygnału - powiedział MaGuire.

Cam patrzył na mapę, ale w myślach był znowu w kokpicie skylane'a. Zacisnął szczęki.

- Kiedy silnik przestał pracować, wskaźniki nie pokazywały niczego niepokojącego. Wszystko wydawało się w porządku, ale silnik nie działał. Trzeciego dnia znalazłem lewe skrzydło. Ze zbiornika paliwa zwisała przezroczysta plastikowa torba. Kiedy to zobaczyłem, wiedziałem, że ktoś przyłożył swoją rękę do tego, żebyśmy spadli.

MaGuire wypuścił powietrze i przysiadł na biurku szeryfa.

- Z początku nie mieliśmy żadnych podejrzeń, ale Larsen bez końca wertował dokumentację przeglądów skylane'a, potwierdzenia tankowania i tym podobne. W końcu odkrył, że według potwierdzenia tamtego ranka zatankowano tylko sto czterdzieści litrów. Skontaktowaliśmy się z facetem obsługującym dystrybutor i on wyraźnie pamię-

tał, że dokładnie sprawdził, czy jest do pełna. Uznaliśmy, że ktoś mógł majstrować przy samolocie, choć sąd ciągle nie wydał nakazu udostępnienia taśm z kamer ochrony.

- Seth Wingate - warknął Cam. - Dzień wcześniej zadzwonił do naszego biura, żeby wypytać się o plany Bailey. Może przekonał się dziego, by ten wyświadczył mu przysługę i opóźnił wydanie nakazu, ale nie wiem, co mu to da na dłuższą metę, no, chyba że potrzebuje tego czasu, żeby dostać w swoje łapy taśmy z kamer ochrony i je zniszczyć, albo coś w tym stylu.

- Wasza sekretarka też upiera się przy tym, że to sprawka Seta Wingate'a. Zgadza się, to było podejrzane zachowanie, ale z drugiej strony bardzo głupie. Ale podejrzewać to jedno, a udowodnić drugie. Tymczasem nie mamy dowodów, poza nieprawidłowością w dokumentacji dotyczącej tankowania.

- Tak, zdajemy sobie z tego sprawę. Jeśli kamery ochrony nie zarejestrowały, jak majstruje przy samolocie, będzie trudno. Wszystkie dowody znajdują się na miejscu katastrofy, wydostanie ich będzie cholernie trudne. Tam strasznie wieje, nie ma mowy, żeby helikopter dał radę wylądować. Można się tam dostać jedynie na własnych nogach.

- Nie sądziłam, że Seth może w ogóle wiedzieć, jak przeprowadzić sabotaż samolotu - powiedziała Bailey. - Ma podły charakter i gardzi mną, ale nigdy nie myślałam, że mogłoby próbować mnie fizycznie skrzywdzić. Podczas naszej ostatniej rozmowy groził, że mnie zabije, ale mu nie uwierzyłam. - Przygryzła wargę, poruszona. - Głupio z mojej strony.

- Plastikowa torba w zbiorniku paliwa to nic wymyślnego - ocenił Cam. - Nie trzeba mieć wiadomo jakich umiejętności, żeby ją tam umieścić.

- Co do tego, zgoda - przyznał MaGuire. - Ale dochodzą jeszcze transponder i radio; wygląda na to, że był bardziej zorientowany w temacie, niż myślicie.

Cam zeszytywniał, a jego szare oczy zrobiły się lodowato zimne.

- Co takiego? O co chodzi z transponderem? - Bailey spojrzała na niego badawczo. Jego głos stał się złowrogi.

MaGuire spojrzał z powrotem na mapę.

- Tutaj - wskazał palcem - nieco na wschód od Walla Walla zaniknął sygnał z waszego transpondera. Piętnaście minut później Kon-

trola Ruchu Lotniczego odebrała zniekształcony sygnał SOS, ale potem to już wszelki ślad po was zaginał. Jeśli uszkodził także transponder i radio, to świadczy to o jego skrupulatności. Nie chciał, żeby wrak został odnaleziony albo chciał to opóźnić na tyle, żeby dowody uległy zniszczeniu.

Cam stał nieruchomo, studiując mapę.

- Sukinsyn - mruknął.

- Zdaje się, że wszyscy tak o nim myślą. Z niechęcią to mówię, ale niewykluczone, że ujdzie mu to płazem. - MaGuire westchnął. - Teraz najbardziej martwi mnie pani bezpieczeństwo, pani Wingate.

- Bailey jest ze mną - powiedział Cam, nawet się nie odwracając.

- Ja się o nią zatroszczę.

Bailey skrzywiła się na zaprezentowaną przez Cama postawę jaskiniowca i powiedziała do MaGuire'a:

- Zamierzam dać Sethowi do zrozumienia, że wiemy, że próbował mnie zabić, nawet jeśli nie możemy tego dowieść, i że poinformowaliśmy o tym trzecią osobę, więc jeśli jeszcze raz spróbuje, będzie na samym szczycie listy podejrzanych. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.

- Ale ja wiem - oświadczył Cam; jego oczy nadal były zimne.

- MaGuire, da radę, żebyśmy zaraz wylecieli do Seattle? Chcę to jak najszybciej załatwić.

MaGuire wyglądał na dość mocno zaintrygowanego, ale odrzekł tylko:

- Jasne.

Wylądowali w Seattle około ósmej wieczorem; ciągle było widno i miało tak pozostać jeszcze przez godzinę. Bailey nadal była mocno osłabiona i najbardziej chciała wgramolić się do łóżka i spać, ale chciała mieć tam jeszcze Cama, z którym udało jej się zamienić ledwie parę słów, od kiedy zrobił się taki zimny i milczący po wszystkich rewelacjach MaGuire'a na temat Seta.

Poniekąd pasowało jej to. Mogła w spokoju wszystko sobie przemyśleć. To nie w porządku, że Seth próbował ją zabić, ale jakkolwiek na to patrzeć, ona była celem i doprowadzało ją do szału, że tak beztrudno poczynił sobie z życiem Cama, jakby nie miało żadnego znaczenia, że on również zginie.

Wracała do zmienionego świata. Nie mogła kontynuować dawnego życia, jakby nic się nie stało. Pomimo umowy, jaką zawarła z Jimem, nie mogła dłużej męczyć się z Sethem. Musiałaby być głupia, żeby ryzykować swoje życie i życie Cama z powodu umowy, jaką zawarła z człowiekiem, który już nie żył. Ktoś inny będzie musiał zarządzać funduszami powierniczymi. Ale na pewno nie odda kontroli nad majątkiem Sethowi, bo nie uważała, że powinien zostać nagrodzony za to, co usiłował zrobić.

Wrócili do Seattle samolotem mniej więcej tej samej wielkości co pechowy skylane. Bez chwili wahania Cam zasiadł w fotelu drugiego pilota; nawet nie pomyślał o tym, żeby siedzieć z nią z tyłu, na co tylko przewróciła oczami i uśmiechnęła się, bo tak to już jest z pilotami. Dla większości latanie było najważniejsze i często zapominali przez to o wszystkim innym. MaGuire usiadł z nią, ale wyglądał, jakby wolał siedzieć w fotelu drugiego pilota, jednak Cam był szybszy.

- Jest zdesperowany - rzuciła rozbawiona. - Od sześciu dni nie trzymał w rękach sterów.

- Ale to mój czarter - odparł, odrobinę nadasany. Potem wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął. - Chyba powinienem był to przewidzieć i się pospieszyć. Dla większości znanych mi pilotów latanie jest ważniejsze od jedzenia.

Starala się zachować spokój, kiedy zbliżali się do Seattle, ale tyle się zmieniło, że nie była w stanie tego wszystkiego ogarnąć, zresztą zmiany zawsze wzbudzały jej niepokój. Normalnie nie podejmowała ważnych decyzji bez wcześniejszego ich przemyślenia, rozważenia wszystkich za i przeciw, przygotowania się. Jeśli coś się w jej życiu zmieniało, chciała mieć to pod kontrolą. Teraz nie miała niczego pod kontrolą, choć zmieniło się praktycznie wszystko. Przede wszystkim wyprowadzi się z tego wielkiego domu tak szybko, jak to możliwe, i miała gdzieś, co Seth i Tamzin z nim zrobili. Nie zamierzała mieć z nimi więcej do czynienia, a to oznaczało, że musiała sobie znaleźć inną pracę.

Oczywiście, największa zmiana w jej życiu to Cam. Był tak szybki, że czuła się jak Kojot Wiluś, bezradnie kręcący się wokół własnej osi w chmurze pyłu, po tym gdy przepędził obok niego Struś Pędziwiatr. W czasie krótszym niż tydzień zdażyła nie tylko go polubić, ale się w nim zakochać; nawet zgodziła się za niego wyjść. Dziwne, że

choć właśnie to była ta największa zmiana, to z nią czuła się najlepiej. Po opanowaniu początkowej paniki dotarło do niej, że było jej z nim po prostu dobrze, tak dobrze jak nigdy dotąd.

Jakby odczytując jej myśli, obejrzał się na nią przez ramię. Skombinował skądś okulary przeciwsłoneczne, więc nie widziała jego oczu, ale ten dowód na łączącą ich więź skutecznie uspokoił jej nerwy. Nie była już sama. Cokolwiek jeszcze zmieni się w jej życiu, Cam będzie tuż obok.

Samolot wylądował i Bailey nachyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć terminal, skąd wysypali się ludzie, którzy na nich czekali. Nie były to dzikie tłumy i z tej odległości nie mogła rozróżnić ich twarzy, ale wiedziała, że są wśród nich Logan i Peaches i poczuła ciepło w sercu.

Samolot dokołował bliżej i zobaczyła ich: Logan obejmował Peaches ramieniem, oboje śmiali się, a Peaches podskakiwała podekscytowana. Wiedziała, że najprawdopodobniej jej nie widzą, ale i tak im pomachała. Potem rozpoznała jeszcze Breta i Karen, ale reszty ludzi nie kojarzyła. Najprawdopodobniej przyjaciele i krewni Cama, choć pewnie nie było wśród nich jego rodziców, bo kiedy z nimi rozmawiał, powiedzieli, że nie będą w stanie dotrzeć do Seattle przed nim, ponieważ podróżowali rejsowymi samolotami i musieli poczekać na planowy lot.

Samolot się zatrzymał. Cam odpiął pas i wysiadł. Po zamienieniu paru słów z pilotem MaGuire poszedł w jego ślady. Potem Cam sięgnął do środka, położył swoje ciepłe dłonie na talii Bailey i ją wysadził.

- Jak samopoczucie? - zapytał, kiedy ruszyli razem na spotkanie trochę zniecierpliwionego komitetu powitalnego, który rzucił się w ich stronę.

- Jestem zmęczona, ale poza tym w porządku. A ty?

- Tak samo. Trzymaj się! - To ostatnie powiedział, kiedy zostali już otoczeni. Logan i Peaches ujęli Bailey z dwóch stron, miażdżąc w swoich objęciach. Peaches płakała, więc oczywiście Bailey też się rozkleiła, choć starała się nad tym zapanować. Logan po prostu, drżąc ze wzruszenia, ścisnął ją z całych sił, je obie. Zerknęła na Cama, również osaczonego przez stęsknionych przyjaciół. Widziała, jak Karen pacnęła go w klatkę piersiową, jakby karząc go, że przysporzył jej

zmartwienia, po czym Cam uśmiechnął się szeroko i otworzył ramiona, a ona rozplakała się i przywarła do niego.

- Bardzo schudłaś - powiedziała Peaches, ocierając łzy.

- To ta nowa dieta - odparła Bailey. - Dieta rozbitek. Sto procent skuteczności.

- Jesteś głodna? - zapytał Logan, który bardzo chciał móc coś zrobić, chociażby ją nakarmić.

- I to jak. Zjadłam dzisiaj już chyba z tonę, ale parę minut po zjedzeniu na nowo jestem głodna.

- To chodźmy stąd. Kupimy coś po drodze do ciebie. Powiem ci, jak to było z Tamzin, a ty opowiesz nam o katastrofie. Mam milion pytań.

Bailey jeszcze raz poszukała wzrokiem Cama.

- Jeszcze nie teraz. W każdym razie, nie bez Cama. Nawet was sobie nie przedstawiłam.

Widziała, że Logan nie był tym zbyt zachwycony, że miał pewne obiekcje co do zabójczo szybkiego tempa, w jakim rozwijała się jej znajomość z Camem, i poklepała go po ramieniu.

- Nie martw się. Właściwie to nasza... dwudziesta piąta randka. A może już trzydziesta, nie jestem pewna, nie prowadziłam obliczeń. Ale znamy się o wiele lepiej, niż myślisz.

- Trzydziesta randka? Nie wiedziałam, że w ogóle się z nim spotykałaś! - zawołała skonsternowana Peaches. - Nic nie mówiłaś!

Bailey zobaczyła, że Cam wziął sprawy w swoje ręce. Większość ludzi odprawił do domów, dziękując im za życzliwe powitanie i dając do zrozumienia, że ma mnóstwo zaległości do nadgonienia. Będąc niczym jego druga skóra aura przywództwa sprawiała, że choć posiniaczony, z obandażowaną głową cieszył się posłuchem i ludzie bez wahania wykonywali jego polecenia.

Tylko kilkoro wybranych weszło do biura J&L: Bret, Karen, McGuire. Cam przytrzymał drzwi, wyciągając rękę do Bailey, żeby ona, Logan i Peaches również weszli. Natychmiast znalazła się przy nim, przedstawiając go swojej rodzinie. Cam i Logan wymienili uścisk dłoni; Logan zrobił to nieufnie, Cam z całkowitym spokojem. Pomimo wszystkich nieprzyjemnych spraw, z którymi musieli się jeszcze uporać, w tym momencie Bailey była szczęśliwa.

Z Bailey było lepiej, stwierdził Cam. Rano wydawała się taka krucho, jakby dotarła do granic swojej wytrzymałości, i nie mógł przestać się o nią martwić, mimo że jedzenie stopniowo stawiało ją na nogi.

- Świeża ta kawa? - zapytał Karen. Chciał najpierw zatroszczyć się o Bailey, zanim zajmie się jeszcze innymi, niecierpiącymi zwłoki sprawami.

- Dopiero co zaparzyłam. - Jej oczy nadal błyszczały od łez, ale była cała rozpromieniona. - Nalać ci?

Karen proponowała mu kawę? Może powinien od czasu do czasu zaginać.

- Za chwilę. Ale jeśli to dla ciebie nie problem, daj kawę Bailey i dopilnuj, żeby coś zjadła. Może być jakaś przekąska z automatu.

Karen wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Bailey? - zapytała ściszym głosem, nachylając się do niego, żeby nikt nie słyszał. - To już nie pani Wingate?

- Oddała mi lwią część posiadanego przez nas jedzenia i wody, żeby utrzymać mnie przy życiu - wyjaśnił. - Sama jechała na oparach. No więc, tak, teraz mówię do niej Bailey. - To była prawda, w każdym razie jeśli chodzi o pierwszy dzień. Potem starał się pilnować, żeby jadła i piła tyle samo co on.

Po wyrazie twarzy Karen zorientował się, że w myślach dodała Bailey do listy ważnych dla niej osób, co w praktyce oznaczało, że Bailey zje, nawet gdyby Karen musiała na siłę nakarmić ją łyżeczką. Ale zważywszy na to, że Bailey jadła dzisiaj non stop i nie wyglądało na to, żeby miała dosyć, nie sądził, by do tego doszło.

Podszedł do Bailey i dotknął jej ramienia, by pozyskać jej uwagę.

- Muszę pogadać z Bretem - powiedział.

Uścisnęła mu palce, przyglądając się badawczo jego twarzy, oceniając, czy wszystko z nim w porządku, tak samo jak przed chwilą robił to on w stosunku do niej. Podejrzewał, że zarzucą ten zwyczaj po kilku dniach, ale na razie, wszystko, przez co przeszli, było nadal świeże i chwilę potrwa, zanim do nich dotrze, że ich walka o przetrwanie dobiegła końca.

Odszukał spojrzeniem Breta i skinął na niego głową. Bliżej było do gabinetu Breta, więc tam się skierowali. Cam zamknął za nimi drzwi; niewykluczone, że był to pierwszy raz, kiedy te drzwi zostały zamknięte od początku istnienia ich firmy.

Spojrzał na swojego najlepszego przyjaciela, faceta, który od wielu lat był dla niego jak brat, zapytał:

- Dlaczego to zrobiłeś?

Bret opadł na krzesło; zamknął oczy, głowę podparł rękami. Bardzo postarzał się na twarzy, od kiedy Cam widział go po raz ostatni, wielu z tych zmarszczek nie było przed sześcioma dniami.

- Cholera - wymamrotał zrezygnowany. - Chodziło o forszę. Jestem po uszy w gównie, grożą mi... - Urwał, kręcąc głową. - Wiedziałem, że się domyślisz. Wiedziałem, jak tylko dostaliśmy wiadomość, że żyjesz, że wydostałeś się z tych cholernych gór. Nie było możliwości, żebyś nie obejrzał wraku, żebyś nie szukał przyczyny, dlaczego się rozbiliście.

Cam robił wszystko, żeby pohamować wściekłość. Choć miał ochotę rozerwać Breta na kawałki, roznieść go w pył, miał więcej pytań i chciał poznać na nie odpowiedzi. Wiedział, że będzie odczuwał smutek z powodu utraty przyjaźni, która ich łączyła, ale jeszcze nie teraz.

- Myślałem, że to Seth, dopóki MaGuire nie powiedział mi o transponderze i radiu. To już wyższa szkoła jazdy, Seth by sobie z tym nie poradził. Przedobrzyłeś, Bret.

- Wiem. - Bret uniósł głowę, w jego oczach wyraźnie było widać żal. - To był impuls. Kiedy tamtego dnia zadzwonił Seth, pojawiła się okazja, a że byłem zdesperowany, postanowiłem ją wykorzystać.

- A co zrobiłeś, żeby się rozchorować?

- Jestem uczulony na koty, pamiętasz? Trzymam się od nich z daleka, nawet nie umawiam się z właścicielkami kotów. Pojechałem do schroniska dla zwierząt, wziąłem kota i zacząłem go głaskać, wcierać w twarz jego sierść.

Cam wiedział, że Bret jest uczulony na koty, od tak dawna, że w ogóle o tym nie myślał; Bret unikał kotów i Cam nigdy nie widział u niego reakcji alergicznej, aż do tamtego ranka, kiedy poleciał za niego z Bailey. Nawet gdyby przyszło mu do głowy, że może chodzić o kota, nie wzbudziłoby to jego podejrzeń, bo reakcje alergiczne po prostu czasem się zdarzały.

- Staralem się o tym nie myśleć - podjął Bret ze znużeniem. - Po prostu to zrobiłem. Bo to było wyjście. Pieniądze z twojej polisy mogłyby mi się wydostać z poważnych tarapatów. Byłem jak opętany, mogłem myśleć tylko o pozyskaniu pieniędzy. Ale kiedy Karen powiedziała, że samolot zaginął, nagle wszystko stało się realne. Zrozumi-

łem, że cię zabiłem. Zamordowałem swojego najlepszego przyjaciela. Dotarło to do mnie, ale jedyne, co mogłem zrobić, to się wyrzygać.

Dziwne, ale Cam mu wierzył. Bret był impulsywny, miał zwyczaj skupiać się na krótkoterminowych celach.

- Miałem nadzieję, że samolot spłonie - ciągnął Bret. - W zbiornikach zawsze są jakieś resztki paliwa. Ale nawet gdyby zostały jakieś dowody, wiedziałem, że Seth będzie głównym podejrzanym, właśnie z powodu tego cholernego telefonu.

- MaGuire powiedział, że to ty zwróciłeś uwagę na to, że samolot nie zabrał dość paliwa.

- Tak... Pomyślałem, że jeśli sam zwrócę na to uwagę, uniknę podejrzeń. - Bret potarł twarz rękami, po czym spojrzał na Cama. - Co teraz? - zapytał, podnosząc się. - Kiedy myślałem, że nie żyjesz, że cię zamordowałem, zrobiłem wszystko, żeby zabezpieczyć swój tyłek. Ale ty jesteś za dobrym pilotem, żeby tak łatwo zginąć. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać, kiedy dostaliśmy wieści, że jednak żyjesz. Zdaje się, że zrobiłem i to, i to. Nie wiem, jak chcesz to rozegrać, ale godzę się na wszystko. Jeśli chcesz, oddam się w ręce policji.

- Tak, właśnie tego chcę. - Cam się nie złamał. Nie było powrotu. Lata przyjaźni i ich wspólne dobre czasy nie były w stanie go zmiękczyć, bo pewne rzeczy były po prostu niewybaczalne. - Usiłowanie zabójstwa, oszustwo ubezpieczeniowe... trochę sobie posiedzisz.

- O ile mnie najpierw nie wykończą.. Nieważne. - Bret miał wyraz twarzy człowieka, który nigdy sobie nie wybaczy. I dobrze, bo Cam też nie zamierzał mu nigdy wybaczyć.

- Jeszcze jedno - powiedział.

- Co takiego?

Cam z całej siły przywalił mu w twarz, wkładając w ten cios wszystkie nagromadzone emocje, całą swoją furię, która w końcu zerwała się z uwięzi. Głowa Breta poleciała do tyłu, on sam wpadł na krzesło, przewracając się wraz z nim na kosh na śmieci. Leżał jak długi na podłodze, pośród rozrzuconych śmieci.

- To za to, że omal nie zabiłeś również Bailey - wycedził Cam.

Ze wszystkich ludzi na świecie Seth Wingate był ostatnią osobą, jaką spodziewała się ujrzeć Bailey. Ale to był on, we własnej osobie. Tuż przed północą zjawił się pod drzwiami domu swojego ojca.

Właśnie się pakowała, a raczej sprawdzała, czy w domu zostały jeszcze jakieś jej rzeczy; Tamzin opróżniła jej szafę i pozbyła się wszystkich ubrań, a także innych przedmiotów, które należały do Bailey. Sam dom był w opłakanym stanie. Bailey tak się wściekła, że chciała zadzwonić na policję, ale ostatecznie postanowiła się najpierw uspokoić.

Ostatnie godziny były mocno wyczerpujące. Ciagle nie mogła pogodzić się z tym, że Bret próbował zabić Cama dla pieniędzy z ubezpieczenia, a skoro jej było trudno się z tym pogodzić, to jak musiał czuć się Cam. Wydawało się, że Breta zżerają wyrzuty sumienia, ale to nie zmieniało faktów. McGuire wszystkim się zajął, choć był nie mniej zszokowany od innych. Bret nie stawiał oporu i pojechał z nim, żeby oddać się w ręce policji. Jednak pozostały jeszcze sprawy formalne związane z rozwiązaniem spółki i nie wiadomo było, czy Executive Air Limo przetrwa. Jeśli tak, to będzie nazywać się po prostu Executive Air Limo, bo nie było już żadnego J&L.

Bailey miała parę pomysłów dotyczących firmy, ale chciała to sobie jeszcze przemyśleć. Musiała ponownie rozważyć swoją decyzję rezygnacji z zarządzania funduszami powierniczymi, skoro okazało się, że to nie Seth usiłował ich zabić. Z drugiej strony, kiedy odkryła, co zrobiła Tamzin, sama miała ochotę popełnić morderstwo i raz na zawsze umyć ręce od nich obojga. Jedyne, czego była pewna, to to, że nie chciała spędzić ani jednej nocy więcej w domu, który nie należał do niej.

Byli z nią Logan i Peaches oraz Cam. Przyjechali pomóc się jej pakować, ale w domu zostało niewiele jej rzeczy. Cam zrobił się czerwony z wściekłości, ale oboje jakoś pohamowali swój gniew. Najbliższym wybuchu była Peaches, ale Logan miał ją na oku, kiedy chodziła z gradową miną od pokoju do pokoju.

A teraz był tu Seth; choć wiedziała, że to nie on usiłował ją zabić, nie miała ochoty, żeby akurat teraz zawracał jej głowę. Stała niewzruszenie w progu, nie zapraszając go do środka. Słyszała, jak podszedł Cam i stanął za jej plecami.

Ale Seth wcale nie próbował wejść. Choć zwykle o tej porze miał już zaliczone dwa czy trzy przystanki w barze, nie wyglądał na zmarnowanego. Właściwie to wyglądał zupełnie trzeźwo, co ją zdumiało. Ubrany był zwyczajnie, w proste spodnie i pulower, jego ciemne wło-

sy były przystrzyżone i uczesane, a twarz jak zwykle pozbawiona wyrazu.

- Wiele osób myśli, że postarałem się o to, żeby ten samolot się rozbił - odezwał się szorstko. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że tego nie zrobiłem.

- Wiem - odparła, tak zaskoczona, że ledwie mogła mówić. Teraz on był zaskoczony. Zawahał się, po czym odwrócił się, żeby odejść. Bailey zaczęła zamykać drzwi, ale wtedy on się zatrzymał, ostatecznie więc ich nie zamknęła. Odwrócił się, z jedną stopą już na pierwszym stopniu.

- Kto to zrobił? - zapytał. Widziała, że nie miał ochoty z nią rozmawiać, ale chciał wiedzieć. - Tamzin?

Tamzin? Tamzin, choć podła i małostkowa, nie była dość rozgarnięta, żeby przeprowadzić taką akcję.

- Nie, partner Cama.

- Bret? - Seth był zdumiony. - Jesteś pewna?

- Tak, jesteśmy pewni. Przyznał się do wszystkiego - włączył się Cam.

- Sukinsyn - mruknął Seth. Na jego usta wypłynął pozbawiony wesołości uśmiech. - Zdaje się, że Tamzin i ja jesteśmy podobni do siebie bardziej, niż myślałem. Ona przyjęła, że ja to zrobiłem. Ja myślałem, że ona.

Wziął głęboki oddech.

- Powinnaś o czymś wiedzieć. Kiedy uświadomiłem sobie, że moja siostra założyła, że jestem mordercą, przeżyłem wstrząs. Przyjrzałem się sobie uważnie i nie spodobało mi się, co zobaczyłem. - Spojrzał w zdumione oczy Bailey i się zaśmiał. - Zacząłem pracę w Wingate Group. W mail roomie. Grant chce się przekonać, czy wytrzymam.

Bailey trzymała się mocno drzwi. Inaczej chyba by padła z wrażenia. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc wyrzuciła z siebie:

- Zamierzam przekazać zarząd nad funduszami powierniczymi komuś innemu, może urzędnikowi bankowemu. - Nie mogła uwierzyć, że Seth... Czy mimo wszystko Jim miał rację co do Setha?

Seth zacisnął szczęki i spojrzał na Bailey.

- Nie rób tego - rzucił. - Chcę, żebyś ty nimi zarządzała. Potrzebuję cię w charakterze motywacji: nikt inny nie będzie mnie tak irytować. Taki był plan taty, prawda? Rozgryzłem go. Założył, że będę cię

nienawidzić, czuć się upokorzony, że sprawujesz kontrolę nad moimi pieniędzmi i w końcu zrobię coś ze swoim życiem. Miał rację, skurczybyk. Zawsze miał rację. Pewnie powiedział ci, żebyś sama osądziła, kiedy będzie można przekazać kontrolę mnie, prawda?

Mogła tylko przytaknąć.

Seth wydał wargi.

- Ufał ci, a nikt nie znał się na ludziach lepiej od niego. Tak więc i ja zaufam jemu, zaufam, że wiedział, co robi. Zarządzaj nadal funduszami, żebyś mógł ci dowieść, że nie masz co do mnie racji. W końcu przekazesz zarząd mnie i znikniesz z mojego życia. Nie będę musiał cię nigdy więcej oglądać.

- Nie mogę się już doczekać tego dnia - odparła szczerze.

Seth spojrział za ich plecami na hol. Ściągnął brwi, kiedy zobaczył szkody: potłuczone szkło, zniszczone ściany.

- Co tu się stało, do cholery?

- Zasługa Tamzin - warknął Cam.

- Zadzwońcie na policję, niech ją aresztują - powiedział zimno Seth, po czym odwrócił się, zszedł ze schodów i zniknął w ciemności.

Cam odczepił rękę Bailey od drzwi, je zamknął i wziął ją w ramiona.

- Chodźmy - rzekł i pocałował ją w usta, kiedy na niego spojrzała. - Nie masz tu po co siedzieć. Od tej pory mieszkasz ze mną.

Bailey uśmiechnęła się, wodząc palcami po siniakach na jego twarzy. Nie była ani trochę zdenerwowana tą decyzją.

- Okej - szepnęła, nagle tak szczęśliwa, że miała ochotę śpiewać.

- Chodźmy. Jestem gotowa.

Podziękowania

Gorąco dziękuję dwóm mężczyznom, którzy zechcieli poświęcić swój czas, by odpowiedzieć na moje pytania: Jimowi Murphy 'emu i majorowi Marcowi Weintraubowi z USMC*. Dzięki, panowie, za wyjaśnienie mi, jak rozbić samolot. Wszelkie błędy są z mojej winy, bo albo za mocno dałam się ponieść wyobraźni, albo nie wiedziałam, o co pytać.

O Autorce

Linda Howard jest nagradzaną autorką wielu książek z listy bestsellerów „New York Times'a”, w tym: Drop Dead Gorgeous, Cover of Night, Killing Time, To Die For, Kiss Me While I Sleep, Cry No More, Dying to Please, Open Season, Mr. Perfect, All the Queen's Men, Now You See Her, Kill and Tell oraz Son of the Morning.

Mieszka w Alabamie z mężem i dwoma golden retrieverami.

* USMC - (United States Marine Corps), Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, w skrócie: Marines (orzyp. tłum.).